

Prof. David Ost Bunt białej Ameryki

Prof. Piotr Sieroszewski Cudów nie ma, są badania prenatalne

Jarosław Makowski Ten Kościół musi runąć

Jacek Pałkiewicz Oszukany przez MSZ

**BOLI MNIE
POLSKA**



W rolach głównych gwiazdy europejskiego kina:

**DENIS
MÉNOCHET**

(„DZIĘKI BOGU”, „BEKARTY WOJNY”)

**DAMIEN
BONNARD**

(„NĘDZNICY”, „DUNKIERNA”)

**LAURE
CALAMY**

(„PAMIĄTKI CLAIRE DARLING”, „SYBILLA”)

**VALERIA
BRUNI TEDESCHI**

(„ZWARIOWAĆ ZE SZCZĘŚCIA”, „ISABELLE I MĘŻCZYŹNI”)

TYLKO ZWIERZĘTA NIE BŁĄDZĄ



REŻYSERIA **DOMINIK MOLL** („U PANA MARSZA BEZ ZMIAN”, „MNICH”)

Intrygująca łamigłówka, której nie rozwiążesz aż do ostatniej sceny...

W KINACH OD 6 LISTOPADA

Projekt współfinansowany w ramach programu Unii Europejskiej „Europejska Kultura”



CYTATY

OLGA TOKARCZUK,

noblistka

*Religijny
fundamentalizm
zawsze niósł tylko
cierpienie, tortury
i śmierć.*

Facebook

PAWEŁ GRZESIOWSKI,

lekarz immunolog

*Chorych w Polsce
jest od 10 do 20 razy
więcej, niż podają
codzienne statystyki.
Grubo ponad milion
ludzi.*

„Dziennik Gazeta Prawna”

DANIEL PASSENT,

komentator

*Prezes idzie na wojnę.
Pachnie siarką.*
„Polityka”

**PROF. ZBIGNIEW
ĆWIAKALSKI,**

były minister

sprawiedliwości

*Jesteśmy jedynym
krajem w Europie,
w którym minister
sprawiedliwości jest
zarazem prokuratorem
generalnym.*
„Rzeczpospolita”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Władza została na peronie

Zacznę od dobrej wiadomości. Dobrej dla spanikowanego obozu władzy. Nikt was nie zamierza zmuszać do aborcji. Wasz wybór i wasza decyzja. Zrewanżujcie się więc tym samym. I przestańcie kłamać na temat jakiegoś mitycznego kompromisu aborcyjnego. Czegoś, co można by nazwać kompromisem akceptowanym przez ogół obywateli, nigdy nie było. Przecież nawet najbardziej załgany prawicowy fundamentalista wie, że co roku Polki dokonują ponad 100 tys. zabiegów. Wiedza o tym i o tej skali jest powszechna. Podobnie jak wiedza, że sprawcami wielu aborcji są też księża, zakonnicy, ultrakatolicy i prawicowi politycy. Tylko takich niechcianych ciąży jest grubo więcej niż ten oficjalny tysiąc aborcji.

W dniu, gdy grupka sędziów oddelegowanych do Trybunału przez PiS udawała, że pracuje, doszło do ponad 300 aborcji. Tylko jednego dnia. A pomnóżcie to przez lata, jakie upłynęły od rzekomego kompromisu.

Moje pokolenie przyjmowało tę nowomowę o kompromisie jako dopust boży. Podobnie jak politycy wszystkich opcji z wyjątkiem małej grupy polityczek lewicy. I tak na kłamstwach i obłudzie upływały kolejne lata. Do czasu. Bo politycy zajęci jałowym pustostawem i oszukiwaniem wyborców nie zauważyli, że pod bokiem rosty im nowe pokolenia. Takie, które nie boją się biskupa ani proboszcza. Ani Kaczyńskiego. Dla ich rodziców i dziadków układanie się z Kościołem i przymykanie oczu na występki kleru było częścią DNA. Politycy uważali za oczywiste, że trzeba zabiegać o poparcie księży, podlizywać się im i wspierać hierarchów środkami z budżetu państwa czy samorządu. Długo tak było. Było, aż do tej jesieni. I koniec. To jest już proces zamknięty. Dla pokolenia, które masowo protestuje na ulicach, oczekiwania Kościoła i władzy są jakąś paranoją. Ono ani myśli podporządkowywać się tej obsesji, w jakiej żyli starsi.

Masowe protesty tak zaskoczyły PiS i przystawki partyjne, że kompletnie się pogubili. Pierwszy raz od lat. Ich szok jest tym większy, że protestujący publicznie i głośno mówią takim językiem, jakiego politycy zwykli używać między sobą. I który najlepiej rozumieją. Ból głowy obozu władzy jest tym większy, że do tych, którzy już protestują, mogą dołączyć kolejne grupy zawodowe. Chętnych nie brakuje, bo są realne rachunki krzywd i pretensji.

Jeśli w czasie pandemii skala protestów jest tak ogromna, to widać, jak wiele jest w Polsce gniewu i frustracji. A gdy słucham kolejnych oświadczeń Kaczyńskiego i jego zaplecza, to widzę ludzi, którzy zostali na peronie i wrzeszczą, bo im pociąg odjechał. Widzę ich bezradność. I ogromne zaskoczenie tym, co się dzieje.

NA JESIENNY SMUTEK

**NAJLEPSZE SĄ OFERTY
W SKLEPIE TYGODNIKA PRZEGLĄD**

- książki i pakiety książkowe
- e-wydania PRZEGLĄDU
- e-booki
- subskrypcja
i e-prenumerata
tygodnika



www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

BĄKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Młodzi przewrócili stół**
Te dni przeorają naszą niewolniczą mentalność
- 12 Młodzież budzi senny Prudnik**
Grzeczniejsi niż w wielkich miastach
- 14 Mężczy mnie Polska**
Tak się demonstruje z dala od stolicy
- 16 Protesty**
- 18 Antyaborcyjna nadgorliwość w Szpitalu Bielańskim**
Historia pewnej wolty
- 24 Aborcyjny Dream Team pomógł tysiącom kobiet**
Aktywiстки zbudowały prawdziwy system
- 36 Duda wygrał, a nie musiał**
– rozmowa z dr. Przemysławem Potockim
- 54 Dotkliwa kłeska**
Jacek Pałkiewicz oszukany przez MSZ

ZDROWIE

- 20 Nie ma cudów, są badania**
– rozmowa z prof. Piotrem Sieroszewskim

ZAGRANICA

- 28 Kolejny Trump może być jeszcze gorszy**
– rozmowa z prof. Davidem Ostem
- 32 Kandydaci dekonwicy**
Korespondencja z USA
- 34 Chile chce nowej konstytucji**
Koniec ery Pinocheta

OPINIE

- 40 Dominika Zębala, Jakub Katulski**
Nim ten ogień się wypali
- 42 Jarosław Makowski**
Koniec Kościoła zblatowanego z władzą

HISTORIA

- 46 Bereza Kartuska**
– rozprawa sanacji z opozycją

KULTURA

- 50 Wyspa wstydlivych tajemnic**
– rozmowa z Ewą Winnicką i Dionisiosem Stursem
- 53 Culturalia**
- 66 Anna Karpowicz-Westner. Ulotność**

SPORT

- 58 Niby Ekstraklasa, a na peryferiach**
Piłkarski czwarty europejski świat

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Władza została na peronie
- 23 Jan Widacki**
Orzeczenie, ostatnia zupka Julii Przyłębskiej
- 27 Andrzej Romanowski**
Cymbały brzmiące
- 31 Roman Kurkiewicz**
Bez „wypierdalać” nie razbieriesz
- 39 Tomasz Jastrun**
Obnażony nerw sumienia
- 45 Wojciech Kuczok**
W przededniu



PROTESTY

50
KULTURA

WYSPA WSTYDLIWYCH TAJEMNIC

– rozmowa
z Ewą Winnicką
i Dionisiosem Stursem



NIBY EKSTRAKLASA, A NA PERYFERIACH Piłkarski czwarty europejski świat

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. MAREK MALISZEWSKI/REPORTER

16
KRAJ

58
SPORT



Prof. Grzegorz W. Kołodko
Chinizm a przyszłość świata

Biznesy w czasach
pandemii

Schroniska pełne
agresywnych psów

✉ **Drakońskie prawo przeciw aborcji**

Wprowadzenie powszechnego zakazu aborcji przez Trybunał Konstytucyjny jest perfidnym działaniem PiS pod wodzą Jarosława Kaczyńskiego, mającym na celu odwrócenie uwagi społeczeństwa od klęski polityki ochrony zdrowia obywateli, prowadzonej od 1989 r. Aby odeprzeć zarzut, że poprzez swoją politykę PiS doprowadziło do tysięcy ofiar śmiertelnych, ekipa Kaczyńskiego postanowiła zmanifestować kontrolę nad sytuacją w kraju. Wprowadzono



więc drakońskie prawo określając drogą, zwalając całe oburzenie społeczne na TK i grupę posłów. W ten sposób ekipa Kaczyńskiego chciała uniknąć rozłamu wewnątrz PiS oraz zmanifestować jedność i gotowość do działań niepopularnych. Teraz uzyskała także narzędzia prawne do dyscyplinowania swojej partii i koalicji. Ponadto zyskała wdzięczność Kościoła i jego poparcie w dyscyplinowaniu społeczeństwa w perspektywie nowych (być może przyspieszonych) wyborów, które mogą być skutkiem spadku popularności polityki PiS.

Forsowanie ustawy o ochronie zwierząt poważnie zachwiało wpływami PiS w środowisku wiejskim i ujawniło wewnętrzne podziały w jego elektoracie. Potrzebne było wstrząśnięcie społeczeństwem i odbudowanie jedności. Przypadek prawa antyaborcyjnego pokazuje, jak bardzo antidemokratyczną instytucją jest Trybunał Konstytucyjny, który pomyślany został jako instytucja w ręku rządzących kasująca ustawy. Hasłami obecnych demonstracji powinny być: „Zakaz aborcji nie zasłoni masowych ofiar koronawirusa”, „Kobieta dysponentem

własnego ciała” i „Precz z usłużnymi sędziami Trybunału Konstytucyjnego”.

Dr Edward Karolczuk

Wiedziałam, że urodzę trupa

Dlaczego ludzie ludziom gotują podły los? Z nienawiści, z kompleksów, dla forsy? A może z głupoty, z braku sumienia czy z braku empatii?



Jak zwykle wszystko sprowadzi się do zabiegów po kryjomu. Z kolei minister Ziobro będzie mógł nagrywać swoje pokazówki z kolejnych zatrzymań ginekologów po prowokacjach tajnych agentów.

Maćko Lechita

A dlaczego państwowe – a więc pisowskie – USC nie wydają aktu istnienia człowieka i nie nadają numeru PESEL każdej zapłodnionej komórce? Dlaczego rząd nie wypłaca 500+ kobietom w ciąży w czasie od zapłodnienia do urodzenia? Czyżby pisowładza oficjalnie nie uznawała istnienia człowieka od chwili poczęcia?

Piotr Krzeszewski

Tego wszystkiego można było się spodziewać. Wyrosło ziarno zasiane nie tylko przez PiS. Wszystkie rządy od 1989 r. są winne tego, co teraz się dzieje na naszych oczach. Wygląda na to, że w najbliższym czasie będziemy przechodzić przyspieszony proces ateizacji społeczeństwa.

Mariusz Wójtowicz

ZDJĘCIE TYGODNIA

Prezes pod specjalnym nadzorem. W czasie gdy na ulice polskich miast wyszły tłumy rodaków, Jarosław Kaczyński ciężko pracował w Sejmie pod ochroną Straży Marszałkowskiej.





Projekt społeczny: Stop2covid – trzymaj dystans, noś opaskę (www.stop2covid.org).

Żółta opaska: dystans 2 m jest dla mnie OK. **Czerwona opaska:** trzymam jak największy dystans.

PYTANIE TYGODNIA

Czy o kształcie prawa aborcyjnego powinno zdecydować referendum?

KAMILA FERENC,

prawniczka, Federacja na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny

O kwestiach tak bardzo dotyczących prywatności, intymności, zdrowia powinno się decydować przy użyciu takich instrumentów jak panel obywatelski – by osoby, których będzie dotyczyć ustawa, mogły zabrać głos. Poza tym na wynik referendum może wpłynąć kształt pytań (np. „Czy jesteś za zabijaniem dzieci?”), a te są ustalane przez Sejm, w którym większość ma koalicja niestosująca żadnego umiaru w lekceważeniu praw kobiet. I znowu ci politycy powiedzą: „My tylko zapytaliśmy, kto inny zdecydował”. Zdejmą z siebie odpowiedzialność, a to jej najbardziej się boją, dlatego w sprawie aborcji wybrali ścieżkę Trybunału Konstytucyjnego. Kolejny problem to frekwencja. Może się zdarzyć, że wynik referendum będzie odzwierciedlał nie poglądy społeczeństwa, tylko to, kto w dobie epidemii i kryzysu mógł się stawić na głosowanie. Ktoś powie, że ultrakonserwatywni posłowie mogliby sami przegłosować zakaz aborcji, skoro mają większość. Tylko że wówczas każdy z nich indywidualnie odpowiadałby za swoją decyzję przed społeczeństwem –

tym samym, w którym większość wydałaby się być za liberalizacją.

DR KATARZYNA DE LAZARI-RADEK,

etyczka, Uniwersytet Łódzki

Wyobrażam sobie, że byłoby to najlepsze rozwiązanie, pod warunkiem że udział w głosowaniu byłby obowiązkowy. Wtedy nie musielibyśmy się martwić, czy frekwencja będzie wystarczająca, by wynik referendum był wiążący. Nie jestem jednak w stanie ocenić, czy na mój wybór nie ma wpływu to, że społeczeństwo jest przeciwne wyrokowi Trybunału Konstytucyjnego. Gdybyśmy mieli głosować np. nad przywróceniem kary śmierci, a większość obywateli popierałaby takie rozwiązanie, miałabym prawdziwą zagwozdkę.

DR HAB. ANNA RYTEL-WARZOCHA,

konstytucjonalistka, Uniwersytet Gdański

Teoretycznie mogłoby ono zostać przeprowadzone na podstawie art. 125 konstytucji, gdyż jest to niewątpliwie sprawa ważna dla państwa. Polska konstytucja nie zakazuje referendum w sprawie praw człowieka (tak jak np. konstytucja Słowacji). Uważam jednak, że prawa podstawowe i wolności jednostki

nie powinny być przedmiotem referendum. Ich poszanowanie w odniesieniu do każdego człowieka jest obowiązkiem państwa i innych ludzi, niezależnie od woli większości głosujących. Trzeba też zauważyć, że referendum może być formą rozwiązywania istotnych problemów tylko wtedy, gdy spełnia określone standardy (np. co do sposobu formułowania pytań poddanych pod głosowanie), jest poprzedzone obiektywną i merytoryczną kampanią – również w mediach publicznych, a organy władzy państwowej są gotowe implementować do porządku prawnego każdy jego wynik. Obecnie trudno oczekiwać, że warunki te byłyby spełnione.

Czytelnicy PRZEGLĄDU

BARTŁOMIEJ BEDNARZ

Jak najbardziej, a mężczyźni powinni być pozbawieni prawa głosu.

BARBARA KRZEMIŃSKA-SOBCZYK

Referendum już się odbyło – na ulicach. Mimo niebezpieczeństwa zakażenia tysiące ludzi wyraziło dobitnie swoje zdanie i chyba nie ma wątpliwości jakie.

Not. Michał Sobczyk



Młodzi przewrócili stół

Te dni przeorają naszą niewolniczą mentalność

Roman Kurkiewicz

Kulturalnie już było, nie słuchaliście, to teraz tysiące kobiet w całej Polsce (ponad 200 miejscowości) skandują: „Wypierdalać”, władza ma strach w oczach, opozycja stania się ze zdumienia, a kościółkowi są jak po ciężkim nokaucie, wciąż nie wiedzą, czy jeszcze leżą, czy już usiedli. Gigantyczne protesty zainicjowane przez środowiska kobiecych aktywistek z czasów Czarnego Protestu w 2016 r. demolują właśnie scenę polityczną w Polsce. Proponuję powołać Kobięcy Rząd Tymczasowy, niczego lepszego nie wymyślicie.

Katarzyna Wężyk, dziennikarka „Gazety Wyborczej”, komentowała: „To genialne – brawo Strajk Kobiet – hasło protestu: WYPIERDALAĆ. Ono zbiera gniew, który narastał od 30 lat, a dostał przyspieszenia przez ostatnie pięć. Na państwo, które na obywatela i obywatelkę się wypina. Na usługi publiczne, które ledwo zipią. Na szcucie na osoby LGBT. Na wszystkie dotychczasowe rządy, od udawanej lewicy do katopracy, które prawa kobiet uznawały za »temat zastępczy« i na wyścigi je przehandlowywały za poparcie Kościoła. I tak, na Kościół. Zwłaszcza na Kościół: instytucję patriarchalną, mizoginiczną, homofobiczną, przemocową, szerzącą pogardę i mowę nienawiści, zaglądającą nam pod kiecki i do łóżka, i mimo tego mającą status świętej krowy i monopol na pouczenie, zawstydzanie i stygmatyzowanie. No więc ten status i ten monopol się skończył. Zakończył go wyrok tzw. TK, o który Kościół lobbował od 30 lat, a potem triumfował”.

W tym jest moc

Ten protest jest inny, jak każda rewolucja jest inna. Na czele stoją tysiące nieznanymi z nazwiska kobiet. I tak ma być. W tym jest moc, jakiej nie widzieliśmy od wielu lat, a może

nigdy. To doświadczenie kobiecego oporu i determinacji już ma wymiar historyczny. Polska ani, w szczególności, polski Kościół już nigdy nie będą takie same. Tego protestu nie da się zamieść pod dywan. Polska to nie jest TVP Info Kurskiego i willa Kaczyńskiego na Żoliborzu.

Kiedy 22 października fasadowy Trybunał Konstytucyjny *de facto* uniemożliwił dokonywanie aborcji w przypadku ciężkiego uszkodzenia płodu (uznając za niekonstytucyjne zapisy ustawy z 1993 r.), w ciągu tygodnia przez Polskę przetoczyła się niespotykana fala protestów, odbył się nieformalny strajk kobiet o charakterze powszechnym, w setkach miasteczek zablokowano ruch uliczny, w miastach wiele ze spontanicznych manifestacji wyruszało pod kościoły, siedziby biskupów, siedziby PiS. Pokojowe protesty, organizowane przez tysiące niezrzeszonych

Kobiety walczą o lepszą Polskę i lepsze życie w niej dla nas wszystkich.

aktywistek, zapoczątkował Ogólnopolski Strajk Kobiet, ruch społeczny powstały podczas Czarnego Protestu w 2016 r. przeciwko odrzuceniu przez Sejm RP projektu ustawy „Ratujmy kobiety” i jednocześnie skierowaniu do prac w komisji projektu „Stop aborcji”.

Protesty miały swoje intensywniejsze odsłony: demonstracja pod domem Jarosława Kaczyńskiego, protesty w kościołach, blokady ulic w miastach, strajk kobiet. Gdy zamykamy ten numer, zapowiadany jest marsz na Warszawę. Wszystko to w sytuacji ogłoszenia przez rząd, że cała Polska jest czerwoną strefą, i wynikających z tego obostrzeń, m.in. zakazu zgromadzeń ponad pięć osób, obowiązku zachowania dystansu, noszenia maseczek, ograniczenia możliwości przemieszczania się osób po 70. roku życia oraz dzieci i młodzieży do lat 16.

Protesty zaskoczyły skalą, nieprzewidywalnością scenariusza (najbardziej charakterystyczne stały się prze-marsze improwizowanymi trasami, np. w Warszawie jednego dnia tłum potrafił gromadzić się w okolicach domu Kaczyńskiego, żeby przewędrować w pobliże Sejmu i zakończyć na ulicy Parkowej, gdzie rząd dysponuje domami dla najwyższych urzędników w państwie). Na ulice wychodzą dziesiątki tysięcy osób, umawiających się przez media społecznościowe. Fenomenem jest dominujący udział kobiet i osób młodych, o bardzo szerokim przekroju społecznym. Najpowszechniej używanym hasłem stał się okrzyk „Wypierdalać”, skierowany zarówno do postaci z rządu, Jarosława Kaczyńskiego i PiS, jak też do hierarchów kościelnych. Radykalny wymiar miały hasła wymierzone właśnie w hierarchię i kler Kościoła katolickiego, oskarżanych o próbę

narzucenia własnych reguł ogółowi społeczeństwa („Nie chcesz aborcji, to jej sobie nie rób”, „Moja pusia, nie Jarusia”, „Moja macica

to nie kaplica”). Wiele hasel żądało nieograniczonego prawa do aborcji, ucięcia wpływu Kościoła na politykę i ustawodawstwo. Były hasła skrajnie antypisowskie („Jebać PiS”), ale i wymierzone w konkretne osoby, głównie Jarosława Kaczyńskiego jako rzeczywistego sprawcę uruchomienia ospałego i zarazem dyspozycyjnego Trybunału Konstytucyjnego z jego prezeską Julią Przyłębską, wcześniej przez lata szeregową sędzią, prywatnie znajomą Kaczyńskiego, żoną kontrowersyjnego ambasadora Polski w Niemczech, Andrzeja Przyłębskiego. Pod ich berlińskim domem demonstrują tamtejsi Polacy z tym samym hasłem „Wypierdalać”. Adresy nieakceptowanych przedstawicieli władzy krążą w sieci. Nie tylko Jarosław Kaczyński przebywa poza swoim domem (chronionym jak Częstochowa przed Szwedami). Wy-prowadziła się także była poślanka

Warszawa, 26 października 2020 r.



PiS, obecnie sędzia TK, Krystyna Pawłowicz.

Rozmiar protestów i ich charakter zaskoczył rządzących i niemal całą klasę polityczną, oprócz grupy postanek i postów Lewicy, wspierających protesty na ulicach i w parlamencie. Przez prawie tydzień demonstracji nie komentowali ani premier, ani prezydent. Policja, choć obecna bardzo licznie np. w okolicach domu prezesa Kaczyńskiego, zasadniczo interweniowała incydentalnie, niekiedy reagując nadmiernie, w większości przypadków jednak ograniczając się do blokady i zabezpieczania przestrzeni. Blokada ulic w ok. 200 miastach pokazały jej całkowitą bezradność przy tej skali i dynamice protestów.

Dopiero 27 października Jarosław Kaczyński, 71-letni prezes PiS i obecnie wicepremier nadzorujący resorty siłowe (wojsko, policję, siły specjalne), wygłosił w mediach PiS oświadczenie. W bezprecedensowym wystąpieniu (wciąż) faktyczny przywódca formacji politycznej rządzącej niepodzielnie Polską od 2015 r. wygłosił wiele konfrontacyjnych tez, wyraźnie dążąc do podgrzania nastrojów na ulicach, nawet nie próbując szukać politycznego rozwiązania konfliktu. Oskarżył manifestujących o narażanie życia w czasie pandemii, sejmową opozycję nazywał przestępcami, oburzał się na wyrazisty

język protestów, szukał politycznych inspiracji poza Polską, mówiąc, że demonstrujący byli szkoleni. W końcu wystąpił z szokującym apelem do działaczy PiS oraz wspierających je środowisk, w domyśle prawicowych bojówek, kojarzonych z takimi inicjatywami jak tzw. Marsz Niepodległości, ONR czy środowiskami kibicowskimi, o fizyczną obronę kościołów, rzekomo narażonych na ataki (w niedzielę, 25 października, w kilku-kilkunastu kościołach miały miejsce protesty uczestniczących w nabożeństwach katolików przeciw antyaborcyjnej roli i aktywności politycznej Kościoła). W histerycznym tonie Kaczyński zapowiedział zdecydowaną reakcję państwa na rozlewającą się falę protestów: „Ci, którzy do nich wzywają, ale także i ci, którzy w nich uczestniczą, sprowadzają niebezpieczeństwo powszechne, a więc dopuszczają się przestępstwa, poważnego przestępstwa. Władze mają nie tylko prawo, ale także obowiązek przeciwstawiania się tego rodzaju wydarzeniom”.

Apel Kaczyńskiego już usłyszały prawicowe bojówki, atakując protestujących, głównie kobiety, w kilku miastach: Poznaniu, Białymstoku, Warszawie, Gdańsku, Wrocławiu. Inne grupy osłków pilnują kościołów, których nikt nie atakuje. Na razie więc Kaczyński ma krew na rękach, tylko czekać, kiedy wypuszczony

z jego głowy dżinn przemocy zbierze śmiertelne żniwo.

Protestujące są niezwykle skuteczne, bo działają w niehierarchiczny, nieskoordynowany (poza głównymi celami: marsz pod konkretną instytucję, siedzibę partii lub dom polityka, strajk, blokada ulic, marsz na Warszawę) sposób, komunikują się poprzez media społecznościowe. Uczestników demonstracji jest zbyt wielu, w zbyt wielu miejscach, żeby można było skutecznie ich powstrzymać. Dochodzą głosy, że również formacje policyjne nie są zachwycone swoją rolą w tłumieniu tych demonstracji, że stała się cała robota kryminalna, bo trzeba pilnować willi Kaczyńskiego, poza tym spora część policjantek i policjantów podziela racje protestujących.

Protesty wspierane są przez samorządowców, władze uczelni, najróżniejsze środowiska, w tym związki zawodowe – poza Solidarnością, pojawiają się głosy, że postulaty powinny zostać poszerzone o żądania o charakterze socjalnym, płacowym, społecznym.

Największym przegranym tego starcia jest Kościół katolicki, który albo w triumfalnych zachwytach nad antykobiecą decyzją Trybunału, wygłaszanych przez takich hierarchów jak abp Jędraszewski, albo w wymijających dokumentach episkopatu zdejmując z siebie odpowiedzialność, ►

► przesuwając ją w stronę zwasalizowanych przez siebie środowisk prawniczych. Dziesiątki księży stanęło przed koniecznością bezpośredniej konfrontacji z rozwścieczonymi kobietami, często kilkunastoletnimi dziewczynami, wobec determinacji których byli po prostu bezradni. Mury kościołów pokryły proaborcyjne grafiki, na marszach wierni zmanifestowali odmienny niż oficjalny pogląd. Uzbrojeni po zęby policjanci prewencji strzegą siedzib biskupów i wejść do katedr. Czasami „asystują” bojówkarzom narodowców w aktach przemocy wobec protestujących kobiet, tak jak to było na schodach kościoła św. Krzyża w Warszawie.

z piedestału, jak przestają spijać z ust twoich mądrości, jak twoje zmarszczenie brwi już nie wystarczy, żeby niegrzeczna dziewczynka przeprosiła i wróciła na swoje miejsce w szeregu. Ale to się dzieje. Nie wierzysz mi, idź na protest. Zobacz te tysiące dwudziestoparolatek z transparentami »no uterus, no opinion«, »jebać PiS«, »kastacja księży«, »this pussy bites back«, zobacz nastolatki krzyczące do księdza, żeby pokazał macicę albo wypierdalał, zobacz dziewczynę kwitującą pultanie się narodowca, że na żadne profanowanie kościoła nie pozwoli, krótkim a celnym »mam na to wyjebane«. Na tweety zatroskanych »radykalizmem« i »niewłaściwym,

naszego cierpienia i naszej woli za nieważne, to, *surprise*, jednak za dużo. Ta cipka się odgryza.

Ani rząd, ani Kościół nie zasługują dziś na zaproszenie do rozmowy, nie zasługują nawet na tzw. kulturalne wezwanie do odejścia. Z osobami odmawiającymi ci podmiotowości się nie rozmawia. Z osobami uważającymi, że zygota albo zaśniedział ma więcej praw od właścicielki macicy, nie prowadzi się kulturalnych sporów. Osoby przez lata używające mowy nienawiści, szantażujące Hitlerem, wyzywające od morderczyń, uważające, że mogą dysponować ciałami kobiet, bo ich bóg i biskup tak chce, nie zasługują na dialog. Wchodzicie w nasze życie i nasze ciała, to się nie dziwicie, że wchodzimy wam do kościołów. Szerzycie z otłarzą nienawiści, to się nie dziwicie, że ktoś przed nim staje z transparentem »Aborcja jest OK«.

Z przemocowcami się nie negocjuje. Przemocowcom każe się wypierdalać.

PS Wykrzyczenie, pełnym głosem, na ile maseczka pozwala, wypierdalać, jebać PiS, biskupie, mam cię w dupie, ma też efekt katarski i transgresyjny. Tak bezwstydnym, otwartym okazywanie gniewu, w słowach, które »nie przystoją damie« i szargających tzw. świętości, jest symbolicznym przekroczeniem granicy dzielącej stary porządek od nowego, który się, mam nadzieję, tworzy. Takiego, w którym kobieta traktowana będzie – tak, wiem, to radykalny postulat – jak człowiek».

Odporność na plucie w twarz się skończyła

Tyle Katarzyna Wężyk. Była minister kultury Małgorzata Omilanowska wypowiedziała się w podobnym duchu: „Dziadersy i dziaderski, niezależnie od głębi i szerokości waszych racji w krytyce skierowanej przeciwko: językowi, formie, działaniom, brakowi kultury osobistej, brakowi szacunku do K/kościół jako instytucji i jako budynku, łamaniu norm społecznych itp., itd., informuję uprzejmie, że to już młodych nie obchodzi. Oni już wstali od stołu negocyjacyjnego (którego im nigdy nie zaproponowaliście). Jak grzecznie chodzili pod czarnymi parasolkami, toście zignorowali ich apele. Teraz możecie nawoływać o spokój i kulturę osobistą do wypęku».

I PiS, i Kaczyński osobiście usłyszeli coś, co ich realnie przestraszyło: że mogą władzę stracić i może im nie ujdą na sucho.

Przełamane zostało tabu zdejmujące z Kościoła odpowiedzialność i zapewniające mu bezkarność. Runął gmach jego, wydawałoby się, nienaruszalnej władzy symbolicznej („Jesteśmy córkami czarownic, których nie udało się wam spalić” czy przedwojenne Boyowskie „Piekło kobiet” wykrzywane księżom w twarz). To jest prawdziwy koniec projektu poczętego przez władzę z Kościołem i trwającego przez cały okres powojenny, z PRL włącznie.

Z przemocowcami się nie negocjuje

W tym proteście, co podkreśla też jego dosadny – inni powiedzą wulgarny – język, chodzi o coś więcej niż „jebać PiS”. Chodzi tak naprawdę o należne kobietom miejsce w społeczeństwie, faktyczną, a nie tylko formalną równość wobec prawa („Gdyby ministraci mogli zachodzić w ciążę, to aborcja byłaby sakramentem!”). Rewolucyjny wymiar tego protestu wyraziła doskonale Katarzyna Wężyk: „Dziś znowu mężczyzna pouczył mnie, że źle się bawię. Że mój tekst jest »emocjonalny«, wulgarny »niepotrzebne«. Sam protest zaś »efemeryczny«, do tego w temacie zastępczym. Czas pouczających starszych panów się skończył. Definitywnie. Ja wiem – *sorry, edit*, nie wiem, nigdy nie byłam w tej pozycji, wszak jestem tylko kobietą – wyobrażam sobie: to boli, jak cię nagle zrzucą

szkodzącym sprawie językiem» odpowiadają, owszem. Transparentami »uprzejmie proszę wypierdalać«.

Te protesty nie są po to, żeby wam się podobać. Nikt was, dzbany, nie pyta o pozwolenie i nikt was nie pyta o zdanie. Znosiłyśmy wasz mentorski ton, wasze protekcyjne pouczanie, wasze infantylizowanie, wasze »gówno wiem i mnie to nie dotyczy, ale bardzo chętnie się wypowiem«, wasz *mansplaining*, wasze uciszanie i przerywanie, bo tak nas niestety socjalizowano. Do bycia grzeczną, miłą i sympatyczną, do unikania konfrontacji, do bania się, że ktoś nas nie polubi, do nierobienia problemów, do poświęcania się dla dobra ogółu, który to ogół zazwyczaj okazywał się waszym dobrem. Jak widać, te nastolatki i dwudziestolatki już nie są. Przyzwyczajajcie się, bo one to już w ogóle do dzbanów i boomersów (kategoria mentalna, nie wiekowa) nie mają cierpliwości.

Coś pękło i najlepiej to uczucie podsumowuje genialne – brawo Strajk Kobiet – hasło protestu: WYPIERDALAĆ. (...) Wypierdalać oznacza, że doszliśmy do ściany. Że ta ekipa rządząca, zblatowana z Kościołem, nie zasługuje na nic innego. Że o jeden raz za dużo zostaliśmy potraktowane z butą, walnięte pięścią w splot słoneczny i oplute. Że o ten jeden raz za dużo odebrano nam prawa w imię politycznych rozgrywek. Że przyzwolenie na tortury, że nakaz rodzenia beczaszekowców, że uznanie

A Inga Iwasiów, profesorka literatury z Uniwersytetu Szczecińskiego, straszona przez ministra edukacji, że zostanie ukarana za używanie wulgaryzmów, odpowiada: „Czy wulgarne hasło uderza w godność Uniwersytetu, nadzaruje wizerunek uczoney, gorszy społeczeństwo? To śmieszne, absurdałne twierdzenie wynika z traktowania społeczeństwa jako maluczkich, sterownych i łatwych do zmanipulowania. (...) prawdziwe zgorszenie się ci, którzy nie bacząc na stan zdrowia publicznego, wypychają nas na ulice – mają te swoje okryte sławą wielce zaawansowanych grupy eksperckie, czyżby nie wiedzieli, że odporność na plucie w twarz się skończyła? Prawdziwym zgorszeniem jest powołanie na ministra edukacji i nauki mizogina i homofoba z mikroskopiowym dorobkiem. Tak się zrywa komunikację. Nie bójmy się języka tego protestu, sami uczylimy, że słowa powinny być adekwatne, że mają moc sprawczą. Uprzejmie zapraszamy na debatę – nie podziata. Jeśli słowa działają, mówimy, piszemy. Bez wulgaryzmów, dowolnym stylem, bo po wietrzeniu będzie za późno”.

I jeszcze głos Pauliny Młynarskiej, dziennikarki, pisarki: „Katolicy i katoliczki, oburzający się »aktami wandalizmu« wobec kościołów. Zaniepokojeni agresją, wulgarnym językiem i wkurwem! Gwarantuję Wam, że chwila, w której dorosły facet gwałci dziecko, rozrywając mu narządy rodne, odbył i psychikę, to akt znacznie dalej posuniętej agresji niż wejście do świątyni z transparentem, posprayowanie ścian i krzyknienie »wypierdalać«. Gwarantuję Wam, że kiedy kolejny zaszczyty przez Waszych hierarchów nieheteronormatywny dzieciak podcina sobie żyły albo skacze z mostu, albo po prostu ląduje na ulicy wywalony przez »kochających«, nakręconych przez proboszcza rodziców, to jest w tym znacznie więcej agresji niż w pomalowaniu pomnika czerwoną farbą. I gwarantuję Wam, że kiedy miesiącami torturuje się kobietę i zmusza ją do urodzenia dziecka, które będzie konało na jej oczach, to jest w tym nieco więcej agresji niż w powiedzeniu zadufanemu w sobie dziadowi, który ustawia innym życie, a sam folguje sobie na każdym kroku, żeby wypierdalać”.



Kraków, 27 października 2020 r.

Są też postulaty, choć napisane nienamaszczonym językiem, akceptowalnym przez „poważnych” polityków (czyli mężczyzn). Zebrał je Strajk Kobiet, przytaczam *in extenso*, z szacunku: wypierdalać z oświadczeniem Przyłębskiej; wypierdalać z Przyłębską; chcemy prawdziwego TK; chcemy prawdziwego SN, w całości; chcemy prawdziwego rzecznika praw obywatelskich; chcemy nowelizacji budżetu – kasy na ochronę zdrowia, pomocy dla pracowników, przedsiębiorców, kultury i prawdziwego wsparcia dla osób z niepełnosprawnościami; chcemy pełni praw kobiet,

Doświadczenie kobiecego oporu i determinacji już ma wymiar historyczny.

legalnej aborcji, edukacji seksualnej, antykoncepcji; chcemy pełni praw człowieka; chcemy świeckiego państwa, w tym zaprzestania finansowania Kościoła z budżetu państwa i wypierdalać z religią ze szkół; chcemy dymisji rządu.

Postulaty protestującej ulicy nie stały się dotąd nawet przedmiotem politycznej debaty. OSK zapowiedział „powołanie Rady Konsultacyjnej, która będzie pracować nad tym, jak posprzątać burdel po PiS”.

Te dni nas zmieniają

Nie wiemy, czym zakończy się ta fala protestów, wszak wybory dopiero

za trzy lata, nie wiemy, co na dniach wprowadzi rząd (kolejne obostrzenia, radykalną przemoc policji i wojska, stan wyjątkowy, nieposkromienie prawicowych bojówek). Nie wiemy, jak się odnajdzie klasa polityczna w tym klinczu i wobec nowej, potężnej graczy na scenie politycznej: polskich kobiet. Wiemy, że te dni przeorają naszą niewolniczą mentalność, że Kościołowi już nigdy nie będzie wolno tyle, ile jeszcze dwa tygodnie temu, że zarówno PiS, jak i Kaczyński osobiście usłyszeli coś, co ich realnie przestraszyło: że mogą władzę stracić i może im nie uść na sucho. Ale też inni usłyszeli „nie!” dla kunkta-

torstwa politycznego kosztem praw i zdrowia kobiet. Protestujące mówią twardo: „Trzeba było nas nie wkurwiać” i że nie ma powrotu do żadnego kompromisu.

W komentarzach pojawia się scenariusz hybrydowej reakcji władzy: pomieszenie obostrzeń antycovidowych (kończą się łóżka i respiratory, ponad 20 tys. zarazonych dziennie, ponad 5 tys. ofiar śmiertelnych) z brutalizacją działań policji. Ktoś sufluje pomysł podważenia orzeczenia TK, ponieważ właściwie identyczny w treści wniosek o zakwestionowanie zgodności z konstytucją przepisów antyaborcyjnych

składała wcześniej grupa posłów, w tym Krystyna Pawłowicz, która obecnie wystąpiła w roli sędzi, co zdaniem prawników jest

ewidentnym przypadkiem sądenia we własnej sprawie. Można by więc z tej eksplozji atomowej po cichu się wycofać. Wydaje się jednak, że protesty poszły już dalej. Czas na realizację żądań, a nie na wycofanie pod formalistycznym pretekstem.

Kobiety walczą o lepszą Polskę i lepsze życie w niej dla nas wszystkich. Winniśmy im wsparcie. Murem za kobietami, nie z przodu. I nie można tego tekstu zakończyć inaczej jak: „Wypierdalać!”.

Roman Kurkiewicz,
wnuk Zofii i Jadwigi, syn Marii,
ojciec Rut i Róży, dziadek Idy i Wandy
r.kurkiewicz@tygodnikprzeгляд.pl

Beata Dżon-Ozimek

– Nie po to obrywałam w stanie wojennym, żeby znowu dziś wychodzić na ulice w obronie praw człowieka – mówi niemal ze łzami Małgorzata, pracowniczka wiejskiej kultury. Była jedną z ok. 300 osób, które protestowały w liczącym 21 tys. mieszkańców Prudniku na Opolszczyźnie. Tu mieścił się kiedyś Frotex, największy polski producent ręczników frotowych, a wcześniej zakłady włókiennicze rodziny Fränkłów, jedno z najpotężniejszych w Europie.

Sobota, dwa dni po ogłoszeniu skandalicznego wyroku TK o niezgodności z konstytucją prawa do aborcji w przypadku ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia płodu.



Młodzież budzi senny Prudnik

W małych, konserwatywnych środowiskach wiele się ryzykuje publicznym wyrażeniem opinii

Senne miasteczko, popołudniami wyludnione, tym razem jest pełne ludzi. Na płycie rynku z fontanną z dwugłowym orłem Habsburgów i figurą maryjną z 1696 r. słychać skandowane hasła, dźwięk syren. Dookoła zabytkowego ratusza przepływają czarno ubrani, pełni energii młodzi, rodziny z dziećmi, starsi; dominują kobiety. Według policji maszeruje 110 osób, dwa razy tyle z czasem pojawia się jeszcze na rynku, mówi się o 300 uczestnikach. Idą, stoją w maszynkach, maksymalnie piątkami, w przepisowych odległościach od siebie. Ci, co nie włączają się do marszu, pokazują kciuki w górę, uśmiechają się, rzucają solidarnościowe hasła. Okna i balkony kamienic wokół rynku też niepewnie się otwierają, ludzie przyglądają się, rynek zapełnia się samochodami. Kilkunastu policjantów spokojnie obserwuje wydarzenia. Takiego energetycznego Prudnika najstarsi mieszkańcy nie pamiętają, chyba że z akcji protestacyjnej we Froteksie w 1980 r.

Okoliczne wsie uchodzą za bastion prawicy, to z wioski obok pochodzi Katarzyna Czochara, posłanka PiS niedawno zawieszona w prawach

członka partii za głosowanie przeciw „piątce Kaczyńskiego”, a pobliskie Głucholazy wydały jednego z najbardziej aroganckich postów Porozumienia Gowina, Kamila Bortniczuka; tutaj wygrywał Andrzej Duda.

Grzeczniejsi niż w wielkich miastach

– To megawycieczyn jak na Prudnik! – mówi mi Bogna, 40-latką. Na plakatach symbol czerwonej błyskawicy, a nie SS, jak chce Ryszard Terlecki z PiS. Obok błyskawicy hasła: „Kobiety są ważne”, „Macica nie ma lekkiego życia”, „Wolność wyboru zamiast terroru”, „Co z tobą Polsko”, „Myśląca kobieta zagrożeniem dla władzy”, „Don’t touch my macica”, „Wybór nie zakaz”, „My body my choice”. I jako pierwszy, na początku marszu, plakat: „To jest wojna”, choć marsz jest pokojowy. Organizatorami demonstracji są Wiktoria, Kuba, Natalia, Oliwia, Kamil, Sara, angażują się Mariusz i Bogna. Młodych wspierają rodzice, dziadkowie, nawet kibice lokalnego klubu Pogoń Prudnik, okutani w szaliki w niebieskich barwach klubowych. „W dniu dzisiejszym

na prudnickim rynku o godz. 17.00 nasze kochane kobiety organizują protest przeciwko temu cyrkowi, jaki rząd im i nam oferuje. (...) Gromadzimy się w grupkach pięcioosobowych z zachowaniem wszelakich zasad bezpieczeństwa. Bądźcie tam z nami. Kobiety kochamy i wspieramy”, czytamy na klubowej stronie.

Nikt nie krzyczy „wypierdalać”, ta młodzież jest wciąż grzeczniejsza niż w wielkich miastach. Nikt nie protestuje pod kościołami, nie wchodzi do nich. Marsz w obronie praw kobiet w Prudniku to pierwszy protest w regionie poza Opolem, potem na ulice wyszli mieszkańcy Brzegu, Nysy i innych miejscowości. W małych środowiskach, do tego konserwatywnych, gdzie każdy zna każdego, jasne są zależności zawodowe, urzędnicze, towarzyskie, wiele się ryzykuje publicznym wyrażeniem opinii.

A zaczęło się od nieśmiałego anonusu w mediach społecznościowych: „Witam, przychodzę z pytaniem, czy gdyby zorganizować »mały protest« przeciw ustawie aborcyjnej w Prudniku, zrobić i wziąć plakaty, wieszaki i poudostępniać na różnych profilach, ktoś byłby chętny? (...)”



W Prudniku demonstrowało ok. 300 osób, głównie młodzież, ale też ich rodzice, dziadkowie, nawet kibice lokalnego klubu.

Wiem, że nie każdy ma możliwość pojechania do większego miasta, a każdy czyn się liczy. Może być to kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt osób, myślę o sobocie 24.10 bądź niedzielę 25.10. Co myślicie, ktoś chętny? WALCZMY RAZEM! Miałoby się to odbyć na rynku”.

Radny PiS obserwuje

– Prudnik nie jest dużym miastem, nie ma tutaj zbyt zróżnicowanych i zorganizowanych środowisk światopoglądowych. W 2015 r. odbył się tu protest antyimigrancki. W ostatnich wyborach – parlamentarnych i prezydenckich – najwięcej wieców zorganizowało PiS. W Prudniku od kilku lat odbywają się Marsze dla Życia i Rodziny. Były też protesty w obronie sądów, ale pikietujących nie było wielu. Ten protest z tak dużą frekwencją na pewno zaskoczył niejedną osobę i pokazał, że jego temat jest poza podziałami politycznymi. Publiczne wystąpienia w małych miastach nie są łatwe, ponieważ nikt tutaj nie jest anonimowy – wyjaśnia Andrzej Dereń, redaktor naczelny „Tygodnika Prudnickiego”, najważniejszej lokalnej gazety.

Faktycznie, najgłośniejszy był komentarz lokalnego działacza PiS, Dariusza Kolbka, radnego powiatu, znanego z kontrowersyjnych wypowiedzi i wpisów w internecie,

np. grafiki domu z kominem, z którego wychodzi dym w kolorach tęczy. Kolbek publikuje hasła: „Nie dotykać, chore lewactwo” obok modlitwy i zdjęcia krzyża chronionego przez uzbrojonych w karabiny maszynowe mężczyzn. Teraz napisał: „Dzięki protestowi w Prudniku już wiemy, kto gdzie i z kim. A można tam było zobaczyć skarbniczkę powiatu i jej latorośl i innych pracowników, radnego powiatowego mocno wspierającego protestujących, osoby bardzo młode, żonę dziennikarza lokalnej gazety, bardzo poczytnej, kibiców Pogoni o zgrozo, bo zawsze widziałem kibiców po prawej stronie, w obronie wartości i życia, a u nas wszystko odwrotnie. Być może wynika to z tego, że środowiska te są związane z rządzącymi w tym powiecie, a to niestety przedstawiciele PO, lewactwa i kodziarstwa. Skąd tyle młodzieży, która przecież jeszcze nie zna życia, ale widać zostali przekonani do udziału w tych protestach. No cóż Minister Czarnek będzie miał wiele do zrobienia, aby przywrócić do szkół wartości, patriotyzm, rodzinę, przyzwoitość, uczciwość, godność życia i normalność. Ale to niestety praca na wiele lat. Ale my też możemy wiele zrobić i nie pozostawiamy obojętni, stałmy w szeregu, organizujemy się, przecież jest nas wielu. Nie bójmy się, bo jeśli przegramy to dla słusznej sprawy”. Sprzymierzeńcy radnego sięgają po

„dzicz”, „lewactwo”, odbierają młodym prawo do własnych poglądów, nawołują do nienawiści, co zgłoszono do odpowiednich służb. Odkopanie się z własnych szanów wygląda w Polsce na niemożliwe.

Zwyzywani od najgorszych

– Mówiliśmy podczas marszu, że każdy ma prawo do swoich poglądów, nie możemy wymagać od kogoś tolerancji, nie będąc tolerancyjnymi, zdanie każdego człowieka jest ważne, tak jak i uczucia, a my walczymy o wybór. Nie podzielając czyjegoś zdania, zostawmy mu wybór – apeluje 19-letnia Wiktoria, liderka protestu, który zakończył się przemarszem pod biuro poselskie Katarzyny Czochary z PiS. Protestujący zostawili jej plakat i znicz. Młodzi organizatorzy i uczestnicy demonstracji podkreślają postawę miejscowej policji. Stała na straży porządku, zapewniała bezpieczeństwo, spokój, doceniała starania młodych ludzi, by trzymać się przepisów. – Cieszymy się, że policja nie chciała powtarzać scenariusza z Krakowa czy Warszawy – mówi Wiktoria. Już w sąsiednich miastach, np. w Nysie, było inaczej. Starszy aspirant Andrzej Spyra z KPP Prudnik: – Demonstracja przebiegała spokojnie, byliśmy cały czas w kontakcie z organizatorami. Nie było poważniejszych złamań przepisów, jedynym incydentem było obrzucenie jajkami demonstrujących, prowadzimy w tej sprawie czynności.

Jajkiem oberwały m.in. mama Wiktorii i jej ciocia. – Moi rodzice i matka chrzestna są z nas, młodzieży, dumni. My kiedyś przejmemy ten kraj, będziemy tu żyć. Chcemy mieć podstawowe prawa. Nie chcemy wyjeżdżać z Polski. Biorę udział w wyborach, od kiedy mogę, bo chcę mieć trochę udziału w tym, co nas będzie otaczać i kto nami będzie rządził, a teraz musimy protestować. Przykre, że ja i moi koledzy zostaliśmy zwyzywani od najgorszych, od kurw, ścierv; zarzuca się nam, że zmuszamy innych do zabijania, że nie znamy życia, że propagujemy nienawiść. My staraliśmy się tylko pokojowo wyrazić zdanie – komentują smutno młodzi ludzie z Prudnika.

Zrobili to najlepiej, jak tylko można. Oby nikt ich nie zastraszył, nie odebrał świeżości widzenia, nie zniechęcił do naprawiania świata. ■

Męczy mnie Polska

Dotychczas protestowały duże miasta, teraz demonstrują Polki z małych miejscowości. U ich boku idą Polacy



To pierwsza demonstracja Strajku Kobiet w Żninie. Udało się zablokować miasto!

Zuzanna Muszyńska

Żnin, 26 października

(24 tys. mieszkańców gminy; Duda Andrzej Sebastian: 6322 głosy, Trzaskowski Rafał Kazimierz: 5583 głosy – wybory prezydenckie, lipiec 2020)

Pochód wyrusza o godz. 16.30 z Rynku Staromiejskiego. Na czele idą dwie kobiety w średnim wieku, z banerem: „Wybór, nie zakaz”. Za nimi nie tylko młodzi; idzie dużo rodzin i matek z dziećmi. Maszerują też mężczyźni. Blisko czoła pochodu rzuca się w oczy męska grupa.

– Panowie za czy przeciw?

– Żeby się sprzeciwić! Tak jest, dla swoich kobiet! Mamy po 30 lat, mamy żony, które będą chciały rodzić. Chcemy mieć potomstwo, ale każda kobieta powinna decydować o swoim ciele. Nie zgadzamy się na to, co nam zgotował ten rząd. Nie wiem, czy można to w ogóle nazwać rządzeniem. Nie zgadzamy się! Sprzeciw!

– Skąd panowie przyjechali?

– A tego nie możemy powiedzieć. Z niedaleka. Nie będzie kot decydował o naszym losie! – krzyczą na pożegnanie. – Sprzedawczyki!!! – to w kierunku wozu policyjnego, który stoi na rogu Szpitalnej i Aliantów, przy Biedronce.

Ściemnia się, pod blokami i sklepikami czają się samotni gapie. Marsz ma dobre tempo, zewsząd padają pomysły, żeby zwalniać na przejściach dla pieszych, blokować ruch przy każdej okazji. Coraz trudniej oddychać, na przeciwnym pasie stoją w korku auta. Niektóre trąbią.

– Proszę napisać: „rodzina z Cerekwic” – mówi młoda kobieta z dzieckiem na ręku. Obok niej maszeruje mąż z drugim w wózku. – Jesteśmy tutaj, żeby mieć prawo decydować, nie tylko dla mnie, dla męża też. Nie jestem za aborcją, ale nie podoba mi się, że nie mam wyboru.

Giną w tłumie ponad tysiąc protestujących, ale imion nie chcą podać. To pierwsza demonstracja Strajku Kobiet w Żninie. Udało się zablokować miasto! Spacerowicze ciągną od rynku na Kopernika, Browarową i Tysiąclecia, obok wieży ciśnień, Bricomarché, Media Marktu, kompleksu hotelowo-konferencyjnego Cukrowni. Ktoś filmuje z dżwigu, senator Brejza wrzuci to nagranie na Twittera.

– Dokąd oni idą, zimno jest, cała się spociłam – skarży się Dorota, upośledzona umysłowo uczestniczka marszu. Jedyna, która podaje imię, a nawet rękę na powitanie.

– Idą na Warszawę – rzucam. Tłumek rechocze nerwowo. Ewidentny brak wiary w swoje możliwości.

– Jestem pierwszy raz na demonstracji, mieszkam w Żninie – dyszy do mikrofonu przystojny blondyn, 33 lata, z dwulatkiem na ramionach, machającym tekturą z napisem: „Wolność”. – To ostatni moment, żeby się obudzić. Wspaniała rzecz, tak się zjednoczyć. Tutaj chodzi o więcej, o prawa kobiet i mężczyzn. To, co się dzieje, to jakieś nieporozumienie. Jesteśmy manipulowani, przepychane są ustawy po nocach. Myślę, że nie będzie łatwo, góra się nie podda bez walki, ale dobro zwycięży.

Na rynku młodzież się rozkręca. Przedtem okrzyki były sporadyczne, choć głośne, tu panuje duch zdrowej walki: „***** PiS” i „Jarek, śmieciu, chodź na solo!”. Żadnych

rękoczynów, policja obstawia wszystkie kąty. Po chwili okazuje się, że niewiele trzeba, by przestraszyć dzieciaki. Rozlega się okrzyk: „Puśćcie go! Puśćcie go! ***** psy!“. Tłum rusza pod komisariat. W oknie na pierwszym piętrze ukrywa się za firaną barczysta postać. Nagle ktoś rzuca w szybę na parterze chyba butem. Ktoś kopie w drzwi. Znow okrzyki: „Wypuście ich!“. Jest już dwóch zatrzymanych. Znow szarpanie za drzwi. Otwierają się, przed budynkiem wybiega zakapturzony młodzieniec. Oklaski. I dalej okrzyki: „Jeszcze jeden! Jeszcze jeden!“. Z komisariatu wychodzą mundurowi, stają w szeregu. Młodzież w odpowiedzi siada na ziemi.

Niedaleko siedzących stoją dwie blondynki, matka i córka. Nie krzyczą, ale nie przesuwają się ani o centymetr, kiedy zaczyna się dym pod komisariatem. Mama wskazuje córkę: – Ty mów, to twój protest.

– Mamy teoretycznie wolny kraj, a tak naprawdę odbiera się nam wolność decydowania, nawet o własnym ciele. To nasza pierwsza demonstracja, jesteśmy ze Żnina. Oby to się skończyło jak najlepiej dla nas. Mamy nadzieję na lepsze. Nie chcemy być bierne. Nie, nie boimy się policji.

Zatrzymany wychodzi, witany oklaskami. Tłum krzyczy: „Dziękujemy!“.

Barcin, 27 października

(14 tys. mieszkańców gminy; Trzaskowski Rafał Kazimierz: 3960 głosów, Duda Andrzej Sebastian: 2945 głosów – wybory prezydenckie, lipiec 2020)

Tłum wyrusza o godz. 18 spod urzędu miasta. Mniej rodzin, dużo par, wielu mężczyzn. Kobiety w różnym wieku, trzymają się w grupkach, idą pod rękę. Pytane, dlaczego tu są, nie chcą odpowiadać. Małym miastem rządzi zasada „co ludzie powiedzą“. A przecież to tu bije serce Polski. Na rynku dołącza do tłumu kilka osób w czarnych płaszczach. Najwyższy chłopak niesie plakat: „Martwię się o Ciebie, Polsko“.

– Chcę łączyć się z całym krajem, wierzę, że wszyscy razem możemy zdziałać bardzo wiele – mówi. – Jestem tu dla mamy, dla koleżanek, kolegów, dla nas wszystkich. Przypominając sobie ruch sufrażystek, o którym mówiono, że kobiety nie dadzą rady, uważam, że taką frekwencją jesteśmy w stanie zdziałać naprawdę wiele. Wczoraj byłem w Bydgoszczy, dziś jestem u siebie. Chodzę do ostatniej klasy liceum, w tym roku głosowałem. Na pewno zagłosuję w 2023 r.

Tłum obchodzi dookoła rynek i zatrzymuje się na chwilę, ludzie kłękają na asfalcie. Eskorta policyjna – jeden samochód na przodzie, jeden z tyłu – daje po chwili zielone światło. Można wracać główną drogą, blokując ulicę 4 Stycznia na całej długości. Z podręcznego głośnika płynie akurat „Chcemy być sobą“ Perfectu.

– Jestem tu z siostrą, mamą, sąsiadkami – deklaruje bardzo młoda kobieta, pierwsza, która zdecydowała się mówić. Prowadzi za rękę dziewczynkę, w drugiej niesie plakat: „Męczy mnie Polska i wisi mi krzyż“. – Chcę wesprzeć wszystkie inne kobiety w tym, co się aktualnie dzieje. Nie boję się, nie ma się czego bać ani wstydić. To moja pierwsza demonstracja. A słowa piosenki, które napisała Maria Peszek osiem lat temu, są aktualne do dziś.

Na skrzyżowaniu z ulicą Pakoską jakiś kierowca zaczyna trąbić: tit-tit tit, tit-tit tit, ***** PiS. Pod kościołem pw. św. Maksymiliana Marii Kolbego pochód zwalnia. Na schodach stali już przed godz. 18 i dalej stoją – na szeroko rozstawionych nogach, ubrani na czarno od butów po maski – młodzi mężczyźni. Leci w ich kierunku radosne: „Chodźcie z nami! chodźcie z nami!“.

– Pracuję na sali porodowej – opowiada wysoka kobieta w czepku z czerwonym paskiem. – Jestem położną od 22 lat. Byłam przy porodach z komplikacjami, wytrzewieniami, zespołem Edwardsa – to, że dziecko umiera, to również dla położnej coś strasznego. Cieszymy się z życia, nie ze śmierci. Rozpacz rodziców to dla mnie coś okropnego.

– Brawo, Aśka! – krzyczą do niej koleżanki. ■

Nie boję się,
nie ma się czego
bać ani wstydić.
To moja pierwsza
demonstracja.





Kraków, Rynek Główny, protest „Zróbmy hałas”.



Warszawa, blokada na rondzie Waszyngtona.

PROTESTY

Warszawa, protest pod Sejmem.



Strajk Kobiet w Warszawie.





Warszawa, Nowy Świat.

Strajk Kobiet w Gdańsku.



Warszawa, blokada Puławskiej i Narbutta.



Poznań, rondo Kaponiera.



Warszawa, rondo de Gaulle'a.

Antyaborcyjna nadgorliwość w Szpitalu Bielańskim

Skąd wziął się zapał dyrekcji do wykonywania nieopublikowanego wyroku Trybunału Konstytucyjnego?

Bojan Stanisławski

Orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego zostało upublicznione 22 października; dzień później do wykonywania tego wyroku na kobiety zabrał się, z zaskakującym zapałem, Szpital Bielański. 23 października zastępca dyrektora ds. lecznictwa i szef oddziału urologicznego dr Piotr Kryst wystosował pismo do ordynatora oddziału ginekologicznego.

„W związku z orzeczeniem Trybunału Konstytucyjnego zwracam się do Pana Profesora o niewykonywanie w ramach działalności leczniczej i terapeutycznej w Klinice Ginekologii i Położnictwa aborcji w przypadku ciężkich wad płodu, czyli przerywania ciąży w wypadku, gdy badania prenatalne lub inne przesłanki medyczne wskazują na duże prawdopodobieństwo ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia płodu albo nieuleczalnej choroby zagrażającej jego życiu”, czytamy w dokumencie.

Po śmierci prof. Romualda Dębskiego zniszczono najlepszy oddział ginekologiczny w Polsce.

Uzasadniając wdrożenie nowej polityki antyaborcyjnej, władze szpitala powołują się na opinię swojego radcy prawnego. Wynika z niej, że TK nie określił, kiedy zakwestionowane przepisy stracą moc, to zaś „oznacza, że wyrok będzie miał moc zobowiązującą z początkiem dnia publikacji. Początkiem obowiązywania jest godzina i dzień publikacji rozpoczynający się po godzinie 24 dnia poprzedniego. Zatem może dojść do sytuacji, że akt prawny opublikowany przykładowo po południu będzie obowiązywać wstecz od godziny 0.00 danego dnia”.



Antyaborcyjna furgonetka przed Szpitalem Bielańskim nie jest już potrzebna.

Dziennikarze Tok FM, którzy jako pierwsi podali do publicznej wiadomości decyzje dyrekcji Szpitala Bielańskiego, ustalili, że przynajmniej jednej z już przyjętych pacjentek odmówiono zaplanowanego zabiegu przerywania ciąży, wcześniej

bowiem dyrektor Gałczyńska-Zych przed głównym wejściem do Szpitala Bielańskiego stwierdziła w trakcie konferencji prasowej: „Wyrok Trybunału Konstytucyjnego nie spowodował zablokowania naszej działalności (...). Szpital Bielański zawsze pomagał i nadal pomaga kobietom w potrzebie”.

Po briefingu na stronie internetowej placówki pojawił się podobny komunikat, w którym Gałczyńska-Zych pisze m.in.: „W czwartki w Szpitalu Bielańskim odbywa się zwykle kwalifikacja pacjentek do zabiegu. Wyrok TK nie spowodował zablokowania naszej działalności”. Dodaje, że decyzja Trybunału czyni wykonywanie zabiegów aborcji problematycznym i stawia personel w „odmiennej sytuacji”: „TK stworzył nową kategorię przestępstwa zagrożonego karą pozbawienia wolności do lat 3”. Kończy podziękowaniami dla prezydenta stolicy Rafała Trzaskowskiego i wiceprezydenta Pawła Rabieja, odpowiedzialnego m.in. za stołeczną służbę zdrowia, za podjęcie interwencji.

dopuszczalnego na podstawie przesłanek medycznych. Indagowana w tej sprawie dyrektorka szpitala Dorota Gałczyńska-Zych powiedziała jedynie: „Wyrok Trybunału Konstytucyjnego jest ostateczny i w związku z tym muszę się do niego dostosować. Nie chcę odnosić się do meritum sprawy, bo to, co zrobiono polskim rodzinom, a w sposób szczególnie kobietom, w tej kwestii, jest trudne do ubrania w słowa”.

Okoliczności nagle jednak się zmieniły w trakcie znaczonego masową mobilizacją społeczną weekendu 24-25 października. W poniedziałek

W rozmowie z dziennikarzem radia RMF FM 26 października późnym popołudniem powiedziała, że wyrok Trybunału „bardzo namieszał”, ale zapewniła, że wszystkie kobiety, które zostaną przyjęte do szpitala ze wskazaniem terminacji ciąży z powodu ciężkich wrodzonych wad płodu, uzyskają taki zabieg. Pismo dr. Krysta z 23 października określiła jako „miękkie zalecenie”. Zaprzeczyła też informacjom Tok FM, jakoby komukolwiek odmówiono aborcji na podstawie przesłanek kwestionowanych przez Trybunał.

W Szpitalu Bielańskim wykonywano operacje serca u płodu. Tylko trzy placówki na świecie przeprowadzają tego typu zabiegi.

Rafał Trzaskowski i Paweł Rabej, zważywszy, że Szpital Bielański ma status placówki miejskiej, użyli swoich prerogatyw i – jak się zdaje – wstrzymali osobliwą nadgorliwość jego dyrekcji.

Demonstracyjne podporządkowanie się dyrekcji szpitala wyrokowi TK, podobnie jak nagła wołta, stały się przedmiotem wielu komentarzy i domysłów, również ze względu na szerszy kontekst – historię niszczenia tamtejszego oddziału ginekologiczno-położniczego, którym kierował światowej sławy specjalista prof. Romuald Dębski.

– Te najnowsze akrobacje dyrekcji Szpitala Bielańskiego mnie nie zaskakują – stwierdza kategorycznie były wiceprezydent Warszawy, odpowiedzialny m.in. za służbę zdrowia, oraz osobisty przyjaciel rodziny Dębskich, Jacek Wojciechowicz. Jego zdaniem incydent tego nie da się wyabstrahować z całego procesu niszczenia prof. Dębskiego i oddziału, którym kierował.

Opinię Wojciechowicza zdają się podzielać były pacjentki prof. Dębskiego. „Kochany profesor w niebie się przekręca, jak widzi, co się dzieje na jego oddziale. Wyrzucać kobiety bez pomocy, wystugując się nieistniejącym prawnie pseudowyrokiem pseudotrybunału. (...) Szpital, który miał zespół, jakiego zazdrościł nam świat cały, operacje, które w głowie się nie mieściły nikomu, szpital ostatniej szansy na życie, wyrzuca kobiety”, pisze jedna z internetek.

– Proszę sobie wyobrazić, że na oddziale wykonywano operacje serca

u płodu. Tylko trzy placówki na całym świecie przeprowadzają tego typu zabiegi. Nie sądzę, aby początkowa decyzja dyrektorki Szpitala Bielańskiego, czy też jej zastępcy, była spowodowana jakimiś przesłankami ideologicznymi. Przekonanie takie mogło powstać ze względu na reminiscencje ataków środowisk nazywających się *pro-life* na prof. Dębskiego. To długa historia. On sam nigdy nie był jakimś wielkim zwolennikiem zabiegu przerywania ciąży, raczej popierał istniejące obecnie rozwiązania, ale fakt, że był przytomnym,

racjonalnym człowiekiem i wyjątkowym specjalistą, przysporzył mu bardzo wielu wrogów. W tym w placówce, w której był najważniejszą postacią. Tym razem skłonny jestem to ocenić jednak nie jako ukłon w stronę pro-liferów, tylko jako oportunizm połączony z nadgorliwością. Dość karykaturalny zresztą, bo trzeba było zaraz wszystko odkręcać. To był raczej ukłon w stronę władzy, dość pokraczny, niestety, i niepotrzebny. Pani dyrektor miała okazję i wszelkie przesłanki ku temu, aby zachować stosowne milczenie. Szkoda, że nie skorzystała z tej szansy – komentuje.

– To dobrze, że w końcu Trzaskowski i Rabej zabrali głos w tej sprawie, gdyż Szpital Bielański jest szpitalem miejskim. W tym kontekście początkowa decyzja jego dyrekcji, zaraz po wyroku, wydaje się jeszcze bardziej kuriozalna – dodaje. – Jednak interwencja ta była według mnie spowodowana ogólnym oburzeniem po decyzji Trybunału i jej nadzwyczaj skrupulatnej i natychmiastowej implementacji w Szpitalu Bielańskim. Zbyt wiele osób zabrało głos, aby dało się to ignorować. Podjęto zatem jakieś działania, ale szkoda, że dopiero teraz. Teraz to była po prostu jakaś heca, a w zeszłym roku straciliśmy prawdziwą perłę polskiej i światowej medycyny prenatalnej w postaci oddziału, którym kierował prof. Dębski. Po tym jak zmarł w grudniu dwa lata temu, zaczęto zwalniać lekarzy, w końcu z placówką pożegnała się też żona profesora Marzena Dębska. Po prostu zniszczono najlepszy oddział ginekologiczny w Polsce przy bierności władz miasta – podsumowuje były wiceprezydent Warszawy.

Chwilowy kryzys na szczęście dla pacjentek, które oczekują na terminację ciąży w Szpitalu Bielańskim, został zażegnany. Prawdziwy kosztmar nadejdzie w chwili publikacji wyroku i zmiany antyaborcyjnej ustawy z 1993 r. na jeszcze bardziej niehumanitarną. ■

Stanowisko Prezydium Rady „Kuźnicy”

w sprawie protestów kobiet po wyroku Trybunału Konstytucyjnego Julii Przyłębskiej

Stowarzyszenie „Kuźnica” przyłącza się do ogarniającej cały kraj akcji protestacyjnej przeciw wydanemu z naruszeniem prawa – z udziałem tzw. sędziów dublerów – wyrokowi Trybunału Konstytucyjnego Julii Przyłębskiej z 22 października br. Wyrok ten odbiera kobietom w Polsce przynależne im prawa i sprowadza Polki do roli „inkubatora”, nie licząc się z konsekwencjami zdrowotnymi i psychicznymi tej decyzji.

Wyrok TK Julii Przyłębskiej utrudni również dostęp do badań prenatalnych, a tym samym w praktyce uniemożliwi leczenie płodu jeszcze przed porodem oraz będzie stanowić zagrożenie dla zdrowia, a często także życia kobiety. Skutkiem zaś będzie wzrost odsetka Polek, które nie będą się decydować na posiadanie dzieci.

Wyrok z 22 października br. stanowi jawne złamanie przez polską prawicę tzw. kompromisu aborcyjnego z 1993 r., którego zapisy były skądinąd dalekie od rzeczywistego kompromisu społecznego i stanowiły efekt negocjacji centroprawicowych polityków z hierarchią Kościoła rzymskokatolickiego w Polsce. Złamanie tego „kompromisu” – który pomimo wszystkich wad stanowił gwarancję względnej równowagi społecznej w kwestii aborcji w III RP – jest jasnym sygnałem dla wszystkich ludzi o postępowych i lewicowych przekonaniach, że nadszedł czas na walkę o pełnię praw reprodukcyjnych dla kobiet w Polsce. Dajmy kobietom prawo do decydowania o swoim losie!

Prezydium Rady „Kuźnicy”

Rozmawia Beata Igielska

Czy przy współczesnym stanie medycyny możliwa jest tak kłopotliwa pomyłka jak ta opisywana w mediach społecznościowych przez byłą zakonnicę, że jej przyjaciółka miała urodzić, zdaniem genetyków, dziecko dwugłowe, tymczasem urodziła zdrową dziewczynkę? Jak w XXI w. można takie bzdury wypisywać! Krąży też w społecznościówkach wywiad z piękną dziewczyną z rozszczepem kręgosłupa. Lekarz podobno zalecił matce aborcję. Rozszczep zazwyczaj niesie poważne konsekwencje, przypadek tej dziewczyny to raczej kategoria „cud” niż „reguła”.

– Nie wierzę w opowieści o dwugłowym dziecku. Oczywiście możliwość pomyłki zawsze istnieje, ale jeśli badanie USG jest wykonywane przez wykwalifikowanego operatora, a mamy ich bodaj najwięcej w Europie, robione uważnie i na dobrym sprzęcie, nie wyobrażam sobie aż takiej pomyłki. To niemożliwe. Co do rozszczepu kręgosłupa, byłbym również ostrożny, bo nie wiadomo, jak wyglądał komentarz lekarza. Tego typu grube sprawy nie powinny się zdarzać. Jeśli rodzice mają rozszczenia, powinni je zgłosić odpowiednim instytucjom specjalnie do tego celu powołanym. Owszem, pamiętam

Jest bardzo dużo strasznych wad, w przypadku których nie trzeba być medykiem, żeby wiedzieć, że to beznadziejna sprawa.

plód z dwiema głowami, ale to była ciężka patologia, odmiana bliźniąt syjamskich, gdzie u jednego nie rozwinęła się dolna część ciała.

O retę!

– Jest pani przerażona, więc niech pani sobie wyobrazi, że jest w 12. tygodniu ciąży i przychodzi do nas na badania, robimy USG i mówimy: przykro nam, ale płód ma to i to. Co pani robi?

Wpadam w rozpacz, ryczę i miotam się kilka dni i podejmuję jedyną słuszną decyzję. Chyba...

– Ja panią tylko uczciwie informuję, jeśli tego nie zrobię, trafię do sądu.

Jakie wady najczęściej wyłapujecie?

– Jedne to wady uwarunkowane genetycznie związane z nieprawidłowością w kodzie genetycznym, czyli

Nie ma cudów, są badania

Gdyby nie badania prenatalne, kobiety i dzieci umierałyby z powodu niewiedzy

PROF. DR HAB. PIOTR SIEROSZEWSKI

– specjalista perinatolog, położnik i ginekolog, prowadzi Klinikę Medycyny Płodów i Ginekologii Uniwersytetu Medycznego w Łodzi, wiceprezes Polskiego Towarzystwa Ginekologów i Położników.

DNA płodowym; aberracje chromosomowe – jest nieprawidłowa liczba chromosomów – to błędy przy podziale komórkowym, w momencie powstawania zarodka. Ojciec daje połowę materiału genetycznego, matka połowę. Jeśli przejdzie za dużo od któregoś z nich, to mamy o jeden chromosom za dużo i tak powstają trisomie. To w ogromnym skrócie. Co ciekawe, trisomie powstają nagminnie, z reguły są to wady śmiertelne i w ogóle nie rozwija się zarodek. Doprowadzają do obumarcia ciąży na bardzo wczesnym etapie – to są te wszystkie wczesne poronienia, ciążę obumarłe.

nazwać ciężką wadą rozwojową. Ale jest np. wada zwana anencefalią, czyli brak czaszki, głowy – mówiąc wprost. Występuje raz na 1 tys. ciąż, czyli jeśli w Polsce jest rocznie 300-400 tys. ciąż, to mamy 300-400 przypadków beczaszowców. Nie trzeba być wykształconym medycznie, żeby zrozumieć, że człowiek bez głowy żyć nie może. Bezczaszowcy nie mają części przodującej, czyli główki, która indukuje czynność skurczową w 40. tygodniu ciąży, i najczęściej takie porody trzeba rozwiązać cesarskim cięciem. Nie chcę szokować, ale jest bardzo dużo innych naprawdę strasznych wad, gdzie nie trzeba być medykiem, żeby wiedzieć, że to beznadziejna sprawa.

Jeśli mamy olbrzymią przepuklinę pępkową, która powstaje na wczesnym etapie rozwoju ciąży, gdy nie zamykają się powłoki brzucha, gdzie wszystkie organy są na wierzchu w wielkim worku przepuklinowym, co z kolei powoduje patologiczny rozwój kręgosłupa, to takie widoki powinien oglądać tylko specjalista, nie można nimi epatować, tak jak nie można epatować obrazami na busach antyaborcyjnych. Ale już wady rozwojowe typu wady serca da się zoperować w łonie matki. Ta dziedziczna prężnie się rozwija, mamy kilka ośrodków w Polsce, wykonują laseroterapię, fetoskopię, czyli wprowadzenie do brzucha matki laparoskopu i wykonywanie operacji, która ratuje dziecko. Na otwartej macicy operuje się też przepukliny kręgosłupa. Jest wiele możliwości pomocy, ale najpierw trzeba wiedzieć, jaka jest wada.

Najłżejsza z trisomii to powszechnie znany zespół Downa. Ale są też trisomie pozwalające na rozwój płodu, który nie jest zdolny do życia poza łonem matki: jest trisomia w 18. parze chromosomów, czyli zespół Edwardsa, albo trisomia w 13. parze, czyli zespół Patau.

O jakich liczbach możemy mówić?

– Wady uwarunkowane genetycznie to ok. 30% wszystkich wad zarodka ludzkiego. Pozostałe 70% to wady rozwojowe, uwarunkowane nie błędem w materiale genetycznym, tylko jakimś szkodliwym czynnikiem, który zadziałał na etapie bardzo wczesnej ciąży i doprowadził albo do bardzo ciężkiej, albo do lekkiej wady rozwojowej. Jeśli ktoś ma dodatkowy palec lub brakuje mu palca, trudno to



Słuchając pana, nie mogę pojąć, czego ci ludzie z Trybunału Konstytucyjnego bronią.

– Oni są inteligentni, tylko się na tym nie znają, wydają wyrok w sprawie, o której nie mają pojęcia. Czy była opinia jakiegokolwiek biegłego? **Ojciec Rydzik twierdzi, że z Duchem Świętym rozmawiał.**

– Ale pomijając ezoteryczne wypowiedzi ks. Rydzika, każda rozprawa sądowa odbywa się na podstawie opinii biegłych. W tak ważnej sprawie ich opinia wiele by wyjaśniła. Mówię, jak jest od strony medycznej. **Czyli rekomenduje pan wykonywanie badań prenatalnych?**

– Absolutnie tak.

Co w największym skrócie oznaczałby brak dostępu do nich?

– Kompletną niewiedzę i wiele powikłań, których dałoby się uniknąć dzięki badaniom. Kobiety i dzieci umierałyby z powodu niewiedzy.

To dlatego Polskie Towarzystwo Ginekologów i Położników, którego jest pan wiceprzewodniczącym, zajęło mocne stanowisko w sprawie wyroku TK? Nie chowaliście głowy w piasek.

– Uważamy, że w przebiegu niektórych ciąży zdarza się sytuacja dramatyczna, kiedy dochodzi do rozpoznania śmiertelnych wad u płodu, bo w obecnej „debacie” głównie zastanawiamy się nad letalnymi wadami. W tej chwili medycyna w specjalności położniczo-ginekologicznej, a konkretnie perinatologii,

jest tak rozwinięta, że jesteśmy w stanie stwierdzić taką wadę ze stuprocentową pewnością bardzo wcześnie, niejednokrotnie już w 12. tygodniu ciąży. Następne pół roku, do momentu rozwiązania, ciążarna żyje w gigantycznym stresie, wiedząc, że nie jest w stanie pomóc dziecku, obserwując swój rosnący brzuch i zdając sobie sprawę, że i tak nic z tego nie będzie. Korzyści z tego nie ma żadnych. Może tylko sama wymagać pomocy specjalisty, niekoniecznie położnika. Kobieta zostawiona bez wyjścia, świadoma katastrofy... Nie życzyłbym takiego stresu nikomu, kto ma rodzinę, kto ma pojęcie, czym jest ciąża, rodzenie dzieci.

Co to jest perinatologia i wada letalna?

– Wada letalna to wada śmiertelna, gdy rozwijający się płód nie ma szansy na samodzielne przeżycie. Letalne uszkodzenie nie podlega leczeniu ani wewnątrzmacicznie, ani po porodzie. Perinatologia zaś to wysokospecjalistyczna dziedzina położnictwa zajmująca się ciężką patologią ciąży, nie tylko wadami, ale i różnymi chorobami układowymi, nadciśnieniem w ciąży – stan przedrzucawkowy, rzucawka.

Większość przeciwników badań prenatalnych nie rozumie, o co w nich chodzi.

Czy w związku z wyrokiem TK boi się pan zakazu badań prenatalnych? Choć... właśnie premier powiedział, że będzie zalecał badania prenatalne dla wszystkich kobiet.

– Na razie nawet wyrok nie został opublikowany, jest przygotowany do publikacji. Sytuacja jest dynamiczna. Zabieramy głos w tej sprawie jako naukowcy, a nie politycy. Według nas to ogromny krok wstecz. Owszem, słyszymy głosy, że badania prenatalne służą wyłącznie wyłapywaniu wad i kierowaniu na aborcję... **Minister Jadwiga Emilewicz na Twitterze: „Życie ludzkie jest święte i nienaruszalne. Należy z całą stanowczością odradzać stosowania diagnozy prenatalnej w celach selekcyjnych. Jest to wyrazem okrutnej mentalności eugenicznej,**

która odbiera rodzinom możliwość przyjęcia i kochania swego najstarszego dziecka”.

– Wygłaszanie takich poglądów wynika z totalnej niewiedzy. Badania prenatalne powinny obejmować 100% ciążarnych. Bo, po pierwsze, 97% ciąż przebiega fizjologicznie, czyli prawidłowo. Większość kobiet zatem te badania uspokajają, dają pewność, że dziecko rozwija się prawidłowo. W pozostałych 3% ciąż rozwijających się nieprawidłowo takie wady jak konflikt serologiczny, anemia u płodu, zespół podkradania krwi u bliźniaków możemy po rozpoznaniu leczyć wewnątrzmacicznie. Jeśli zaś występuje wada niepodlegająca leczeniu w trakcie ciąży, możemy przygotować się na leczenie dziecka tuż po urodzeniu.

Czyli badania prenatalne dają rozpoznanie.

– Po drugie, wiemy, kiedy ciążę należy rozwiązać, jak ma być przygotowany zespół lekarzy, który będzie leczył dziecko tuż po urodzeniu. Fatalnie jest, gdy ciąża przebiegająca nieprawidłowo zostaje rozwiązana daleko od szpitala referencyjnego, czyli takiego, w którym istnieją możliwości leczenia. Samo oczekiwanie na transport to cenny czas, w którym dziecko może umrzeć. Natomiast jeśli wiemy, że jest wada serca, przepuklina pępkowa, wytrzewienie, czyli

niezejście się powłok brzucha, kiedy jelita i narządy swobodnie pływają w płynie owodniowym, to dzieci trzeba natychmiast po porodzie operować. Ale jak o tym nie wiemy, nie pomożemy i dziecko umrze. W przypadku dzieci najciężiej chorych, z wadami letalnymi, nigdy nie stawiamy wskazań do przerwania ciąży. Uświadamiamy matkę i prowadzimy tę ciążę z najwyższą uwagą. Możemy też pokierować matkę do instytucji wyspecjalizowanych nie tylko medycznie, ale i psychologicznie. W Łodzi mamy np. Fundację Gajusz, która umożliwia porody hospicyjne.

Na czym one polegają?

– Kobiety mogą otrzymać wszechstronną pomoc. W fundacjach pracują położnicy, genetycy, psychiatry, osoby duchowne, psycholodzy, specjaliści

► pourodzeniowej opieki paliatywnej. Współpracują z takimi szpitalami jak mój, uniwersytecki, umożliwiają matkom decydującym się na ten trudny poród przejście przez traumę. Tak więc my, lekarze, stwierdzamy fakty w ciąży. Kobieta te fakty powinna znać, nie jest ubezwłasnowolniona. My musimy działać w zgodzie z Kodeksem etyki lekarskiej. Nie możemy zatajać wiedzy przed pacjentkami, to byłoby nieuczciwe.

Czy nieinwazyjne badania prenatalne, które pozwalają w 95% przypadków ocenić stan płodu, są „niebezpieczne”, jak chcieliby ich przeciwnicy?

– Te nieinwazyjne pozwalają nam na dokładną ocenę rozwoju płodu za pomocą badania ultrasonograficznego. Do USG dołączamy różnego rodzaju testy biochemiczne,

– Program profilaktyczny NFZ dobrze funkcjonuje. My, perinatolodzy, jesteśmy wdzięczni, że coś takiego istnieje. Są określone kryteria włączenia do programu, np. wiek kobiety powyżej 35. roku życia, nieprawidłowości przebiegu poprzedniej ciąży, nieprawidłowy obraz USG czy badań biochemicznych, przez co nie obejmuje on całej populacji kobiet ciężarnych. Program zawiera badania USG w 12. i 20. tygodniu ciąży, w pierwszym trymestrze refinansowany jest wspomniany test PAPP-A, który komercyjnie kosztuje 450 zł. Po wyliczeniu ryzyka aberracji chromosomowych przedstawiamy je kobiecie (jeśli okazuje się ono wysokie, to jest konsultowane przez specjalistę genetyka). Wtedy może mieć wykonaną diagnostykę inwazyjną, ale tylko kiedy się na nią decyduje.

Musimy działać w zgodzie z Kodeksem etyki lekarskiej. Nie możemy zatajać wiedzy przed pacjentkami.

pokazujące ryzyko wad genetycznych, a w ostatnich latach rozwinęło się bardzo badanie wolnego DNA płodowego z krwi matki. Czasami jednak są potrzebne badania inwazyjne polegające na pobraniu niewielkiej ilości płynu owodniowego poprzez wkłucie się specjalną igłą pod kontrolą USG. Można wtedy ocenić garnitur chromosomowy, czyli czy nie ma wady genetycznej u płodu. Albo też pobieramy niewielki fragment tkanki łożyskowej (trofoblastu), żeby, mówiąc ogólnie, ocenić prawidłowość chromosomów/genów dziecka. Olbrzymia większość badań ma charakter nieinwazyjny, np. test PAPP-A: badanie USG z oceną przezierności karkowej, ocena białka związanego z ciążą PAPP-A plus łożyskowego beta-hCG. Na podstawie tego wylicza się ryzyko wad genetycznych. W tej chwili mamy już dużo dokładniejsze testy wolnego DNA, co oznacza, że jest dużo mniej wskazań do diagnostyki inwazyjnej. Przy niej istnieje jednak niewielkie ryzyko poronienia.

Program refundacyjny NFZ wciąż jest, mimo zamieszczenia w wyrokiem TK mamy w pakiecie bezpłatne badania prenatalne. Bo testy wolnego DNA: NIFTY, Harmony, Panorama, Sanko kosztują 2-2,5 tys. zł.

Niektóre działaczki ruchów kobiecych sprawy widzą tak: nie straszmy, ten program istnieje i wbrew pozorom łatwiej będzie uzyskać dostęp do badań prenatalnych, bo teraz zdarzały się trudności, gdyż lekarze bali się je zlecać, gdy w perspektywie była aborcja.

– To czyjaś interpretacja, trudno do tego się odnieść. Mam jednak nadzieję, że badania prenatalne będą kontynuowane. W nich jest więcej dobra niż zła. Powtórzę: dotychczas ciąży były przerywane w wyniku stwierdzenia ciężkiej, nieuleczalnej

ciężarnym, dzieciom nienarodzonemu. Już pomijam fakt, że matka może oglądać swoje dziecko od 12. tygodnia ciąży; jak nie było epidemii, ojciec też widział dziecko. To są wzruszające chwile, gdy obserwuję ich radość. Dla tych chwil wykonuję ten zawód. Jestem przekonany, że większość przeciwników badań prenatalnych nie rozumie, o co w nich chodzi.

Jaki przypadek szczególnie pan pamięta?

– Jako student szóstego roku medycyny, czyli na przełomie lat 80. i 90., byłem na porodówce na dyżurze obserwacyjnym. Pamiętam poród ciąży bliźniaczej, która nie była rozpoznana, bo nie wykonywało się powszechnie USG, nie wspominając o badaniach prenatalnych. Po porodzie dziecka macica się nie obkurczała, okazało się, że to bliźniaki. Gdyby podano środki obkurczające, to drugie dziecko udusiłoby się. Na szczęście doświadczony położnik błyskawicznie się zorientował w sytuacji. A przecież mogło nastąpić przedwczesne oddzielenie łożyska. Podaję prosty przykład, nie wchodzę np. w syrenomelię, czyli brak kończyn dolnych, zanik dolnej połowy ciała, na który nie można zaradzić żadnymi przeszczepami. Badania prenatalne to podstawa, żeby chociaż wiedzieć, czy łożysko nie jest przodujące, bo to grozi krwotokiem, po którym kobieta i dziecko mogą umrzeć. Albo czy łożysko nie wrasta w błonę po cięciu cesarskim, bo w Polsce w tej chwili ok. 50% ciąż rozwiązuje się w ten sposób.

Mamy wiele możliwości pomocy, ale najpierw trzeba wiedzieć, jaka jest wada.

wady płodu, co było decyzją matki, a nie lekarzy. Przypominam sobie, jak jeden ze znanych dostojników kościelnych był przypadkowo świadkiem porodu hospicyjnego, wiedzieliśmy dzięki diagnostyce, że dziecko nie ma szansy na przeżycie, zmarło natychmiast, hierarcha udzielił mu ostatniego namaszczenia. Był zdruzgotany. Powiedział, że badania prenatalne są potrzebne, są narzędziem, które powinno się wykorzystywać do dobrych celów. Każdy człowiek powinien zrozumieć, że badania prenatalne służą ludzkości, kobietom

Takie wrastanie zagraża życiu matki przy porodzie. Badań prenatalnych naprawdę nie można sprowadzać do zespołu Downa, jak to niektórzy próbują robić.

Ponoć wiele kobiet w ciąży na wsi nie wykonuje nawet podstawowych badań ciążowych.

– Nie byłbym takim pesymistą. Dziewczyny mają dostęp do internetu i wiedzą tyle samo, ile te z miast. Świat bardzo się zmienił.

Beata Igielska
b.igielska@tygodnikprzeglad.pl

Z Galicji



Jan Widacki

Pseudo-Trybunał Konstytucyjny, z gotującą smaczne zupki Jarosławowi Kaczyńskiemu panią Przyłębską na czele, z eksprokuratorem Piotrowiczem i była posłanką Pawłowicz oraz kilkoma pseudosędziami dublerami w składzie, wydał wyrok naruszający tzw. kompromis aborcyjny.

Ten rzekomy kompromis, kreujący najbardziej restrykcyjne prawo aborcyjne w Europie, jedynie przez grzeczność i poprawność polityczną nazywany kompromisem, obowiązywał od 1993 r. Pozwalał na dokonanie aborcji: gdy ciąża była wynikiem przestępstwa (np. gwałtu, kazirodztwa lub stosunku z nieletnią poniżej 15. roku życia), gdy zagrażała życiu matki i gdy stwierdzono nieodwracalne wady płodu. Ta ostatnia możliwość została właśnie przez pseudo-Trybunał wykluczona. Kobieta świadoma, że urodzi dziecko martwe albo dziecko, które w męczarniach przeżyje po porodzie krótki czas, musi ciążę donosić i urodzić!

prokuraturę, sądy i służbę więzienną, o pomoc w wymuszaniu posłuszeństwa. A przecież nie wszyscy obywatele Rzeczypospolitej są wiernymi Kościoła katolickiego. Dlaczego jego nauka ma być dla nich obowiązująca i egzekwowana przez władze państwowe? Przecież Rzeczpospolita Polska jest wspólnym dobrem wszystkich obywateli. Czy naprawdę biskupi chcą, aby wszystkie grzechy były przestępstwami ściganymi przez państwo? Zdrady małżeńskie, masturbacje, nieuczęszczanie na niedzielne msze, jedzenie kielbasy w piątek?

Skala protestów po orzeczeniu pseudo-Trybunału zaskoczyła chyba wszystkich, a już w szczególności rządzących. Mam wątpliwości, czy w ramach tych protestów można było przerywać msze w kościołach. Mnie to się nie podoba. Z drugiej strony kto pierwszy wprowadził politykę do kościołów? Chcieli księża polityki w kościele, to ją mają.

Orzeczenie, ostatnia zupka Julii Przyłębskiej

Przed wojną, gdy z mocy konstytucji „wyznanie rzymsko-katolickie zajmowało w państwie naczelne stanowisko wśród równouprawnionych wyznań”, aborcja była dopuszczalna w dwóch pierwszych sytuacjach. O trzeciej, nieodwracalnych wadach płodu, nie było mowy, bo ówczesny poziom medycyny nie pozwalał na ich wykrycie. Przerwanie ciąży prawo nazywało „spędzeniem płodu”, a nie „zabójstwem poczętego dziecka”. Autorem stosownych przepisów był zaś nie jakiś lewak czy inny socjalista, ale prof. Juliusz Makarewicz, praktykujący katolik i senator z ramienia Chrześcijańskiej Demokracji. Inna rzecz, że sanacja, stanowiąc prawa, nie pytała episkopatu o zdanie, nie pozwalał na to zresztą konkordat z 1925 r.

Orzeczenie pseudo-Trybunału wywołało fale protestów. Protestują głównie ludzie młodzi. Zrozumieli wreszcie, że spór o Trybunał Konstytucyjny, wobec którego byli najczęściej obojętni, miał sens, a działalność tego Trybunału i jego orzeczenia mogą ich dotyczyć bezpośrednio.

Z drugiej strony orzeczenie pseudo-Trybunału wywołało entuzjazm co najmniej niektórych biskupów, w tym bodaj największy abp. Jędraszewskiego. Kościół jest przeciwny aborcji. Także tej, gdy ciąża jest wynikiem przestępstwa lub gdy zagraża życiu matki. Nie mnie sądzić, czy ma rację. Jeśli tak uważa, ma zapewne argumenty teologiczne, na których opiera swoje stanowisko. Wolno mu. Niech zatem przekonuje do tego stanowiska swoich wiernych (swoje wierne). Niech naucza, że aborcja jest grzechem. Niech kształtuje sumienia. Niech karze wiernych nieposłusznych się do jego nauk karami kościelnymi. Niech im nie daje rozgrzeszenia przy spowiedzi, niech straszy piekłem. Ale radość, że udało mu się namówić władze państwowe do zrobienia z grzechu przestępstwa ściganego przez policję, prokuraturę i sądy, jest zarazem przyznaniem się do totalnej klęski duszpasterskiej. Kościół przyznaje się, że nie ma wśród wiernych posłuchu i musi prosić państwo, jego policję,

Skala zaskoczyła wszystkich. Młode pokolenie, protestując przeciw orzeczeniu pseudo-Trybunału, rozumiało też, że ten pseudo-Trybunał to przedłużenie PiS. Zrozumiało, co to znaczy upolityczniony Trybunał. Zrozumiało wreszcie, co znaczy rządy PiS. Młode pokolenie protestuje przeciwko rządowi PiS i Kaczyńskiemu. Jeśli do tego dojdą ekonomiczne konsekwencje pandemii, z którą rząd najwyraźniej sobie nie radzi, koniec PiS będzie tragiczny.

I tak naprawdę żal mi w tym wszystkim policjantów. Są chyba świadomi, że służą złej sprawie. Na ogół zachowują się przyzwoicie, wykonując swoje obowiązki i rozkazy przełożonych. Tylko nieliczni wykazują się nadgorliwością. I pewnie wielu z nich boi się, że po zmianie władzy zwycięzcy będą im chcieli za to bronienie złej sprawy obniżyć kiedyś emerytury. Znają niedawny precedens, zgrywdzający ich starszych kolegów. Wielu poszło do policji, by zgodnie z rotą przyrzeczenia służyć „narodowi polskiemu”, nie jednej partii, przeciw narodowi.

W obozie władzy panika. Prezydent miał szczęście i swoje nicnierobienie może usprawiedliwić koronawirusem. Jarosław Kaczyński żyje w lęku. Gowin już próbuje delikatnie się dystansować, chciałby znów odegrać jakąś rolę, ale tak naprawdę gotów jest uciekać z tonącego okrętu Zjednoczonej Prawicy, tyle że nie bardzo, zdaje się, ma dokąd. Ziobro gdzieś się schował i obstawiał prokuratorami, publicznie głosu nie zabiera. Oj, strach zajął w oczy.

Zupki Julii Przyłębskiej na ogół bardzo smakują Jarosławowi Kaczyńskiemu i bardzo ją za nie chwali. To orzeczenie okazało się jednak zupką, za którą pani prezes nie dostanie pochwały, bo chyba niestrawną. Zakończyć władzę objawem niestrawności to jednak nie bardzo honorowo. Bo też zawsze pozostanie wątpliwość, czy ta niestrawność to po zupce, czy tak po prostu, ze strachu.

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

Aborcyjny Dream Team pomógł tysiącom kobiet

Polskie aktywistki zbudowały prawdziwy system – legalną, prężnie działającą sieć wsparcia i informacji



Anna Brzeska

Jarosław Kaczyński właśnie wygłasza swoje niestawne przemówienie. Przez kraj przetaczają się dyskusje, czy w sprawie aborcji potrzebne jest referendum. Jedni radzą, by nie protestować w kościołach, drudzy – wręcz przeciwnie. Na ulice setek miast i miasteczek wciąż wychodzą wkurzeni ludzie.

Tymczasem gdzieś obok dzieje się – i będzie się działo – coś równie ważnego. Dziewczyny z Aborcyjnego Dream Teamu robią swoją robotę. Justyna Wydrzyńska, Karolina Więkie-wicz, Kinga Jelińska, Dunia Jelińska, Natalia Broniarczyk – i wiele współ-pracujących z nimi aktywistek – ogarniają to, czego od dekad nie zapewnia Polkom system: dostęp do bezpiecznej i legalnej aborcji. Teraz, po decyzji Trybunału Konstytucyjnego, mają jeszcze więcej pracy.

Alternatywny system aborcyjny

– Dla nas ten wyrok jest kuriozalny – mówi Karolina Więkie-wicz w przekazie transmitowanym na żywo na

Konferencji prasowej inaugurującej inicjatywę „Aborcja bez granic”, grudzień 2019 r.

Aborcyjny Dream Team w czasach pandemii.



stronie inicjatywy na Facebooku. – On się absolutnie nie broni, także dlatego, że Trybunał jest absolutnie skompromitowany i zasiadają w nim osoby, które wykonują zadania związane z linią polityczną partii rządzącej. I dlatego, że pod względem prawnym wszystkie argumenty przyjęte w czwartek są nie do przyjęcia. To jest w mojej ocenie – również prawniczką – jeden z największych bubli prawnych, jakie widział ten świat. (...) Wyrok nie został jeszcze opublikowany, ale nie ma wątpliwości, że już działa. Zmieniła się sytuacja około tysiąca osób w Polsce, które [dotychczas] miały aborcje w ramach publicznej opieki zdrowotnej.

– 22 października władza pseudotogami Trybunału Konstytucyjnego powiedziała nam: jesteście same, radźcie sobie same, nie obchodzą nas

wasze życia – dodaje Kinga Jelińska. – W przemocowy i wyjątkowo cyniczny sposób powiedziała nam „wypierdalać”. My odwzajemniamy ten sentyment, z tą różnicą, że jest nas masa i że mówimy wprost i bez ogródek „wypierdalać” – na transparentach. To, co dzieje się na ulicach, to walka z opresyjnym systemem i wielowątkowym fundamentalizmem.

Choć dziewczyny są oburzone i nie ukrywają zmęczenia lawiną telefonów i mejli, która spadła na nie w ostatnich dniach, w znakomicie przygotowanym wideo krok po kroku wyjaśniają, co zrobić, gdy jesteście w potrzebie. Mają profesjonalne materiały informacyjne, a nawet wsparcie tłumaczek migowych.

Czy o tym, co robi ADT, wolno głośno mówić? Czy to jest owo słynne „podziemie aborcyjne”? Dziewczyny

trochę śmieją się z tej nazwy. Bo podziemie w ich wykonaniu wygląda zupełnie inaczej, niż może się wydawać. To nie ukryte gabinety na zapleczu warsztatów samochodowych, zakonspirowane ogłoszenia drobne o „wywoływaniu miesiączki” czy nieznaną reputacji ginekologów, którzy bez medycznej asysty i sprzętu dorabiają po godzinach. Aktywistki aborcyjne zbudowały w Polsce prawdziwy system – legalną, prężnie działającą sieć wsparcia i informacji. Sojuszniczki za granicą uzupełniają ją o to, co nie jest dozwolone u nas, czyli organizują wyjazdy do klinik aborcyjnych w takich krajach jak Holandia, Wielka Brytania,

osób, które nie będą mogły pozwolić sobie na opłacenie zabiegu.

W mediach społecznościowych chęć pomocy zgłaszają też zwykłe dziewczyny, mieszkające za granicą i oferujące wszelkie wsparcie logistyczno-noclegowe decydującym się na aborcję poza terytorium Polski.

Jedynie dla uprzywilejowanych? Już nie

I wreszcie są lokalne działaczki, rozsiane po Polsce, rozpowszechniające materiały, m.in. wlepki, ulotki i plakaty. Aktywistką (czy aktywistą) może zostać zresztą każda osoba.

Decyzja o zaostreniu prawa aborcyjnego stała się... wsparciem marketingowym dla inicjatyw aborcyjnych.

Niemcy (i nie tylko), zapewniają też wsparcie finansowe tym, które nie mogą sobie pozwolić na opłacenie zabiegu. Wśród wspierających są takie organizacje jak ANA (Abortion Network Amsterdam), Ciocia Basia z Berlina oraz londyńska Abortion Support Network.

Działalność w Czechach rozkręca także zupełnie nowa inicjatywa – Ciocia Czesia. Do tej pory Czechy nie były wymieniane jako kraj, w którym Polki mogą dokonywać aborcji. Obowiązuje tam ustawa zezwalająca klinikom na zabiegi jedynie dla osób ze stałym pobytem. Jednak w 2016 r., na fali czarnych protestów w Polsce, czeskie Ministerstwo Zdrowia wydało oficjalne stanowisko, w którym – powołując się na unijną legislację dotyczącą swobodnego przemieszczania się osób i usług – potwierdza, że przeprowadzanie w Czechach aborcji u osób z obywatelstwem UE jest legalne.

– Jesteśmy w trakcie tworzenia bazy placówek skłonnych pomagać oraz bazy wolontariuszy – mówi mi Ciocia Czesia. – Tworzymy sieć kontaktów, rozmawiamy z osobami prawniczymi (Ciocia Czesia dba o niedyskryminujący język, uwzględniający osoby każdej płci wykonujące ten zawód), żeby służyć rzetelną informacją.

Na Facebooku można już śledzić profil inicjatywy (wystarczy wpisać w wyszukiwarkę Ciocia Czesia) i być na bieżąco z informacjami o możliwościach dokonania aborcji w Czechach. Prowadzona jest również zbiórka środków na wsparcie

W ramach akcji „Powiedz komuś o »Aborcja bez granic«” można w różnej formie (np. przez media społecznościowe czy wydrukowane materiały) udostępniać w swoim otoczeniu informacje o inicjatywach Aborcyjnego Dream Teamu i bezpiecznej aborcji. Czy jednak mogą one dotrzeć tam, gdzie są najbardziej potrzebne – do osób nieznających feministycznych miejsc w internecie, niemieszkających w dużych miastach?

– Spotykamy się z wieloma organizacjami praktycznie w każdym zakątku kraju. I to wcale nie są tylko duże miejscowości. Lokalne aktywistki informację i wiedzę o nas przekazują w świat. W ten sposób pomogłyśmy już tysiącom kobiet, a na naszym forum zarejestrowanych jest tysiące użytkowników i użytkowniczek, informujących się wzajemnie. Piszą

ADT ma profesjonalne materiały, a nawet wsparcie tłumaczek migowych.

np.: „Słyszałam/słyszałem o takiej organizacji, która wysłała tabletki do Polski”. Nazwałabym to wiedzą szeptaną i uważam, że to najlepszy sposób przekazywania informacji – mówiła Justyna Wydrzyńska, gdy rozmawiałymy w grudniu 2019 r., przy okazji powstania inicjatywy „Aborcja bez granic”, okrzykniętej wtedy przez media „funduszem aborcyjnym”. To dzięki niej o Aborcyjnym Dream Teamie zrobiło się wówczas głośno, a Polki otrzymały jasny przekaz, że wszystkie

osoby z Polski, które nie mogą opłacić zabiegu, otrzymają wsparcie finansowe.

Jednak wciąż nie wszyscy wiedzą o ADT i sposobach na legalną i bezpieczną aborcję. Dlatego dziewczyny zbierają pieniądze na kampanie informacyjne, by docierać do najdalszych zakątków. Na stronie prowadzonej przez nich zbiórki zapowiadają, że jeśli wystarczy im środków... zorganizują nawet własną furgonetkę, w odpowiedzi na antyaborcyjne samochody fundacji Pro-Prawo do Życia. I jest to już realna perspektywa. Zebrana suma dawno przekroczyła milion złotych. Jak podkreślają dziewczyny, to na długo zapewni im możliwość dalszej pracy, bez obaw, że nie starczy na kolejne wlepki, plakaty, bilbordy czy inne formy masowego upowszechniania wiedzy o aborcji. Tym samym decyzja o zaostreniu prawa aborcyjnego stała się w pewnym sensie... wsparciem marketingowym dla polskich inicjatyw aborcyjnych.

Aborcja nie tylko w szpitalu

Jakie w tej chwili legalne możliwości terminacji ciąży mają Polki? Poza przeprowadzeniem aborcji w Polsce przez lekarza (teraz to już tylko dwa przypadki – gdy ciąża jest skutkiem czynu zabronionego i gdy zagraża życiu lub zdrowiu ciężarnej) należy wymienić te mniej oczywiste.

Po pierwsze, dzięki aktywistkom aborcyjnym Polki dowiadują się, że aborcja nie musi być zabiegiem przeprowadzonym w szpitalu czy w gabinecie ginekologicznym ani procedurą niebezpieczną. Dziewczyny z ADT mówią nie tylko o aborcji chirurgicznej za granicą, ale też o aborcji medycznej, przeprowadzanej za pomocą legalnych środków farmakologicznych

we własnym domu, przypominającej w przebiegu spontaniczne poronienie.

Środki do przeprowadzenia bezpiecznej domowej aborcji są dość łatwe do zdobycia dzięki zagranicznemu wsparciu (polskojęzyczna strona womenonweb.org/pl lub womenhelp.org/pl). Rzetelnym źródłem informacji o procedurach aborcyjnych są więc przede wszystkim strony Aborcyjnego Dream Teamu i „Aborcji bez granic”. Tam też dowiemy się więcej na temat

► bezpieczeństwa oraz tego, do kiedy aborcję można przeprowadzić.

Należy jednak uważać na internetowe ogłoszenia z ofertami sprzedaży pigułek aborcyjnych. Nie powinno się z nich korzystać, bo dystrybucja tych środków w Polsce jest nielegalna. W przypadku ujęcia handlarza dane kontaktowe kupujących na pewno dostaną się w ręce organów ścigania. Wprawdzie osoby, które miały aborcję, nie są ścigane przez prawo, ale mogą zostać wezwane w charakterze świadka. Lepiej oszczędzić sobie takich przygód.

Zgodnie z Ustawą o planowaniu rodziny, ochronie płodu ludzkiego i warunkach dopuszczalności przerywania ciąży z 1993 r. „nie podlega karze matka dziecka poczętego”. Oznacza to, że za aborcję medyczną, przeprowadzoną samodzielnie przez osobę w ciąży za pomocą otrzymanych przez nią środków, nikt nie może jej ukarać. Środki stosowane do przeprowadzenia aborcji są legalnie dystrybuowane za granicą, po konsultacji lekarskiej. Polki mogą ją odbywać zdalnie (na wyżej wymienionych stronach zagranicznych inicjatyw Women on Web czy Women Help Women), a następnie otrzymać przesyłkę.

Alternatywą dla farmakologii jest aborcja chirurgiczna za granicą. Ciężarne decydują się na nią z różnych względów, takich jak lęk przed samodzielnym wywołaniem poronienia, obawa przed powikłaniami

– lub jeśli procedura domowa okaże się nieskuteczna (choć nie są to częste przypadki).

Teraz, po orzeczeniu pisowskiego Trybunału Konstytucyjnego, chirurgiczna aborcja za granicą będzie wyjściem dla osób, u których stwierdzono wady płodu (do tej pory w Polsce wykonywano legalnie około tysiąca takich aborcji rocznie). Można jej dokonać za granicą, zgodnie z prawem państwa, do którego ciężarna zdecyduje się wyjechać. – Nic nam wtedy nie grozi. Polskie prawo nie działa i nie terroryzuje nas za granicą – wyjaśniają dziewczyny. Nie musimy więc się obawiać, że spotka nas odpowiedzialność po powrocie do Polski.

Mamy prawo udzielać informacji, a osoby w niechcianej ciąży mają prawo tej informacji poszukiwać.

Co ze wspieraniem chcących dokonać aborcji? W mediach można trafić na alarmujące artykuły dotyczące nielegalności pomocnictwa w jej wykonaniu. Dlaczego zatem Aborcyjny Dream Team może działać? Karolina Więckiewicz: – Żaden z aspektów działania „Aborcji bez granic” czy Aborcyjnego Dream Teamu nie jest działaniem nielegalnym, którym miałyby się zająć organy ścigania. Mamy prawo udzielać informacji, a osoby w niechcianej ciąży mają prawo tej informacji poszukiwać i korzystać z oferowanego wsparcia finansowego.

Obowiązuje więc zasada: informacja tak, finansowanie (na terenie Polski) czy fizyczna pomoc w aborcji – nie. Dziewczyny wyjaśniają to szczegółowo na stronach Aborcyjnego Dream Teamu. Służą również wsparciem prawnym.

Te przekłete baby

Środowiska *anti-choice* nie znalazły sposobu na to, by poradzić sobie z kłopotem, jaki bez wątpienia stanowią dla nich aborcyjne aktywistki. Dodatkową żabą do przelknięcia jest problem wizerunkowy. Tu ciekawostka – w czwartek, 22 października, na antenie TVP, tuż po ogłoszeniu wyroku Trybunału, odbyła się debata na temat aborcji. Wzięła w niej udział posłanka Lewicy Katarzyna Kotula. Mimo że współuczestnicy i prowadzący próbowali zakrzyczeć polityczkę, ta bez zająknięcia wyrecytowała wszystkie

ważne fakty dotyczące możliwości dokonywania aborcji przez Polki. Widzowie TVP mogli posłuchać o przygranicznych klinikach aborcyjnych i dowiedzieć się, że aborcji można dokonać w domu za pomocą tabletek i że robi to rocznie 120-150 tys. kobiet.

Podobnie było rok wcześniej. Tuż po ogłoszeniu inicjatywy „Aborcja bez granic” organizacja Ordo Iuris i rzecznik praw dziecka Mikołaj Pawlak poinformowali o złożeniu do prokuratury zawiadomienia o możliwości popełnienia przestępstwa. „Według mnie propozycje, które na tych stronach są przedstawiane, to pomocnictwo w popełnieniu przestępstw, czyli naruszania polskiego prawa aborcyjnego i przepi-

sów Kodeksu karnego, chociażby art. 152 par. 2 k.k. Dotyczy to nakłaniania, organizowania i finansowania nielegalnej aborcji”, mówił Mikołaj Pawlak.

Po pierwsze, „fundusz aborcyjny” jest prowadzony nie przez osoby mieszkające w Polsce, lecz przez organizację Abortion Support Network, działającą za granicą. Po drugie, jeśli chodzi o nielegalne „namawianie do aborcji”, najczęściej mamy do czynienia z przypadkami skazań osób, które rzeczywiście nakłaniały do aborcji swoje partnerki. Robiły to wbrew ich woli bądź płaciły za aborcję – ewentualnie brały udział w transporcie ciężarnej do zagranicznej kliniki. To sytuacje, które da się formalnie udowodnić. Jak wspomniała jedna z prawniczek Aborcyjnego Dream Teamu, udzielanie informacji do nich nie należy. Gdyby państwo chciało za to karać, musiałoby analogicznie ukarać... fundacje typu Pro-Prawo do Życia czy prawicowe media. Te bowiem wielokrotnie w swoich materiałach – w których dziewczyny z Aborcyjnego Dream Teamu były oczywiście przedstawiane w negatywnym świetle – pokazywały plakaty z numerem telefonu i adresem mejlowym, na które osoby potrzebujące aborcji mogą pisać i dzwonić. W ten sposób numer, który dziś zna już chyba cała Polska (22 29 22 597), trafił nawet do najzagorzalszych przeciwników i przeciwniczek aborcji. „Samozaranie”, jak mawia młodzież.

Anna Brzeska

a.brzeska@tygodnikprzeglad.pl





Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Cymbały brzmiące

Pisałem przed paru miesiącami, że PiS w obliczu utraty władzy nie zawaha się przed podpaleniem Polski. Do utraty władzy jeszcze daleko, ale nasz kraj już został podpalony.

O problemie aborcji rozmawiałem w 1995 r. z Jackiem Kuroniem. Usłyszałem: „Czy chodzi o to, by ratować życie, czy by uspokoić sobie sumienie?”. W 2002 r. rozmawiałem o tej sprawie z Józefą Hennelową. Usłyszałem: „Początek ciąży to zawsze tajemnica kobiety. Jeżeli nie będzie chciała urodzić, to nie urodzi”. A zatem: z niechcianą ciążą kobieta zawsze sobie poradzi – choćby miała (jak chłopki w przedwojennej Polsce) skakać z dachu stodoły. Ile kobiet wtedy umrze – o to już głowa nie boli. A tymczasem aborcja będzie i tak dostępna. Dla bogatych. Bo gdyby weszło w życie orzeczenie niekonstytucyjnego Trybunału Konstytucyjnego, to koszty zabiegu dokonanego przez lekarza będą wprost proporcjonalne do podejmowanego ryzyka. A zabieg za granicą, nie mniej niż dotąd kosztowny, będzie – przynajmniej teraz – obarczony możliwością dalszego rozszerzenia pandemii.

Ciekawe: istnienia w Polsce podziemia aborcyjnego nie neguje nikt – nawet organizacje *pro-life* czy *anti-choice*, nawet Kościół. Nikt też nie neguje istnienia turystyki aborcyjnej. Ale jeżeli tak – to o jaką obronę życia chodzi?! Uspokajamy własne sumienie – ale czy naprawdę zapewniamy mu spokój? Opowiadamy się za życiem – lecz czy nie przez działanie pozorne? Zdejmując problem z wokandy, umywamy ręce gestem Piłata. Oto pierwsze postępowanie niechrześcijańskie.

A przecież w Polsce nie ma nakazu aborcji! Jan Paweł II, odpowiedzialny za rozpętanie aborcyjnego piekła, podkreślał, że „człowiek jest istotą wolną”, że „człowiek może powiedzieć Panu Bogu: nie”. No więc pozwólmy powiedzieć „nie”! To znaczy: uświadamiamy, że aborcja jest grzechem, ale nie wyręczamy ludzkiego sumienia. Który chrześcijanin ma większe prawo do nieba: ten, któremu zagraża ustawa, czy ten, który z własnej woli z możliwości aborcji nie korzysta? Czy zasługą ma być obawa przed zgrzeszeniem, czy posłuch świeckiemu państwu? Ale jeżeli to ostatnie – to czy nie znaczy, że państwo świeckie przestało istnieć? Upominanie się o państwowe prawo antyaborcyjne – to drugie postępowanie niechrześcijańskie.

Kościół w Polsce odwołuje się do *brachium saeculare* (ramienia władzy świeckiej). Ale taką pomoc Sobór Watykański II wykluczył. Jeżeli mimo to pomoc władzy świeckiej jest dla Kościoła (a przedtem dla Jana Pawła II) aż tak ważna, to znaczy, że odżegnał się on od dziedzictwa Soboru. Ale wiernych o tym nie poinformował, a tego

rodzaju zatajenie, taka nieczysta gra – to trzecie działanie niechrześcijańskie. Nade wszystko jednak: Kościół przyszedł się w ten sposób do własnej klęski duszpasterskiej. To zatem czwarte działanie niechrześcijańskie: popełnianie grzechu duszpasterskiego lenistwa.

Nie pochwalam demonstracji w świątyniach – cokolwiek by w tych świątyniach głoszone. Nie pochwalam profanacji pomników – cokolwiek by te pomniki symbolizowały. Wiem jednak, że wszystkie te akty (w sumie nieliczne i mało dolegliwe) są przejawem rozpaczki. Profanacja? W dawnej Polsce odbywały się w kościołach sejmiki, wyciągano szablę. A dziś? Czy biskupi pamiętają, jak wzywali do zaostrzenia prawa aborcyjnego? Czy mogą mówić – jak abp Stanisław Gądecki – że Kościół nie stanowi prawa? Toż to gest Piłata i faryzeizm czystej wody! Oto więc piąte działanie niechrześcijańskie. Ale jest i szóste, najważniejsze: brak miłości. „Gdybym mówił językiem ludzi i aniołów, a miłości bym nie miał, stałbym się jak miedź brzęcząca albo cymbał brzmiący”. To słowa św. Pawła Apostoła (1 Kor 13,1-2). I jest też siódme: formalizm. „Litera zabija, a duch ożywia” – to słowa św. Pawła z jego kolejnego listu (2 Kor 3,6). A gdy słyszę abp. Marka Jędraszewskiego porównującego znak demonstrujących do znaku SS, to przypominam sobie słowa samego Jezusa: „Błogosławieni pokój czyniący, albowiem nazwani będą synami Bożymi” (Mt 5,9). Jak-

że daleko odszedł polski Kościół od Chrystusa.

Aborcja powinna być legalna! Mówię to jako chrześcijanin, jako katolik, a choć nie mam prawa wypowiadać się w imieniu mojego Kościoła, to mam takie prawo w imieniu samego siebie, własnego sumienia. Aborcja powinna być legalna, bo tylko wtedy będziemy mogli stymulować zakres tego zjawiska, jego zasięg i rozpręstrzenie, próbować jego skalę ograniczać, znajdować środki zaradcze. Tymczasem rezultatem KAŻDEJ ustawy antyaborcyjnej jest podziemie. Tym większe, im bardziej restrykcyjna ustawa.

Rachuby władzy były cyniczne: skoro wszystko się sypie, trzeba sobie zapewnić bezwarunkowe poparcie Kościoła. A skoro jest epidemia, to nikt nie będzie protestował. Tymczasem mamy coś więcej niż protest. Mamy bunt. „To jest wojna!”, skandują kobiety. „Musimy bronić polskich kościołów za każdą cenę”, odpowiada im Jarosław Kaczyński. Tak jakby kościoły rzeczywiście były atakowane. Czy stoimy w przededniu wojny domowej? Na razie jesteśmy w obliczu rozszerzenia pandemii. Sojusz ołtarza z tronem przynosi zawsze opłakane skutki.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

**Aborcja powinna być legalna!
Mówię to jako chrześcijanin, jako katolik.**

Kolejny Trump może być jeszcze gorszy

Ameryka potrzebuje odważnych rozwiązań dla klasy robotniczej, by nie wpadła ona znów w łapy skrajnej prawicy

Rozmawia Jakub Dymek

Jakie słowo będzie się panu kojarzyć z rokiem 2020 w Ameryce?

– Niepewność. Absolutny brak wiedzy, jak będzie się rozwijać epidemia, jak ma funkcjonować gospodarka i jaki w ogóle będzie wynik wyborów. Jednak – co ciekawe – nie dlatego, że nie wiemy, kto ma większe szanse na wygraną. Akurat sondaże tym razem są jednoznaczne, a modele solidniejsze – jak się wydaje – niż w 2016 r. i wprost wskazują na zwycięstwo Bidena. Problem jest inny – my nawet nie wiemy, czy wynik wyborów będzie znany po pierwszym zliczeniu głosów, czy Trump uzna rezultat ani nawet czy wybory będą uczciwe.

Zaraz, fałszerstwa wyborcze w Ameryce? Czytelnik po tej stronie oceanu może jednak się zdziwić.

– No właśnie. Cóż dziś znaczą uczciwe wybory? Donald Trump twierdzi, że głosy oddane listownie – a w tym roku rekordowo wiele osób głosuje korespondencyjnie i zaocznie – są po prostu podejrzane i nie można im ufać. A jednocześnie – nie wiem, czy o tym słyszeliście w Polsce – Partia Republikańska w Kalifornii zaczęła rozstawiać własne „oficjalne” skrzynki, takie urny dla głosujących korespondencyjnie, w różnych miejscach publicznych. To jest nielegalne, to oczywista próba fałszerstwa wyborczego, robiona do tego wyjątkowo bezczelnie. Tam jest napisane: „Tu zgłoszujesz” – a przecież nikt im nie dał prawa organizacji wyborów. Co oni potem zrobią z tymi głosami?

Jest więcej prób zakłócenia wyborów?

– Tak! Wspomnijmy choćby o próbach otwartego zastraszania wyborców. W stanach, gdzie można



PROF. DAVID OST

– profesor nauk politycznych Hobart & William Smith College w USA, autor książek o populizmie, klasie robotniczej i transformacji politycznej w Polsce, stale publikuje w polskich i amerykańskich mediach. W Polsce ukazały się jego dwie książki: „Kłęska Solidarności” i „Solidarność a polityka antypolityki”.

legalnie poruszać się na ulicy z bronią, prawicowe bojówki zapowiadają, że mogą stawić się pod lokalami wyborczymi z karabinami. Co, dodajmy, już zrobili przy okazji przedterminowego głosowania w stanie Ohio. Po co? Żeby wywołać strach, zniechęcić ludzi do oddania głosu, zagrozić przemocą przeciwnikom. Ten widok naprawdę może pomóc osiągnąć ten cel. Donald Trump już wysyłał sygnały skrajnym organizacjom, takim jak

Proud Boys, czyli „dumni chłopcy” – szowinistycznym grupom wyznającym ideologię supremacji białej rasy, żeby „były w gotowości”.

Pan uważa, że groźba przemocy politycznej jest w USA realna, czy to jednak rodzaj działania, które ma mobilizować ludzi – także ze strachu – by zagłosowali?

– Czytam teraz dużo o przedwojennym faszyzmie i jego początkach w Europie przed prawie stuleciem. I jedna rzecz, która się powtarza, czy chodzi o SA w Niemczech, czy o *squadristi* we Włoszech, to tendencja do bagatelizowania tego zagrożenia i nietraktowania go poważnie do ostatniej chwili.

I to jest teraz uzasadnione porównanie?

– Nie mówię, że bojówki sympatyzujące z Trumpem są tym samym co przedwojenne czarne czy brunatne koszule. Ale one rzeczywiście próbują „monitorować” wybory z bronią w ręku pod lokalami wyborczymi. A sprzedawcy broni palnej donoszą o rekordowych utargach w tym roku. Jeśli więc Trump stwierdzi, że przegrał przez „fałszerstwa wyborcze”, a prawdziwy rezultat jest inny, „naprawdę ja zwyciężyłem”, to jego uzbrojeni zwolennicy mogą chcieć przemocą przejąć komisje wyborcze. A pamiętajmy, że wybory w USA są organizowane na poziomie lokalnym, bez jakiegokolwiek federalnego nadzoru, więc ja bym tego zagrożenia nie bagatelizował.

Jak rozbito klasę robotniczą?

Pan doskonale zna się na Polsce, zajmował się pan populizmem w naszym kraju, zanim to zjawisko stało się globalną tendencją i trafiło na usta wszystkich wraz z brexitem i zwycięstwem Trumpa. Dlaczego

i u nas, i w pańskiej ojczyźnie prawicowy populizm skutecznie odbiera lewicy klasę robotniczą? Tak bardzo, że „zwykli ludzie” wolą milionera, skandalistę i celebrytę w Białym Domu.

– To prawda, moja książka „Klęska Solidarności” opowiadała o tym, jak lewicowy i robotniczy ruch, jakim była Solidarność, dał początek niechętniej robotnikom polityce już w III RP. I jak to pęknięcie między robotnikami a elitami Solidarności otworzyło wrota skrajnej prawicy, skłonnej mówić do porzuconych i wykorzystać politycznie ich gniew.

Podobnie w Ameryce – liberalna lewica miała kiedyś robotników po swojej stronie, bo wprowadzała sprzyjające im rozwiązania. Później Partia Demokratyczna poparła globalizację, która zaskodziła tym samym robotnikom, pozwalając choćby na wyprowadzenie miejsc pracy za granicę. I do dziś nikt nie znalazł sposobu, by ten problem rozwiązać. Lewica nie chciała przecież odwrótu od globalizacji w stronę narodowych egoizmów, szowinizmu, ksenofobii. Ale gdy zaproponował to Trump

– gdy powiedział, że wreszcie pogonimy „obcych” i postawimy Amerykę na pierwszym miejscu, część klasy robotniczej pomyślała: dlaczego nie? Może to w końcu zadziała.

To znaczy biali amerykańscy robotnicy tak pomyśleli?

– Tak, ponieważ gdy lewica wspierała globalizację, zaczęła wspierać też – w końcu! – interes mniejszości. Ironia tej sytuacji polega na tym, że los mniejszości zaczął się poprawiać w tym samym okresie, gdy białym robotnikom zaczęło się pogarszać. Biali ogółem wciąż mają się lepiej, ale wielu z tych, którym się pogorszyło, skłonnych jest obarczać winą mniejszości. Za to, że ich awans dokonał się rzekomo kosztem białych robotników. Naprawdę jednak winę ponosi globalizacja.

I jak to się ma do sukcesów republikańskiej prawicy?

– Tak, że gdy jedna część klasy robotniczej obwinia drugą za swoją niedolę, wkracza prawica. Doskonale wprawiona w szczucię zwykłych ludzi na siebie nawzajem, a w interesie elit. Lewica odrzuca tę retorykę szowinizmu i podziałów – ale sama nie wie, co począć z losem robotników,

z problemem u podstaw, globalizacją. Wystarczająco wielu białych wyborców wpada więc w pułapkę ksenofobii, rasizmu... Zna pan książkę „Obcy we własnym kraju” prof. Arlie Russell Hochschild?

Znam. To socjologiczna opowieść o prostych ludziach z Luizjany, którzy choć cierpią z powodu kryzysu gospodarczego i zatrucia środowiska, i tak głosują na milionerów i trucicieli, bo wierzą, że oni będą ich bronić przed złymi ludźmi.

– Tak. Hochschild opisuje *deep story* (głęboką narrację) tych ludzi. Czyli to, jak oni sami uzasadniają swoje przekonania. My stoimy w wielkiej kolejce – mówią bohaterowie i bohaterki książki – po to, co nam wszystkim się należy. I nie mamy nic przeciwko temu, żeby inni też dostali, co im się należy. Ale „oni” – czyli czarni, Latynosi, imigranci – cały czas wypychają się przed nas w kolejkę! Co to znaczy? Że ktoś ich przekonał, że miejsce białych Amerykanów

Jeśli Trump stwierdzi, że przegrał przez „fałszerstwa wyborcze”, to jego uzbrojeni zwolennicy mogą chcieć przejąć komisje wyborcze.

– nawet biednych czy z prowincji – jest zawsze przed innymi. Że mają większe niż inni prawo do tego, co przecież wszystkim – sami to mówią! – się należy. Samo to przekonanie o „kolejce do dobrobytu” sugeruje, że ktoś musi mieć pierwszeństwo. A inni – stać, gdzie stoją!

Co ciekawe, nie zawsze jest tak, że robotnicy tak się kłócą między sobą. Poparcie dla praw kobiet, Afroamerykanów, mniejszości, zgoda na programy społeczne nie tylko dla białych facetów – to nie stanowiło dla lewicy problemu, dopóki gospodarka się rozwijała. Spójrzmy na Europę...

Co z Europą?

– Od lat 50. i 60. XX w. we Francji, Niemczech i Wielkiej Brytanii ściągano robotników do fabryk i przemysłu. Ale cała ta retoryka „różnic kulturowych” nie chwyciła, dopóki gospodarka się rozwijała. Dopiero gdy zwolniła i „rdzenni” Europejczycy to odczuli, wyrosły antyimigranckie nastroje. Podobnie w Ameryce – prawica jest dziś silna tą emocją. Ale porażka Trumpa w tej dziedzinie, jego niezdolność do rozwiązania jakichkolwiek problemów białych robotników, może się okazać głównym powodem,

dla którego prawdopodobnie przegra on te wybory.

Nikt nie broni mordujących policjantów

Dlaczego w Ameryce tego lata, gdy szalała epidemia, a niedomaganie służby zdrowia skazało na śmierć dziesiątki i setki tysięcy chorych, tak mocno wybuchły protesty na tle rasizmu i przemocy policji?

– Zdecydował o tym w dużej mierze przypadek. Nikt nie wiedział, że zobaczymy tej wiosny tak przerażający i brutalny film z zabicia człowieka, duszenia go przez osiem minut przez obojętnych i wyrachowanych policjantów. Mówię oczywiście o nagraniu śmierci George’a Floyda. Jako Amerykanie widzieliśmy bestialskie nagrania z egzekucji dokonywanych przez dżihadystów na naszych obywatelach, ale coś takiego? Nagranie, jak nasz własny obywatel, podejrzewany o jakieś drobne przestępstwo,

jest zabijany w biały dzień, w taki sposób? Do tego przez policjanta, który czuje się nietykany? Brutalność i groza tego nagrania były dla masowej widowni szokujące.

I to wystarczyło?

– Wyjątkowe było to, że tak bardzo zmobilizowali się biali Amerykanie. To było widać na ulicach. Najaktywniej zaś uczestniczyła młodzież akademicka. Mieliliśmy do czynienia z wielkim wyrzutem i masowym poczuciem winy po stronie białej Ameryki. Bo trzeba pamiętać, że działo się to podczas pandemii. Osoby, które są najbardziej narażone na przemoc i represje policji, to te same osoby, które pracują w „niezbędnych zawodach” (*essential workers*) i często to na nich stoja nasza służba zdrowia i sektor opieki. To dzięki nim my możemy zrobić zakupy, jeżdżać autobusy i metro, możemy coś załatwić w urzędzie. W tym momencie zobaczyć także kolejne akty przemocy policji – brutalniejsze niż wcześniej – wobec tych samych ludzi, na barkach których opiera się dziś społeczeństwo, podczas gdy klasa średnia pracuje sobie z domów? To zaowocowało największymi protestami od lat!

► **A co z kontrowersjami wokół tych demonstracji? Ameryka na tle protestów antyrasistowskich w tym roku mocno się poróżniła.**

– Badania pokazały już, że 97% tych protestów miało pokojowy przebieg. Ale wszyscy wiemy, że wystarczy kilku prowokatorów czy chuliganów, żeby zepsuć wizerunek takiego ruchu społecznego.

Tu wracamy do naszej białej klasy robotniczej, która ogląda te demonstracje w Fox News, widzi rozbite witryny sklepów, spalone samochody i się boi.

– Fakt, trzeba oglądać Fox News, żeby mieć taki obraz. Ale Donald Trump też doskonale dzieli ludzi – to jego, można powiedzieć, ulubione boisko. Nie wiem, czy czytelnicy w Polsce to pamiętają, ale pierwszym eksperymentem Trumpa w świecie polityki było domaganie się przywrócenia kary śmierci dla tzw. piątki z Central Parku – nastolatków skazanych – fałszywie, jak się potem okazało – za gwałt i napaść na kobietę w Nowym Jorku w 1989 r. On używał tematów koloru skóry i przestępczości, żeby dzielić ludzi i szczerć ich jeden na drugiego, zanim jeszcze został politykiem.

My oczywiście wiemy – i to już od lat 60. – że obraz jakichkolwiek zamieszek będzie lepszy dla oglądalności telewizyjnej. I pokusa podkręcenia tych relacji, żeby jeszcze bardziej wciągnąć widza i utrzymać go przed ekranem, jest wielka.

Prawica długo uczyła się, jak unowocześnić politykę faszystowską, żeby zaakceptowały ją szerokie grupy ludzi.

I to się dzieje?

– Nie jest wciąż do końca jasne, co się dzieje. Wszyscy widzieli egzekucję na George'u Floydzie. I wtedy nawet Fox News, który normalnie broni policji, tym razem nie mógł. Po paru dniach jednak Fox zaczął pokazywać wyłącznie obrazki zamieszek i rozrób w trakcie protestów przeciwko brutalności policji. I być może to, które sceny ludzie zapamiętują mocniej, zdecyduje o wyniku listopadowych wyborów.

Wiele osób mówi, że te wybory mają dużo wspólnego z pierwszą wygraną Richarda Nixona pół wieku temu – gdy on po raz pierwszy tak mocno zagrał kartą rasową i strachem białych Amerykanów.

– Jakies podobieństwa są: kwestia rasy, przedmioty, wzbudzanie niechęci do demonstrantów jak w 1968 r. Ale nie mniej jest różnic. Trump jest prezydentem i nie może udawać, choć próbuje, że przemoc dziejąca się tu i teraz w ogóle go nie obciąża. Przecież to on zwraca się do prawicowych bojówek – wprost, nie tylko puszczając oko – żeby „były w gotowości”.

Trump zwraca się wprost do prawicowych bojówek, żeby „były w gotowości”.

Joe Biden powinien być jeszcze częściej mówić: chcecie przemocy na ulicach, głosujcie na Trumpa, chcecie konfliktów rasowych, podziałów, głosujcie na Trumpa.

Trump bis

Ewentualna przegrana Trumpa nie zakończy jednak fali prawicowego populizmu.

– Oczywiście. Prawica długo się uczyła, jak unowocześnić starą politykę faszystowską, żeby stała się ona akceptowalna dla szerokich grup ludzi. Musieli się nauczyć swego rodzaju finenzji – jak nie pokazywać obrzydliwej twarzy, ale otwarcie głosić skrajne poglądy. Jak przyciągnąć do siebie umiarkowanych wyborców, nie gubiąc przy tym radykalnej agendy. I tak dalej. Taka populistyczno-radykalna Partia Republikańska jeszcze dostanie

też, co sam Trump zrobi w przypadku utraty władzy. Zaakceptuje wynik, wezwie do buntu, a może założy własny program telewizyjny? I co się stanie z Partią Republikańską? Jej wyborcy są po stronie Trumpa, ale jeśli on przegra, partyjni liderzy prędko się go pozbędą. Jego ludzie zaś nigdy nie byli wielce lojalni, a partia pogrąży się w wewnętrznej wojnie o to,

kto ma w niej nadać ton. Na te czasy, jak myślę, mimo wszystkich niedociągnięć tej kandydatury, Biden to najlepszy reprezentant Partii Demokratycznej.

Najlepszy, ale wciąż bardzo umiarkowany jak na trudne czasy?

Najlepszy, ale wciąż bardzo umiarkowany jak na trudne czasy?

– To doskonale pokazuje, jak potrzebni byli ruch Berniego Sandersa i młodzi ludzie opowiadający się za dużo bardziej socjalnym programem! Bernie zrobił bardzo mądrze, uważam, zdecydowanie popierając Bidena, przy jednoczesnym wrzucaniu demokratom odważniejszych pomysłów – dotyczących opieki zdrowotnej czy abolicji długów studenckich. To jest sedno tego, o czym rozmawiamy. Żeby utrzymać robotników pokrzywdzonych przez globalizację, demokraci muszą zrobić coś odważnego. Nie mogą zadowalać się polityką małych kroków lub nierobienia niczego. Teraz może lewica i liberalna lewica w końcu zrozumieć, że nie ma innego wyjścia. Bo jak nie postarają się rozwiązać problemów, które przyczyniły się do wygranej Trumpa: upadku przemysłu, zadłużenia gospodarstw domowych, wielkich nierówności i porzucenia prowincji, to ściągną sobie na głowę Trumpa bis.

Ma pan nadzieję, że radykalne czasy zmuszą demokratów do radykalnych kroków?

– Jeśli pandemia nie skłoni amerykańskiej klasy politycznej do poparcia powszechnego i publicznego ubezpieczenia zdrowotnego, to nie wiem, co jeszcze musiałoby się stać! Jeśli zaś cztery lata prezydentury Trumpa nie uświadomiły opozycji, w jakiej znalazła się sytuacja, że to wojna, i co musi zrobić – to się ośmiesz. I jak mówiłem wyżej, otworzy drzwi jeszcze gorszej prawicy. Następca Trumpa może być przecież gorszy niż on.

Jakub Dymek

j.dymek@tygodnikprzeгляд.pl
dymek.substack.com

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Zapewne portugalską rewolucję goździków dało się zrozumieć bez wspominania o goździkach zatykanych w lufach karabinów żołnierzy i policjantów przez demonstrujących, którzy chcieli demokracji w miejsce prawicowej dyktatury. Istoty polskiej rewolucji z jesieni 2020 r. nie da się zrozumieć, kiedy nie dostrzeżemy, co naprawdę mówi nam wszechobecnie wykrzykiwane „wypierdalać” i spora czy – jak kto woli – niesłychana nadobecność słów uznanych za wulgarne, obraźliwe, obsceniczne. Są w powietrzu prawie wszystkie i w częstym użyciu. Ale ich rola, znaczenie i moc nie polegają po prostu na tym, że ten przekaz ma do kogoś dotrzeć i wywołać oczekiwany skutek (żeby „wypierdolił”). By to wyjaśnić, przywołam stary jak polska konstytucja felieton narodowego dramaturga, goszczącego raz za razem na arkuszach maturalnych, Sławomira Mrożka. Ów felieton, „Taniec rytualny”, zaczyna się tak: „Konstytucja, owszem, ładna. Tylko dlaczego ani razu nie użyto słowa »kurwa«? Nie ma go w całym projekcie, napisanym poprawną polszczyzną i nawet pozwalającym sobie

chyba tylko jedno mało cenzuralne: wkurw. Jestem wkurwiona. Myślę, że wszystkie, jak tu jesteśmy, jesteśmy po prostu wkurwione”. Została skazana w pierwszej instancji, jednak podczas rozprawy apelacyjnej sąd zajął zgoła odmienne stanowisko: „Nie sposób przyjąć, skupiając się na okolicznościach podmiotowych, iż obwiniona użyła słów wulgarnych z niskich pobudek, to jest dla przyjemności bądź dla wywołania taniego efektu retorycznego. Przeciwnie, co wynika z treści przemówienia, chodziło o wyrażenie autentycznej, skrajnej dezaprobaty dla poprzedzających i współczesnych szeroko rozumianych społecznych i politycznych wydarzeń i w subiektywnym przekonaniu obwinionej drastyczność słownej jej reakcji była uzasadniona w tym sensie, iż żaden mieszczący się w normie kultury słownej dynamizator wypowiedzi nie był w stanie dostatecznie oddać jej negatywnego stosunku do rzeczywistości. (...) Inkryminowane słowa zostały wypowiedziane w trakcie manifestacji organizowanej w konwencji wiecu, gdzie granica swobody wypowiedzi jest z natury rzeczy poszerzona”.

Bez „wypierdalać” nie razbieriesz

na pewne wzniosłości we wstępie. I to ma być konstytucja dla wszystkich, a nie jakaś elitarna?”.

Potem Mrozek zadaje kolejne pytania: „Dlaczego zrehabilitowana jest tak oschle i surowo, w języku składowym i logicznym, czyli mało rozumiałym albo wręcz niezrozumiałym dla większości, która, jak wiadomo z licznych ostatnio sondaży, nie rozumie nawet prostego zdania przeczytanego w gazecie, jeśli gazetę w ogóle czyta? Dlaczego to wszystko takie nieprzystępne, abstrakcyjne, nieatrakcyjne, sztywne, staroświeckie, nieodlotowe, bez luzu, fajności, dowcipu i jaj?”. Przysnam się, manipuluję trochę Mrożkowym tekstem, bo w istocie był on obroną kultury wysokiej, choć przewrotność formy pozwalała go czytać inaczej – wbrew intencjom autora, ale zgodnie z podświadomą mądrością tekstu. „W imieniu ludu umęczonego kulturą wysoką proszę o minimum: żeby w projekcie konstytucji umieścić choć raz słowo »kurwa«”. Żeby przybliżyć i uprzystępnąć. Przecież to ma być konstytucja dla mas, nie?”. Nie z powodu wspomnianego wyżej braku konstytucja nie stała się tekstem bliskim Polkom i Polakom. Spełniała bowiem wysokie standardy Mrożkowego wyobrażenia o kulturze wysokiej. Przez co stała się i obca, i nieprzestrzegana, na długo zanim PiS zaczęło majstrować wokół jej interpretacji, podporządkowując sobie bezprawnie najwyższy uprawniony do tego organ.

Przed kilkoma laty Joanna Jaśkowiak, żona prezydenta Poznania, na wiecu Międzynarodowego Strajku Kobiet, który sprzeciwia się nienawiści i pogardzie wobec kobiet oraz pozbawianiu ich prawa wyboru, mówiła: „Najpierw było to zdziwienie, później zaskoczenie, oburzenie, niedowierzanie, złość, wściekłość. I ostatecznie brakuje mi słów i [oddaje to]

Co ma sprawa Joanny Jaśkowiak do naszego tytułowego „wypierdalać”? Ano to, że kobiety poczuły naprawdę skrajną wściekłość po wyroku partyjnego trybunału Przylębskiej uznającej, że poważne uszkodzenie płodu nie jest wystarczającą przesłanką do przerwania ciąży. I po tych wszystkich latach wykrzyczały, wykrzykują i będą wykrzykiwać to „wypierdalać”. Przeciwno czemuś większemu, przeciw męskiej władzy, która na takie ograniczenie praw kobiet sobie pozwala, i to w momencie, kiedy nie można (teoretycznie) zgodnie z prawem jej oprotestować. Ten krzyk narusza jeszcze większe tabu: katolicko-męsko-patriarchalną wizję kobiety akceptowalnej, do formowania której służą wszystkie narzędzia socjalizacji: szkoła, Kościół, prawo, media, obyczaj, stygmatyzowanie. Wedle tej wizji kobieta ma być grzeczna, posłuszna, podporządkowana, niepyskata. Ma być jak w „Opowieści podręcznej” Atwood: niekłopotliwa, bezradna i zależna – od mężczyzn, ich kultury i władzy, czego karykaturalnym portretem są polscy hierarchowie i zrzędlivi, zawistny starzec z Żoliborza.

I to przeciw temu niesie się owo „wypierdalać”. Strofowane przez sprawców przemocy, arbitrów dobrego wychowania (nie tylko tych z „dobrej zmiany”), dla jaj piszą na transparentach: „Bądź tak łaskaw i oddal się, proszę, dziękuję i przepaszam”; „Dzisiaj tata pozwolił mi przeklinać”; „Umykajcie chyżo”; „Jesteśmy zaniepokojone”; „Upzejmie prosimy uciekać prędziutko”; „Jako damy przeklinamy”; „Czem prędzej się wybierajcie!”.

Możecie się krzywić i kręcić noskami. Na koniec i tak wybrzmi najprawdziwsze, pełne kobiecej mocy WYPIERDALAC. I ono wygra.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Marcin Sar
Korespondencja z USA

Kandydaci dekownicy

Ani Trump, ani Biden nie rwali się do służby wojskowej

Jeśli sądzić po półrocznym prelude do historycznych – jak można się spodziewać – wyborów prezydenckich, urzędującego prezydenta Donalda Trumpa i kandydata demokratów Joea Bidena łączy bardzo mało, poza wiekiem emerytalnym i niewielką ochotą do służby w wojsku za młodu. Oczywiście dla Ameryki, i pewnie nie tylko, najważniejsze jest podejście przyszłego prezydenta do gospodarki, pandemii, bezpieczeństwa publicznego, stosunków ze światem zewnętrznym, a przede wszystkim odpowiedzialne sprawowanie funkcji zwierzchnika największej potęgi militarnej globu. Człowiek na takim stanowisku powinien mieć pewne pojęcie o wojskowości i kwestiach strategicznych, co nie oznacza, że koniecznie musiał sam nosić mundur. I właśnie to wygląda zadziwiająco podobnie u obu kandydatów.

Kto przekona wojskowych i weteranów

Trump kreuje wizerunek zbawcy, który zawróci siły zbrojne znad przepaści, wydając więcej niż poprzednik na sprzęt militarny. To drugie zasadniczo się zgadza, nawet przy wzięciu pod uwagę inflacji. Natomiast według relacji byłych bliskich współpracowników prezydent niejednokrotnie nazywał poległych w boju czy wziętych do niewoli żołnierzy przegranymi i naiwniakami (*losers and suckers*). W prawyborach Partii Republikańskiej w 2015 r. naigrawał się z rywalizującego z nim o nominację prezydencką senatora Johna McCaina, który stracony nad Wietnamem spędził w niewoli pięć i pół roku. Trump twierdził, że nie jest on dla niego żadnym bohaterem, bo bohaterowie nie dają się wziąć do niewoli. Nie przysporzyło mu to popularności w środowisku weteranów ani emerytowanej generalicji, która do jego kadencji zazwyczaj unikała krytycznych wypowiedzi pod adresem polityków. Z obecnym dowództwem armii Trumpowi też nie zawsze po drodze, bo wojskowi niechętnie odnosili się do pomysłów tłumienia protestów ulicznych za pomocą regularnej armii.

Joe Biden w kampanii wyborczej wypowiada się o wojsku z szcunkiem i w duchu patriotycznym. Przejmuje się sprawami rodzin wojskowych i weteranów. Najwidoczniej z braku własnych wspomnień bojowych w wystąpieniach publicznych często przywołuje pamięć o swoim synu Beau, który skończył akademię wojskową, służył w armii sześć lat, z tego rok w Iraku, a zmarł na raka mózgu w 2015 r., dołączając do matki i młodszej siostry, które zginęły w wypadku samochodowym, gdy miał cztery lata. Mimo to byłemu wiceprezydentowi nie będzie łatwo przekonać do siebie wojskowego elektoratu, który tradycyjnie głosował na kandydatów republikańskich, oni bowiem z reguły obiecywali większy budżet na siły zbrojne. W 2016 r. Trump otrzymał według *exit poll* 60% głosów żołnierzy w służbie czynnej i weteranów.

Sportowcy niezdolni do służby

O ile można zrozumieć wymogi i logikę walki wyborczej, o tyle zaciekawia niemal lustrzane podobieństwo postaw kandydatów wobec własnej

kategori w 4-F, dożywno zwałniając od służby, ze względu na ostrogi w piętach.

Wcześniej nic nie zapowiadało takiego zwolnienia. Trump z powodzeniem grał w reprezentacji swojej szkoły średniej w bejsbol, a do połowy studiów w uczelnianym klubie tenisowym i squasha. Według własnych wypowiedzi miał talent na miarę angażu w profesjonalnym bejsbolu, ale wolał się skupić na studiowaniu biznesu, co nie przeszkodziło mu rozpoczynając przygody z golfem.

Joe Biden urodził się w roku 1942. Studia licencjackie rozpoczął w 1961 r. w stanie Delaware. Prezydent Kennedy autoryzował właśnie wysłanie 500 żołnierzy wojsk specjalnych i doradców wojskowych do Wietnamu Południowego. Do końca 1962 r. doradców było tam ok. 11 tys. W 1965 r. Biden kontynuował studia na Syracuse University na północy stanu Nowy Jork, skończył je w roku 1968 jako magister prawa. Dostał cztery odroczenia służby wojskowej, a tuż po zakończeniu studiów został uznany za niezdolnego do niej ze względu na astmę w wieku nastoletnim (*asthma as a teenager*).

Biden z braku własnych wspomnień bojowych często przywołuje pamięć o synu Beau, który skończył akademię wojskową.

służby wojskowej. Donald Trump urodził się w 1946 r., czyli od 1964 r. podlegał obowiązkowi służby wojskowej. Wojna wietnamska nabierała wówczas tempa. Komisja wojskowa uznała Trumpa za zdolnego do służby, ale dwa lata studiował na przeciętnej uczelni w Nowym Jorku i kolejne dwa na prestiżowej Wharton School w Pensylwanii na poziomie licencjackim. Z tego tytułu czterokrotnie otrzymał odroczenie służby wojskowej, a w 1968 r. zmieniono mu kategorię na 1-Y, czyli niezdolny do służby z wyjątkiem stanu wyjątkowego w kraju. Cztery lata później uzyskał zaś zmianę

Także w jego wypadku niezdolność do służby mogła zaskakiwać. Joe Biden był wyróżniającym się graczem w reprezentacji szkoły średniej w futbolu amerykańskim i dorabiał jako ratownik wodny. Jak mówi, był jedynym białym na basenie w czarnej dzielnicy, dzięki czemu dobrze poznał jej mieszkańców i z wieloma się zaprzyjaźnił. W reprezentacji futbolowej uczelni grał na pozycji receivera. Ceniono go za szybkość i zwrotność. W 1960 r. był na piątym miejscu wśród najsukcesowniej atakujących w akademickiej lidze stanu Delaware. Grał



Trump kreuje wizerunek zbawcy, który zawrócił siły zbrojne znad przepaści.
Nz. podczas wizyty w bazie Bagram w Afganistanie, 28 listopada 2019 r.

również w uniwersyteckiej reprezentacji bejsbolowej.

Niewysokie loty Busha juniora

Zgodne z prawem unikanie powołania do wojska w USA nie było niczym nowym ani nagannym, bo już w czasie wojny secesyjnej można było opłacić zastępstwo albo wyzwolić niewolnika i postać go zamiast siebie. W czasie kontrowersyjnej i coraz bardziej niepopularnej wojny wietnamskiej takie starania podjęto ponad 60% mężczyzn w wieku poborowym. Zastaniano się różnymi religiami zabraniającymi jakiegokolwiek służby wojskowej, zakładano na badanie przez komisję wojskową damską bieliznę z obawy, że mogą zapomnieć zapytać o orientację seksualną, a nawet uciekano do Kanady lub Szwecji.

Odroczenia studenckie były jak najbardziej legalne i powszechnie stosowane. Niektórzy tylko po to studiowali, co nierzadko zdarzało się i w PRL. Ryzyko powołania po skończeniu studiów było niewielkie, choć nadal istniało. Dlatego przydawało się orzeczenie lekarskie o niezdolności do służby, a majątni czy ustosunkowani rodzice bardzo pomagali w znalezieniu przyjaznego lekarza. Na przykład takiego, który wynajmuje duży gabinet w budynku, którego właścicielem jest dobry ojciec.

Bezpośredni poprzednicy Trumpa w fotelu prezydenckim nie byli wzorcami do naśladowania w kwestii służby wojskowej. Za czasów młodości Obamy nie było już obowiązku poboru, Clinton wyreklamował się studiami w ojczyźnie, a następnie prestiżowym i wyróżniającym stypendium Rhodesa na Uniwersytecie Oksfordzkim w Anglii.

George W. Bush po studiach licencjackich przeszedł szkolenie jako pilot

Trump nazywał poległych w boju czy wziętych do niewoli żołnierzy przegranymi i naiwniakami.

myśliwca, które skończył podobno z najniższym możliwym kwalifikującym do latania wynikiem. Okoliczności jego służby pozostają niejasne, w dokumentacji sił powietrznych pełno jest luk. Wiadomo tyle, że będąc w kwiecie wieku poborowego, zamiast do Wietnamu trafił do Alabamy do pracy w kampanii wyborczej do Senatu USA. Gdy nie stawiał się na okresowe testy medyczne, zawieszono mu prawo latania i odesłano do Teksasu, gdzie po kilku miesiącach został przedterminowo zwolniony ze służby w związku z podjęciem studiów na Harvard Business School, cieszącej się opinią najbardziej prestiżowej na świecie, z wysoko zawieszoną poprzeczką dla kandydatów.

Było to krótko po nieudanej próbie dostania się na prawo na University of Texas. Krytycy Busha juniora przygadywali, że jego ojciec, przyszły prezydent, był wówczas w administracji Nixona ambasadorem przy ONZ i szefem Komitetu Krajowego Partii Republikańskiej.

Unikanie ściślejszej styczności z mundurem, musztrą i dyscypliną wojskową wydaje się wspólną cechą nie tylko obecnych kandydatów na najwyższy urząd w USA, ale i większości polityków we współczesnej Ameryce Północnej i Europie. Nie sądzę, że będzie to miało większy wpływ na wynik listopadowych wyborów, nawet jeśli niektórzy starsi wyborcy pamiętają historyczną rolę gen. Dwighta Eisenhowera w II wojnie światowej czy niezwykłą odwagę i determinację Johna Kennedy'ego jako dowódcy staranowanej przez japoński niszczyciel łodzi torpedowej. Zasłużenie otrzymał on wówczas najwyższe odznaczenie U.S. Navy and Marine Corps za bohaterstwo, co mogło być języczkiem u wagi w walce z doświadczonym wiceprezydentem Nixonem – Kennedy w 1960 r. wygrał różnicą zaledwie 112 tys., czyli 0,2% głosów.

Dzisiaj temat unikania służby wojskowej nie istnieje w debacie publicznej. Obaj kandydaci staranie go omijają, wiedząc, że to miecz obosieczny i nie wiadomo, z której strony jest bardziej naostrzony.

Niedoskonałości charakteru z młodości błędą w obliczu aktualnych zagrożeń. W tym głosowaniu dla wyborców najważniejsze są: stan portfela i perspektywa postawienia na nogi gospodarki, pomoc finansowa od państwa w przypadku dłuższej zapaści, nadzieja na zwalczenie wirusa i dostęp do opieki medycznej, zastrzeżone podziały społeczne i rasowe zagrażające porządkowi publicznemu i potęgujące strach przed wzrostem brutalnej przestępczości. Zainteresowanie polityką zagraniczną czy zmianami klimatycznymi, aborcja, imigracja nie zginęły, ale wyjdą z hibernacji najprawdopodobniej dopiero po ustaleniu, kto zasiądzie w Białym Domu na najbliższe cztery lata. ■

Chile chce nowej konstytucji

Ostateczne zakończenie ery Augusta Pinocheta



Protest w Santiago de Chile 25 października.

Lech Miodek

Po 40 latach, w tym 30 latach demokracji, 14,8 mln Chilijczyków zostało wezwanych do podjęcia decyzji w sprawie losów pinochetowskiej konstytucji z 1980 r. Głosujący 25 października opowiedzieli się zdecydowanie za zakończeniem okresu przejściowego, rozpoczętego plebiscytem z 1988 r., kiedy to obywatele powiedzieli Pinochetowi „nie”. Celem Pinocheta jako naczelnika państwa była konstytucja, która skupiała w jego ręku całą władzę i zabezpieczała go przed narodem. Tym razem na pytanie, czy chcesz nowej konstytucji, zdecydowana większość (według wstępnych danych 78%) powiedziała „tak”.

Podobnie jednoznaczny był wybór ciała, które opracuje tekst nowej konstytucji. Będzie to Konwencja Konstytucyjna, złożona ze 155 osób, która ma zostać wybrana w kwietniu 2021 r., a nie Konwencja Mieszana z 50-procentowym udziałem parlamentarzystów. Konwencja będzie

zobowiązana do opracowania tekstu nowej ustawy zasadniczej w ciągu dziewięciu miesięcy, z możliwością jedynego przedłużenia terminu o trzy miesiące. Tekst zostanie poddany obowiązkowemu głosowaniu w referendum w 2022 r.

„Dzisiaj zwyciężyło społeczeństwo obywatelskie i demokracja, spokój nad przemocą”, oświadczył prezydent Sebastián Piñera po zapoznaniu się z wolą wyborców.

Tak jak pod koniec lat 80. Chile staje się prekursorem zmian w Ameryce Łacińskiej.

Plebiscyt jest najważniejszym osiągnięciem olbrzymiego ruchu protestów, które trwały od 18 października 2019 r. Przewodniczący Partii Komunistycznej Guillermo Teillier, który wraz z sześcioma innymi członkami partii wchodzi w skład Izby Deputowanych, nawoływał do masowego udziału w plebiscycie, aby m.in. wyeliminować możliwość zaskarżenia wyniku, gdyby udział wzięła mniej niż połowa uprawnionych.

Niska frekwencja była realnym zagrożeniem, bo od 2012 r. głosowanie w Chile przestało być obowiązkowe. Na przykład w drugiej fazie wyborów prezydenckich w 2017 r. głosowało 49% upoważnionych. Tym razem jednak oczekiwano dużego udziału, bo społeczeństwo, zwłaszcza ludzie młodzi, znacznie bardziej interesuje się polityką. Ostatecznie, mimo pandemii, frekwencja sięgnęła 50%.

Jedną z centralnych kwestii, którymi zajmie się Konwencja Konstytucyjna, będzie system rządów, a przedmiotem dyskusji będą m.in. gospodarka liberalna, prawa socjalne, decentralizacja i autonomie konstytucyjne niektórych instytucji, w tym banku centralnego.

Zanim doszło do plebiscytu, sytuacja w Chile była bardzo napięta. 18 października, w pierwszą rocznicę rewolty społecznej przeciw drożyznie i tydzień przed najważniejszym wyborem ostatnich trzech dekad, w stolicy kraju – Santiago de Chile, podpalono dwa kościoły. Według danych policji w centrum miasta, na słynącej ze zgromadzeń Plaza Italia, zebrało się co najmniej 25 tys. osób. Demonstranci wyszli na ulice mimo pandemii i obustrzeń zakazujących spotkań w przestrzeni publicznej powyżej 50 osób.

Początkowo demonstracja w stolicy miała pokojowy przebieg. Na Plaza Italia zgromadzili się głównie młodzi ludzie, chociaż widziano także rodzi-

ny, dzieci i osoby starsze. Były *batucady* (bicie w bębny), występy żeńskich zespołów i muzyka

na żywo. Manifestowano pod flagą chilijską i flagą Mapuczów, rdzennej ludności Chile. Ich liczbę ocenia się na 500 tys. Osiedlają się głównie w stolicy i jej okolicach. Ich zdaniem państwo i kapitał prywatny pozbawiają ich prawa do spuścizny po przodkach. Reagują na to podpaleniami transportów drewna, napadami na gospodarstwa właścicieli ziemskich i zabójstwami karabinierów w X regionie kraju.

Do udziału w demonstracji na Plaza Italia nie dopuszczono partii politycznych ani związków zawodowych. Kiedy pojawił się na niej burmistrz stołecznej gminy Recoleta, komunista Daniel Jadue, usłyszał groźby i obelgi. Według różnych sondaży Jadue jest najlepszą kandydaturą lewicową i centrolewicową przed wyborami prezydenckimi w 2021 r.

W ciągu dnia dochodziło do pojedynczych incydentów, chuligańskiej konfrontacji między kibicami dwóch stołecznych klubów piłkarskich i ataku na budynek korporacji Mutual de Seguridad, zajmującej się wypadkami w miejscu pracy. Poważne zamieszki miały miejsce po południu. W dzielnicy Puente Alto grupa ok. 300 młodych osób w kominiarkach obrzucała koktajlami Mołotowa komisariat policji. W dzielnicy Padre Hurtado manifestanci zaatakowali koszarę policyjną. Przed zapadnięciem nocy został zaatakowany komisariat w dzielnicy Pedro Aguirre Cerda. Wszystkie te dzielnice są zamieszkałe przez ubogich. W mie-

scowości Coquimbo, ok. 500 km na północ od Santiago, grupa młodych ludzi atakowała policjantów i budowała barykady.

W okolicy Plaza Italia podpalono kaplicę karabinierów San Francisco de Borja, która w ostatnim czasie była celem wielu ataków, oraz wieżę historycznego kościoła Wniebowstąpienia

Zapowiedź przyjęcia nowej konstytucji nie oznacza spadku napięć.

i kancelarię parafialną. Według policji winne podpażeń są grupy młodzieży. W sieciach społecznościowych pojawiło się zdjęcie dziewczyny, która chwali się zniszczeniem wnętrza świątyni. W różnych częściach stolicy i w innych miastach kraju doszło do plądrowania supermarketów i stawiania barykad.

W związku z aktami przemocy w poniedziałek, 19 października, w pałacu prezydenckim, Palacio de La Moneda, odbyła się narada z udziałem prezydenta, ministrów oraz dyrektora

generalnego policji, Maria Rozasa. Po spotkaniu minister spraw wewnętrznych Víctor Pérez oświadczył, że zamieszki wywołały „grupy mniejszościowe, dążące do przemocy i aktów wandalizmu wymierzonych we własność publiczną i prywatną”. „Na przemoc zamierzamy odpowiedzieć bronią, jaką dysponuje demokracja i prawo”, dodał.

Szef policji, Mario Rozas, poinformował, że w całym kraju rozlokowano ok. 44 tys. karabinierów. W czasie zamieszek zginęła jedna osoba, wśród rannych było 116 policjantów i żołnierz marynarki wojennej, zatrzymano 580 osób.

Zapowiedź przyjęcia nowej konstytucji nie oznacza spadku napięć. Mobilizacji prawicy w obronie dotychczasowego porządku towarzyszyć będzie jeszcze radykalniejsza mobilizacja sił lewicowych i centrowych. Tak jak pod koniec lat 80. Chile staje się prekursorem zmian w Ameryce Łacińskiej.

■

Kraków

XIII FESTIWAL TWÓRCZOŚCI KOROWÓD 2020

30.10 – 10.11.2020 ZAGŁOSUJ!

na najlepszą polską piosenkę 13. OGÓLNOPOLSKIEGO KONKURSU TWÓRCÓW I WYKONAWCÓW „PIOSENKARNIA”

22.11.2020 WIECZÓR RECITALI

niedziela, g.19:00

Anna TRETER, Grzegorz TOMCZAK, Hanka WÓJCIAK i Susanna JARA
Jakub BŁOKESZ, Monika KOWALCZYK, GOCH

organizator festiwalu

partnerzy festiwalu

organizator festiwalu

organizator festiwalu

organizator festiwalu

organizator festiwalu

organizator festiwalu

organizator festiwalu

Duda wygrał, a nie musiał

Wszystkie triki PiS w wyborach prezydenckich

Rozmawia Robert Walenciak

Czy tak miało być? Czy wynik wyborów prezydenckich był przesądzony?

– Nie. Gra właściwie do ostatniej minuty była nierozstrzygnięta. Ta świadomość istniała chyba nawet w większym stopniu wśród sztabowców Andrzeja Dudy niż u Trzaskowskiego. Oni mieli dobrze sprofilowane badania dotyczące preferencji, elektoratu. Odrobili lekcję dotyczącą geografii wyborczej. Po drugiej stronie trudno było oczekiwać równie profesjonalnego przygotowania.

Dlaczego?

– Decydował czynnik czasu. Trzaskowski był kandydatem zastępczym. Trzeba pamiętać moment, kiedy został wyłoniony. To była trudna sytuacja. Kandydatka PO dołowała, więc partia musiała się zdobyć na innowacyjne myślenie. Sondaże pokazały, że było to udane posunięcie.

W cieniu zarazy

Ale i tak Dudy nie udało się przeskoczyć.

– Spojrzałbym na to inaczej. W tej kampanii najważniejsza była kwestia zarządzania emocjami i docierania do kolejnych grup wyborców. Żyliśmy w okresie pandemii, nikt dokładnie nie wiedział, jak to się skończy. To wyzwało silne emocje, lęk o siebie, najbliższych, bo gdzieś jest niewidzialny wróg. Można rzec, warunki frontowe, więc po stronie polityków też powinno się pojawić myślenie dostosowane do warunków funkcjonowania zwykłych ludzi, jak dotrzeć do nich z przekazem.

Pojawiło się?

– Kampanię podzieliłbym na dwa etapy. Pierwszy to był etap strachu – i to akurat zostało bardzo dobrze zagospodarowane przez partię rządzącą i prezydenta Dudę. Mieli wszystkie instrumenty oddziaływania. Z jednej strony, w pełni kontrolowali agendę legislacyjną, z drugiej – cały czas



DR PRZEMYSŁAW POTOCKI

– pracownik naukowy Wydziału Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych Uniwersytetu Warszawskiego

mieli bardzo spójny przekaz medialny, o co dbały media rządowe.

A opozycja?

– Opozycja musiała poruszać się delikatnie, to było pewnego rodzaju pole minowe. Bo jakie tu podejmować działania, żeby nie zostać oskarżonym wręcz o zdradę stanu? Przecież królował przekaz: wszystkie ręce na pokład, działamy razem, jest niewidzialny wróg, wirus, musimy razem sobie z nim poradzić.

Pojawiła się też inna emocja, silna po stronie opozycyjnej – kto z nich będzie najlepszy, kto przejdzie do II tury. Najpierw na czoło wysuwał się Kosiniak-Kamysz, potem Szymon Hołownia. Jeśli spojrzeć na jego kampanię internetową, była ona dobrze przygotowana i zrobiona w sposób przemyślany. Hołownia za pośrednictwem internetu kontaktował się bardzo sprawnie ze zwolennikami, z nową klasą średnią.

Nową klasą średnią?

– Tak bym ich określił... To ludzie, którzy dojrzewali po 1989 r.; w momencie gdy Polska wchodziła do Unii Europejskiej, oni wchodziłi na rynek pracy, a teraz oczekiwali, że nastąpi

pewne uspokojenie, które pozwoli im w sposób nieskrępowany, pozbawiony ideologicznego napięcia konsumować owoce swojej ciężkiej pracy. **PiS tego uspokojenia im nie dało.**

– I w ten sposób Hołownia wskoczył na trzecią pozycję.

Na drugą nie miał szans?

– Kampanię organizował podział, do którego PiS dążyło przez te kilka lat – na obóz PiS i anty-PiS, którego najsilniejszą częścią jest PO.

To był naturalny podział?

– Mieliliśmy bardzo wyraźną różnicę między kandydatem prowincji, czyli Andrzejem Dudą, i kandydatem metropolii – Rafałem Trzaskowskim. Przez cztery lata PiS dowartościowywało polską prowincję, co znajduje potwierdzenie we wskaźnikach statystycznych – zmniejsza się rozwarstwienie, rosną dochody dotychczas najmniej zarabiających, wreszcie ludzie mają pieniądze, mają oszczędności, życie zaczyna im się poprawiać. Jest bardzo ciekawy komunikat CBOS dotyczący robotników, tej mitycznej klasy, która z jednej strony obaliła komunizm, a z drugiej miała stanowić klasę bazową dla rodzącej

się lewicy. Jak się go przeanalizuje, to widać, że oni dopiero kiedy zaczęli korzystać z programu 500+, poczułi, że III RP jest ich krajem. Który o nich dba. Wreszcie poczułi się dobrze po tych 25 latach transformacji! Ich emancypacja ekonomiczna stanowiła silny atut wyborczy Dudy. I dlatego on tą kartą grał. Na to nałożyło się wystanie kolejnego impulsu prospołecznego do osób aktywnych zawodowo, czyli kwestia tego, jak zabezpieczyć potrzeby finansowe rodzin, w sytuacji gdy nie można pójść do pracy z powodu pandemii. PiS udało się dobrze trafić w te oczekiwania. Zresztą nie wykazało się ono tutaj jakąś wielką innowacyjnością, bo w zasadzie naśladowało działania podejmowane przez rządy innych państw w Unii Europejskiej.

W tej kampanii dosyć wyraźnie zaznaczył się też inny trend – że społeczeństwo wyraźnie się starzeje.

Kobiety 60+

Co to znaczy?

– Że jeśli w poprzednich kampaniach o wyniku decydowały głosy 30-, 40-latków, to teraz decydowali seniorzy. W 2004 r. osób w wieku 65 lat i więcej było nieco ponad 5 mln, natomiast w 2019 r. już niemal 7 mln.

Dla seniorów najważniejsza jest służba zdrowia – dobra i dostępna. PiS przecież w tej dziedzinie poniosło klęskę!

– Kwestia służby zdrowia nie mobilizuje wyborców. Większość Polaków, niezależnie od preferencji partyjnych, uważa, że służba zdrowia funkcjonuje źle, tu panuje nadpartyjna zgoda.

Dużą rolę odegrał SMS z przekazem, że nie musicie się już bać, że możecie pójść zagłosować.

Czyli jest sukcesem władzy, że przekonała Polaków, że nic się nie da zrobić, jeśli chodzi o służbę zdrowia? Że jest źle, ale lepiej być nie może, więc nie ma o co kruszyć kopii?

– Wydaje mi się, że ze strony PiS mieliśmy następujące założenie: wprawdzie nie jesteśmy w stanie wiele zrobić, ale dajemy ludziom pieniądze i te transfery pozwalają w jakiś sposób łagodzić niedogodności w publicznej służbie zdrowia poprzez kupowanie usług na rynku.

W zakresie edukacji, dodatkowych zajęć językowych, sportowych czy usług zdrowotnych.

Warto wskazać interesujące dane statystyczne: jeśli chodzi o długość okresu pobierania emerytury, Polki są w Unii Europejskiej na drugim miejscu po Austriaczkach. Natomiast mężczyźni w Polsce są na szóstym miejscu od końca w Europie. Z jednej strony, mamy więc kobiety, które żyją długo i korzystają z emerytury. Jednak nie zapewnia ona godnej jesieni życia. Ale to inny wątek debaty publicznej. Z drugiej strony, mamy mężczyzn, którzy żyją krócej. Analiza struktury wiekowej grupy seniorów w wieku 75 lat i więcej ujawnia, że dwie trzecie tej grupy stanowią kobiety. Możemy powiedzieć, że coraz

W poprzednich kampaniach o wyniku decydowały głosy 30-, 40-latków, teraz decydowali seniorzy.

większą rolę w polskiej polityce odgrywa senioralny prawicowy matriarchat. Te kobiety najczęściej skłaniają się ku ideologii konserwatywnej, są prawicowe i klerykalne, prezentują tradycjonalistyczne postawy.

I można je zmobilizować?

– Ważną rzeczą było przekonanie tych seniorów, którzy w pierwszej turze nie poszli głosować, bo obawiali się wirusa, że w drugiej turze zagrożenie epidemiologiczne zmniejszyło się. Duże znaczenie miał SMS profrekwencyjny. Jeśli w roku 1995 o wyniku zdecydowała deklaracja podania nogi konkurentowi wygłoszona podczas debaty prezydenckiej, to w roku 2020 podobną rolę odegrało

wysłanie SMS-a. Z przekazem, że nie musicie już się bać, że możecie pójść zagłosować.

To był ten SMS, że seniorzy mogą głosować bez kolejki?

– Tak. Jeśli porówna się zmiany we frekwencji wyborczej wśród różnych grup wiekowych, to widać, że ten SMS wywołał efekt profrekwencyjny. Podczas drugiej tury zagłosowało 61,9% uprawnionych w wieku 60 lat i więcej, natomiast w pierwszej turze frekwencja w tej grupie wyniosła 55,9%.

I Duda w tej grupie wiekowej wygrał zdecydowanie...

– Już sam fakt, że ktoś dostaje taki SMS, sprawia, że i sam decyduje się iść, i namawia innych. Na tablicy ogłoszeniowej w jednym z kościołów widziałem taki anon: „Chcesz głosować, a nie masz siły iść do punktu wyborczego? Zadzwoń, a my przyjedziemy i Cię zawieziemy”.

Gra na punkty

Elektorat socjalny, seniorzy, ściana wschodnia... Gdzie jeszcze Duda przeważał?

– Gdy wspomina pan ścianę wschodnią, przypominam mi się małe ćwiczenie, które wykonałem. Otóż przyjrzałem się, jak wygląda rozkład

powiatów, jeśli chodzi o tych, którzy głosowali na Andrzeja Dudę, na Rafała Trzaskowskiego, i tych, którzy pozostali w domach. Jeśli chodzi o powiaty na ścianie wschodniej, to ludzie częściej woleli zostać w domu podczas drugiej tury, niż oddać głos na kandydata PO. To oznacza, że potencjał wzrostu dla Trzaskowskiego tam istniał. Natomiast pojawiało się wyzwanie, jak do tych ludzi dotrzeć, za pomocą jakich narzędzi komunikacyjnych i struktur organizacyjnych.

Wskazałbym też inne elementy. Otóż polityka krajowa coraz mocniej od 2015 r. oddziałuje na politykę samorządową. W sytuacji kiedy mamy sejmik kontrolowany przez partię rządzącą, można przypuszczać, że do tego województwa będą kierowane większe środki i zostaną rozdysponowane tam, gdzie jest większa przychylność dla obozu rządzącego. Jeśli popatrzymy na wyniki Dudy w takich województwach jak łódzkie, to widzimy, jak te proporcje się układają. Dwa lata prowadzenia polityki na szczeblu lokalnym, powiatowym, decyzje o projektach infrastrukturalnych – to wszystko przyniosło umocnienie pozycji wyborczej na szczeblu lokalnym.

PiS postawiło na pewne grupy docelowe, do których kierowało kampanię?

– PiS robi to regularnie od kilku lat. Już rok 2015 pokazał, że potrafi

bardzo umiejętnie posługiwać się tym, co nazywamy targetowaniem elektoratu. Nie jest to wiedza tajemna. To abecadło marketingowe, istnieją dostępne i skuteczne narzędzia informatyczne, które pozwalają takie dane wykorzystywać. I w zasadzie korzystając z nich, możemy zejść do poziomu obwodu głosowania. Możemy bardzo precyzyjnie określić, gdzie powinniśmy kampanię wyborczą prowadzić, a gdzie możemy tej kampanii zaniechać.

Trzaskowskiemu zabrakło działań marketingowych, aktywności ludzi go wspierających, większego rozmachu.

W jaki sposób PiS przekonywało wyborców, żeby głosowali na Dudę?

– To było robione w sposób dosyć prosty, ale czytelny. Nawet ta estetyka wiecowa Andrzeja Dudy – występował w białej koszuli, z podwiniętymi rękawami, czyli taki typ populistyczny... W pewnym momencie mogliśmy odnieść wrażenie, że koronawirus zniknął. Nikt nie nosił masek, zniknął strach, pojawiła się nadzieja.

Czy zadecydowały pieniądze?

Nadzieja była również po drugiej stronie.

– Między pierwszą a drugą turą wziąłem udział w wiecu wyborczym Trzaskowskiego w jednym z miast centralnej Polski. Obserwowałem, jak przebiega, jeśli chodzi o sposób organizacji, o reakcję ludzi. Z jednej strony, imponowała liczba tych, którzy przyszedli, oni byli pełni entuzjazmu, wykazywali pozytywne emocje, wyraźna większość miała maseczki. A z drugiej, biła po oczach niedopasowana do tego entuzjazmu organizacja ze strony sztabu wyborczego. Nie mieli zbyt wiele materiałów wyborczych. To niby rzecz banalna, ale oddziałuje na postawy wyborców. Choćby kwestia reklamy zewnętrznej – plakat Trzaskowskiego był nieporównanie mniejszy niż plakat Bosaka, nie mówiąc już o plakacie Dudy. W sytuacji kiedy ktoś aspiruje do najważniejszego urzędu RP, a swoje poglądy prezentuje na małej kartce papieru – to działa, na poziomie podprogowym, jako czynnik demobilizujący.

Czego więc Trzaskowskiemu zabrakło? Na pewno plakatów, bo Polska była zalepiona Dudą.

– Trzaskowski był bardzo dobrze odbierany w mediach społecznościowych, jego posty wywoływały więcej pozytywnych reakcji, były więcej razy udostępniane. Ale zabrakło wsparcia działań marketingowych. Reklamy – która podtrzymuje zainteresowanie kandydatem, wzmacnia gotowość głosowania na niego. Zabrakło aktywności ludzi

wspierających Trzaskowskiego. Większego rozmachu. Z tym że rozmach w dużym stopniu zależy od uruchomionych środków. Sztab Andrzeja Dudy, według oficjalnych danych złożonych w PKW, wydał na kampanię 28,6 mln zł. Sztab Trzaskowskiego – 9,6 mln zł. A zwróćmy uwagę, że do wydatków Dudy nie zostały wliczone wizyty premiera i członków rządu, którzy jeździli po Polsce i składali obietnice. Ani działania telewizji publicznej, która otrzymała 2 mld zł. Przewaga finansowa, materialna obozu władzy była więc bardzo duża. To nie była równa walka.

Czy Hołownia, gdyby był w drugiej turze, miałby większe szanse niż Trzaskowski?

– Wydaje mi się, że nie. Poparcie wyborcze Hołowni nie było w takim stopniu jak Trzaskowskiego skoncentrowane w ośrodkach miejskich. W kampanii zarysowana była wyraźna opozycja – między Polską metropolitalną, rozwijającą się, postępującą,

Protestujący trafnie identyfikują przeciwników.

To pokolenie, które urodziło się w Polsce należącej do Unii, zaskoczyło polityków i ekspertów.

a Polską prowincjonalną. Hołownia, z punktu widzenia swojej bazy wyborczej, nie mógł w ten sposób operować. On był raczej kandydatem aspirującej prowincji. Średnich ośrodków miejskich, dawnych miast wojewódzkich, tam miał dobry wynik wyborczy. **PiS, mimo gigantycznej przewagi finansowej, wygrało więc te wybory na małe punkty.**

– Tak. Sam wieczór wyborczy pokazywał, że żadna ze stron nie była

przeświadczona o zwycięstwie. Wynik do końca był niepewny. Zadecydowało to, że mieliśmy wysoką mobilizację zaplecza urzędującego prezydenta i że wszyscy politycy PiS na niego grali. Zwolennicy Dudy byli zmobilizowani, przekonani o bezkarności, media donosiły, że zrywano banery Trzaskowskiego, dochodziło tutaj do agresji, niemal fizycznej. To nie była kampania oparta na programach. Dominowały emocje i wizjerunki kandydatów. Był wyznaczony wróg – osoby nieheteronormatywne. Ten elektorat musi mieć wskazanego wroga. Musi być uruchomiona emocja, pokazująca zagrożenie. Nie można było wskazać jako zagrożenia pandemii, to wskazano czynnik kulturowy. I to zadziało.

Dlaczego więc teraz nie działa?

I władza jest zaskoczona skalą protestów po wyroku TK dotyczącym ustawy antyaborcyjnej?

– Przecież również decydują tu czynniki kulturowe. Procesy sekularyzacyjne, wolnościowe, coraz mocniejsze w Polsce, plus frustracja związana z epidemią COVID-19. Nie było od roku 1989 większych wystąpień młodzieży, nawet demonstracje przeciw ACTA z 2012 r. były mniejsze. Zaskakująca jest też ich temperatura emocjonalna i dojrzałość w opisie rzeczywistości społeczno-politycznej. **Protesty młodzieży zaczynają przypominać rok 1968 we Francji.**

– To uprawnione porównanie. Biorąc pod uwagę dynamikę procesów cywilizacyjnych, jesteśmy kilkadziesiąt lat za Europą Zachodnią. Obecne protesty są skierowane przeciw konserwatywnej biowładzy. W imię wolności rozumianej jako możliwość

decydowania o swojej podmiotowości, w imię praw kobiet. Protestujący trafnie identyfikują przeciwników, wiedzą, pod czym domem się zbierać, imponują także kreatywnością – memy, hasła, umiejętność zwoływania się. To pokolenie, które urodziło się w Polsce należącej do Unii Europejskiej, zaskoczyło polityków i ekspertów.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Obnażony nerw sumienia

Zacznę chłodno i z kronikarską sumiennością: 22 października Trybunał Konstytucyjny orzekł, że przepisy umożliwiające usunięcie płodu w wypadku stwierdzenia jego ciężkiego uszkodzenia lub nieuleczalnej choroby są niezgodne z konstytucją. Trybunał zajął się tą sprawą na wniosek grupy posłów PiS. Tak brzmi zimny komunikat. Należy go rozwinąć na gorąco. To było orzeczenie nielegalnego Trybunału, kierowanego przez „odkrycie towarzyskie prezesa”, czyli drogą panią Julię, która zrobiła prezesowi przysługę towarzyską. A to rozpało Polskę, która i tak ma gorączkę z powodu zarazy. Gdybym traktował sprawę cynicznie i politycznie, uznałbym, że bardzo dobrze się stało. Prezes strzelił sobie w jedno kolano, a Kościół w drugie. Urodzenie dziecka okrutnie okaleczonego przez grę genów to senny koszmar każdej kobiety i każdego mężczyzny. Stąd powszechność oburzenia i energia protestów. To dotyka żywego nerwu sumienia każdego z nas.

Dlaczego prezes uruchomił swój Trybunał w sprawie całkowitego zakazu właśnie teraz, gdy sypie się służba zdrowia, a zaraza zdaje się osaczać wszystkich? Niektórzy mówią: by przykryć niekompetencję rządu w sprawie zarazy. Bez sensu. Za to ma sens przypuszczenie, że był pewien, że pandemia ograniczy protesty. Inni mówią, że zrobił to, bo jego dewizą jest: dziel i rządź. A nie jesteśmy już dosyć podzieleni? Jeszcze inni mówią: to tylko próba przelicytowania radykałów w swoim obozie. A może w końcu: takie ma poglądy. Cytuję jego haniebne słowa sprzed dwóch lat: „Będziemy dążyli do tego, by nawet przypadki ciąży bardzo trudnych, kiedy dziecko jest skazane na śmierć, mocno zdeformowane, kończyły się jednak porodem, by to dziecko mogło być ochrzczone, pochowane, miało imię”. Pięknie. Ale przecież wiara prezesa i jego ideowość są elastyczne.

To wszystko ma jednak swoje tło, społeczny stan rzeczy. List od znajomej: „Mam córkę z niepełnosprawnością. Jednym z głównych problemów dla mojej rodziny jest odrzucenie społeczne (nie chodzi o kasę od państwa, tylko o codzienność na ulicy, w szkole, w pracy, w kręgu znajomych). Mamy tu sporo doświadczeń – polskie społeczeństwo jest totalnie zamknięte. Budując wokół niepełnosprawności narrację, że jest to dramat, masakra i piekło, wylewa się dziecko z kąpielą. To jest takie trudne m.in. dlatego, że ludzie wokół traktują matkę

niepełnosprawnego dziecka jak człowieka przeklętego, odmienca. Buduje się wokół niej getto. Kiedy mam dość, słyszę: »Pogadaj z grupą wsparcia, z rodzicami, którzy mają podobne dzieci«. A mój dół, do cholery, bierze się z tego, że mało kto chce ze mną gadać o czymś innym niż »moja życiowa tragedia«. Dlaczego to, że moja córka jest niepełnosprawna, tak bardzo ludzi odrzuca? Dlaczego nie można być innym?».

Innym tłem jest brak edukacji seksualnej w szkołach. I walka z antykoncepcją. Bo to ruja i porubstwo, a jak więcej dzieci będą rodzić Polki, to nastąpi wzmożenie dzietności narodu. Mówi się, że dobry był obowiązujący kompromis. A jaki to kompromis?! Już ta ustawa była opresyjna. Zawsze mnie uderzało, że miłujący zarodki, nawet dopingujący bieg plemnika do jajeczka, nie lubią za bardzo już narodzonych, chyba że ktoś rodzi się jako zwolennik PiS.

A ja jestem zwolennikiem przerywania ciąży, jak to ma miejsce w wielu krajach cywilizowanych, zgodnie z wolą kobiety. W tych krajach powszechna moralność jest z reguły na wyższym poziomie niż u nas, gdzie moralność nieźle posupłana. Tak, za łatwo z tym było za mojej młodości, nie widzieliśmy w aborcji żadnego problemu. Może powinna być teraz rozmowa z psychologiem, ale ostatecznie to sama kobieta ma decydować o swoim ciele i o swojej przyszłości. Jak można kazać kobietom rodzić dzieci z ciężkimi wadami genetycznymi, nie mówiąc o upiornych uszkodzeniach ciała – nie mieści się to w mojej świeckiej głowie.

Prezes w końcu wystąpił. Bravo! Wydawał się jakąś zdumiewającą hybrydą Gomułki i Jaruzelskiego, a tak się śpieszył, że zapomniał munduru. Patrząc nam w oczy, namawiał do wojny domowej. Uderzyło mnie zdanie: „W atakach na Kościół widać elementy wykształcenia”. Ciekawe, kto szkoli, jakie wrogie siły? Był też wątek apokaliptyczny: „Ten atak ma zniszczyć Polskę, doprowadzić do triumfu sił, których władza w gruncie rzeczy zakończy historię narodu polskiego, tak jak go dotąd żeśmy postrzegali, tego narodu, który jest naszym narodem, który mamy w naszych umysłach i sercach, który jest przedmiotem polskiego patriotyzmu”. A więc znowu wrogie siły czyhają na Polskę, ze Wschodu, z Zachodu, są nawet wewnątrz. Sytuacja jest straszna.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

Prezes strzelił sobie w jedno kolano, a Kościół w drugie.

Nim ten ogień się wypali

Zagrożenia dla protestów kobiet

Dominika Zębala,
Jakub Katulski

Protesty, które wybuchły po orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego, w widoczny sposób różnią się od tych, które mogliśmy obserwować w ostatnich latach. Kiedy Polacy protestowali w obronie sądów czy konstytucji, na ulice wyszło przede wszystkim pokolenie naszych rodziców czy dziadków. Młodszych ludzi była ledwie garstka. Dzisiaj większość na ulicach stanowią ludzie młodzi, młodszy od nas o dekadę lub

wyzywają do „wypierdalania”. Bez ubierania tego w ładne słowa. To wywołało falę komentarzy, głównie ze strony mężczyzn, że taki sposób protestowania jest niegodny.

Jednym z tych, którzy postanowili upomnieć protestujące kobiety, był Sławomir Nitras z PO. W czasie ostatniej kampanii wyborczej zastąpił, mówiąc w Sejmie do posłów i posłanek Lewicy, że kiedy Platforma przejmie władzę, to Konfederacja zajmie się Lewicą. Dzisiaj Nitras popiera protesty, ale „wyraża zaniepokojenie” ich słownictwem. Jego „zaniepokojenie” nie spotkało się jednak ze

W rzeczywistości w tym artykule, który rzeczywiście zezwala na przymusowe leczenie i szczepienie, nie wprowadzono żadnych zmian od grudnia 2008 r., kiedy to opublikowano tekst ustawy. Przepisy obowiązują więc już od 12 lat, ale dopiero dzisiaj zostały wyciągnięte przez internetowych trolli.

Niektórzy podają również, że kiedy media i Polacy zwracali uwagę jedynie na demonstracje, władza dodała do wykazu chorób zakaźnych właśnie COVID. To również nie jest prawdą. Wirus, który jest przyczyną trwającej dzisiaj pandemii, wpisuje się bowiem w kategorię, która od 2008 r. jest uwzględniona w ustawie jako „zespoły ciężkiej ostrej niewydolności oddechowej”.

Można podejrzewać, że tego typu retoryka ma odwrócić uwagę od rzeczywistego problemu, jakim są w Polsce prawa kobiet. Z powodu takich działań demonstracje mogłyby stracić energię, stopniowo maleć i ostatecznie protestujący zostaliby zmuszeni do zaakceptowania wprowadzanych zmian.

Kolejnym zagrożeniem są fałszywe grupy i wydarzenia w mediach społecznościowych, za którymi nie stoją organizatorzy protestów, osoby publiczne ani znane instytucje. W internecie jest obecnie wysyp grup zakładanych przez anonimowe konta. Wykorzystują one symbolikę i barwy

W sieci wzmacnia się aktywność dezinformacyjna.

więcej. Przez większość ich świadomego życia politycznego Jarosław Kaczyński był u władzy.

Protestujący nie bawią się w dyplomację. Przewodnie hasła protestów są wulgarnie, wymierzone przede wszystkim w PiS, Kaczyńskiego, Konfederację, Krzysztofa Bosaka i Kaję Godek. Wszystkich wymienionych (a także dłuższą listę innych osób)

zrozumieniem protestujących i Nitras został dołączony do listy tych, którzy powinni „czym prędzej udać się w inne miejsce”, jak zapewne wołałby przeczytać. Protestujące kobiety upomniał też Rafał Ziemkiewicz, publicysta sympatyzujący z obozem władzy. Zrobił to w swoim stylu, nazywając je „wulgarnymi kurewkami”. Myślał, że wolno mu więcej niż protestującym, ale ci pokazali mu, że mają równe prawa, nie szczędząc dosadnych słów.

Nie tylko politycy i publicyści próbują mieszać w protestach. W sieci wzmożona jest aktywność dezinformacyjna, co widać po liczbie komentarzy sugerujących, że kwestia aborcji jest jedynie przykrywką dla wprowadzania przez władzę znacznie gorszych praw. Sugeruje się, że PiS przegłosowało prawo zezwalające na przymusowe szczepienie i leczenie chorych na COVID-19, nawet z wykorzystaniem środków przymusu bezpośredniego wraz z unieruchomieniem do 24 godzin. Miałby na to wskazywać art. 36 Ustawy o zapobieganiu oraz zwalczaniu zakażeń i chorób zakaźnych u ludzi, której ujednolicony tekst został ogłoszony w październiku.

Zagrożeniem są fałszywe grupy i wydarzenia w mediach społecznościowych.

związane z organizacjami takimi jak Ogólnopolski Strajk Kobiet czy partia Razem, żeby uśpić czujność potencjalnych zainteresowanych. Choć inicjatywy oddolne są cenne, warto zwracać uwagę na to, kto jest organizatorem. Samo wydarzenie na Facebooku może być wykorzystywane do gromadzenia danych o uczestnikach. Kiedy nie znamy twórcy danej grupy, nie wiemy, do czego będą służyć listy nazwisk lub inne informacje





Grupa mężczyzn pod przywództwem prezesa Marszu Niepodległości, Roberta Bąkiewicza (bez maski), zrzuciła kobietę ze schodów kościoła św. Krzyża w Warszawie.

prezesa Marszu Niepodległości, Roberta Bąkiewicza, zrzuciła kobietę ze schodów, ciesząc się jednocześnie policyjną ochroną.

Nacjoniści sami zresztą padli ofiarą dezinformacji. Marcin Najman, znany głównie z klęsk zawodnik MMA, ruszył na odsiecz obrońcom Jasnej Góry, kiedy usłyszał, że klasztor kojarzony jako symbol narodowego oporu jest oblegany przez demonstrujących. Kiedy dotarł na miejsce i zorientował się, że nie ma tam nikogo poza nim samym, winą za dezinformację obarczył TVN, nie zaś prawicę, która w ten sposób podżega do walk.

Walka tocząca się wokół Kościoła może jednak przyczynić się do rozłamu w szeregach walczących o prawa kobiet. Niektórzy protestujący nie są zwolennikami aktów wandalizmu czy sabotażu na mszach. Nie wiadomo, na ile niechęć do PiS i Konfederacji wystarczy do spajania protestujących. A jednym z postulatów ogłoszonych przez Ogólnopolski Strajk Kobiet jest świeckie państwo i zakończenie finansowania Kościoła. Trudno będzie sterować tą energią w taki sposób, żeby klerowi, wiernym i budynkom nie oberwało się ani trochę.

dostępne na naszych profilach w mediach społecznościowych.

Takie informacje mogą być zbierane, po pierwsze, przez ugrupowania przeciwne protestom, które chcą mieć listę osób biorących udział w demonstracjach. Po drugie – może je zbierać władza, przygotowując się do dalszych kroków w celu opanowania sytuacji w kraju lub chcąc rozbić protesty na mniejsze grupy, przez co nie będą aż tak liczne i w związku z tym nie będą robić wrażenia. Trzecia możliwość jest taka, że wydarzenia i grupy zakładane są przez różnego rodzaju trolli, którzy będą następnie choćby zmieniać ich nazwy, sprawiając, że uczestnicy antyrządowych protestów „przyłączą się” do wiecu poparcia PiS lub innej siły politycznej.

Każda z powyższych opcji jest równie prawdopodobna, a te rozważania można jeszcze mnożyć. Do protestów należy podchodzić z głową, zwłaszcza że większość z nas występuje w sieci pod własnym nazwiskiem i udostępnia własne zdjęcia profilowe. Miejmy to na uwadze, szczególnie w tak niespokojnym momencie.

Jarosław Kaczyński 27 października wezwał członków PiS i sympatyków partii do stawiania „za wszelką cenę” w obronie Kościoła, którego budynki są „atakowane” w trakcie demonstracji. Zdaniem prezesa jest to „fatalne”, gdyż „Polska zapewnia pełną tolerancję religijną”, a „depozyt moralny” Kościoła to jedyny powszechnie znany w kraju system

wartości. Kaczyński zaznaczył też, że w atakach widać przygotowanie i nawet wyszkolenie demonstrujących. Nie zasugerował jednak jasno, kto miałby za to być odpowiedzialny. Demonstrujących oskarżył o ataki, które mają zniszczyć Polskę i doprowadzić do końca polskiej historii. W odpowiedzi w internecie zaroilo się od memów z Kaczyńskim w roli gen. Jaruzelskiego ogłaszającego stan wojenny. Nie jest to zresztą porównanie nietrafione czy wymagające dużej dozy fantazji, bo estetyka całego przemówienia sama nasuwała takie skojarzenie.

Wydarzenie na Facebooku może być wykorzystywane do gromadzenia danych o uczestnikach.

Do obrony kościołów wezwali także kontrowersyjni Żołnierze Chrystusa, porównując swoje blokady wejść do świątyń do bitwy pod Termopilami, gdzie Grecy starli się z Persami. Na profilach w mediach społecznościowych Żołnierze Chrystusa pisali, że musieli bronić kościołów przed całymi autokarami demonstrujących, wśród których mieli być także politycy SLD i PO. Jednak w komentarzach uczestnicy protestów, choćby z Wołomina, zauważali, że to raczej kobiety były pod kościołami atakowane przez nacjonalistyczne bojówki. Tak się zdarzyło w Warszawie pod kościołem św. Krzyża 25 października, kiedy grupa mężczyzn pod przywództwem

Mimo że minęło dopiero kilka dni od początku protestów, już na horyzoncie widać największe zagrożenia dla ruchu. Nie tylko pandemia, nie tylko nadchodząca jesienna deszczowa aura, narodowcy, żandarmeria wojskowa, Kościół i Jarosław Kaczyński. Na to wszystko nakładają się wewnętrzne spory – kto jest największym wrogiem polskich kobiet, księża czy raczej władze? A może inne partie i ugrupowania opozycyjne?

Największe zagrożenie dla protestów, mogące zaważyć na ich sukcesie, to rozmienienie się na drobne i rozbieżność priorytetów maszerujących. Jedyną szansą na sukces zdaje się być szybkie działanie, nim ten ogień się wypali. ■

Jarosław Makowski

Jarosław Kaczyński okazał się tchórzem. Sam nie ma odwagi stanąć twarzą w twarz z protestującymi kobietami i wspierającymi je mężczyznami, którzy wyszli na place i ulice swoich miast i miasteczek. Wpadł jednak na szatański pomysł, by przekierować złość ludzi na Kościół. A robi to pod płaszczykiem obrony świątyń przed kobietami, młodymi ludźmi i tymi wszystkimi, którzy w pseudoorzeczeniu tzw. Trybunału Konstytucyjnego dotyczącym zakazu aborcji zobaczyli zamach na prawa człowieka.

Biskupi nie są tu oczywiście bez winy. Zaraz po ogłoszeniu tego orzeczenia abp Marek Jędraszewski, metropolita krakowski, nieformalny kapelan PiS, śpieszył z zapewnieniem: „Wyrażamy wielkie uznanie dla odwagi i rzetelności sędziów Trybunału oraz ogromną wdzięczność dla inicjatorów i uczestników wielkiego ruchu społecznego, który stanął w obronie świętości każdego ludzkiego życia od momentu jego poczęcia do chwili naturalnej śmierci. Bóg Wam zapłać. Bóg zapłać wszystkim za te szlachetne działania”.

Kaczyński w swoim orędziu nie mówił zatem po próżnicy. Przekonywał, że poza Kościołem jest nihilizm i relatywizm, a kościołów należy bronić przed hordą ludzi pozbawionych wartości. Wzywał zarazem aktyw partyni do organizacji bojówek: „Musimy bronić polskich kościołów, musimy ich bronić za każdą cenę. Wzywam wszystkich członków PiS i wszystkich, którzy nas wspierają, do tego, by wzięli udział w obronie Kościoła, w obronie tego, co dziś jest atakowane i jest atakowane nieprzypadkowo”. I zobaczyliśmy na ulicach, jak kibole szarpią i biją młode kobiety.

Prezes oczywiście nie powiedział niczego nowego. Powtórzył śpiewkę, którą dobrze znamy. To samo mówił już w roku 2015, zwracając się do o. Tadeusza Rydzyka: „Fundament polskości jest Kościół i jego nauka, nie może być Polski bez Kościoła. Wiedząc, że nie ma Polski bez Kościoła, (...) każdy, choćby nie miał łaski wiary, musi to przyjąć (...). Każda ręka podniesiona na Kościół to ręka podniesiona na Polskę”.

Czy Kaczyński swoim apologetycznym-agresywnym tonem uwiedzie

Koniec Kościoła zblatowanego z władzą

Dzisiejszy kryzys Kościoła w Polsce jest dziełem tzw. pokolenia Jana Pawła II

biskupów? Czy hierarchowie, widząc, jak ich wierni protestują przeciw *de facto* całkowitemu zakazowi aborcji wprowadzonemu tylnymi drzwiami przez tzw. Trybunał Konstytucyjny, wezmą słowa Kaczyńskiego za dobrą monetę? Czy też odwołają się do starej i mądrej formuły: chroń nas Panie Boże przed fałszywymi przyjaciółmi, bo z wrogami sobie poradzimy?

Biskupi nie czują ulicy

Biskupi odpowiedzieli tak, jak umieli. Bez empatii. Bez stanowczego odcięcia się od polityki, którą proponuje im Kaczyński. W oświadczeniu Rady Stałej Konferencji Episkopatu Polski czytamy o „bólu”, jaki towarzyszy hierarchom, gdy obserwują „eskalację napięcia społecznego i agresję”. I dalej: „Niepokojem napawają również wulgarny język, którym posługuje się część protestujących,

Jak można nie dostrzegać, że Kaczyński przekształca świątynie w pole bitwy?

niszczenie mienia społecznego, przypadki dewastacji kościołów, profanacji miejsc świętych czy uniemożliwienie sprawowania w nich liturgii”. Ten krótki komunikat kończy się wezwaniem „wszystkich do podjęcia rzeczowego dialogu społecznego, do wyrażania poglądów bez użycia przemocy i do poszanowania godności każdego człowieka”. Biskupi dramatyczną sytuację, za którą przecież także są odpowiedzialni, opisują tak, jak rozmawia się o meczu piłki nożnej przy herbacie.



Mam wielu przyjaciół, którzy są księżmi. W ostatnich dniach często z nimi rozmawiałem. Nie kryją oburzenia. Ale nie jest to oburzenie na protestujących. Słyszę w ich głosie, często podniesionym, wkurzenie na biskupów. „Kaczyński chce bronić Kościoła? – pyta jeden z moich rozmówców. – To ja mu jednak dziękuję. Jak można nie widzieć, że PiS i Kaczyński zastaniają się Kościołem jak tarczą? Jak można nie dostrzegać, że

Kaczyński przekształca nasze świątynie w pole bitwy? Trzeba być kompletnie ślepym”.

Inny ksiądz, duszpasterz młodych, dodaje: „To nie biskupi stają oko w oko z tymi młodymi ludźmi, którzy dziś są na ulicach i krzyczą, że nie chcą z nami gadać. Ale biskupi swoją krótkowzrocznością sprawiają, że nasza praca duszpasterska idzie na marne. Czasami ręce opadają. A przecież wystarczy mówić to, czego nauczał Jezus, a ławy kościelne znów się zapełnią”.

Nie są to głosy odosobnione. To myśli tych księży, którzy rozumieją, że nie ma powrotu do modelu Kościoła forsowanego nadal przez



Straż przed katedrą w Białymstoku,
25 października 2020 r.

na obecną politykę, przeżartą cynizmem, korupcją, nepotyzmem, to zobaczymy, że jest ona dziełem ludzi, którzy zapewniają, że są wiernymi synami Kościoła. Nie dziwi, że pobożny człowiek z takim Kościołem nie chce mieć nic wspólnego.

Dzisiejszy episkopat to w większości osoby wychowane, ukształtowane i nominowane przez papieża Wojtyłę. Oczywiście nie można obciążać Jana Pawła II winą za wszystkie decyzje poszczególnych biskupów, ale nasi hierarchowie wciąż mówią: jesteśmy spadkobiercami dziedzictwa Karola Wojtyły.

Cieniem na działalności biskupów kładzie się przede wszystkim styl i niechęć do rozliczenia się z nadużyciami seksualnymi w naszym Kościele. Biskupi, i nie mam tu na myśli tak skompromitowanych postaci jak zdymisjonowany ordynariusz diecezji kaliskiej Edward Janiak czy odchodzący w niesławie na emeryturę abp Sławoj Leszek Głódź, nie chcą powiedzieć prawdy o skali nadużyć w Kościele. Nie chcą uderzyć się w piersi. A symbolem tego kluczenia i odrzucania odpowiedzialności za zaniechania jest postać kard. Stanisława Dziwisza.

Ten depozytariusz dziedzictwa Jana Pawła II skompromitował się w oczach opinii publicznej, gdy w wywiadzie mówił, że nie słyszał o pedofilii w Kościele, choć pracował w Watykanie. Że nie docierały do niego żadne wiadomości, a przecież ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski pokazuje, że pisał do kard. Dziwisza listy, informując go o nadużyciach seksualnych wobec Janusza Szymika, ofiary swojego proboszcza. Ten jednak zaprzecza, kluczy, zasłania się niewiedzą i niepamięcią.

Kościół: „polityczna ladacznica”

Gdyby żył Jan Paweł II, rodzimi biskupi i księża zapewne nie mogliby sobie pozwolić na tak ostentacyjne tolerowanie rasizmu, ksenofobii i nacjonalizmu. Trzeba powiedzieć wprost: rodzimi biskupi i księża przyłożyli rękę do oswajania w Polsce rasizmu, ksenofobii i nacjonalizmu. To bojówki narodowców, jako niemal wzór dobrego katolika, bronią dziś

hierarchów – Kościoła zblatowanego z władzą. Kościoła, który głoszenie Ewangelii zastępuje tzw. polityką dobrej zmiany, a skuteczne duszpasterstwo i osobiste świadectwo kapłana zamienia na wyrok tzw. Trybunału Konstytucyjnego, którym z politycznego nadania zawiaduje obecnie kucharka Kaczyńskiego.

Ci księża znajdują się na pierwszej linii frontu. To oni dziś będą musieli rozmawiać z młodymi ludźmi, którzy nie tylko zwracają Kościołowi bilet, ale w ogóle reagują wściekłością na widok księdza. To oni, zwykli księża, będą musieli rozmawiać z kobietami, które wciąż jeszcze stanowią większość wiernych w świątyniach, ale przez działania episkopatu i PiS są z tego Kościoła skutecznie przeganiane.

Biskupi nie czują ulicy, bo siedzą pozamykani w swoich pałacach. Żaden nie musiał się konfrontować z ludźmi, którzy mówią w twarz: „Ksiądz opowiada głupoty”. Dziś jednak, widząc choćby swoich wiernych pod drzwiami katedr, hierarchowie powinni sobie postawić następujące pytania: Co zrobiliśmy źle, że ci młodzi nie chcą z nami już nawet

rozmawiać? Dlaczego głosząc ponoć Ewangelię miłości, wywołujemy tylko gniew?

Cyniczna polityka wiernych synów Kościoła

Gdyby ktoś mi powiedział kilka lat temu, że w Polsce, „katolickim kraju”, kraju św. Jana Pawła II, kordon policji będzie bronił wejścia do kościoła, uznałbym go za szaleńca. Cóż więc takiego się stało, że czar i autorytet papieża Wojtyły przestał Kościołowi pomagać?

Paradoks polega na tym, że dzisiejszy kryzys Kościoła w Polsce jest dziełem tzw. pokolenia Jana Pawła II. Jeśli nawet to pokolenie było w dużym stopniu efektem medialnym, to ludzie, którzy rządzą Polską, poczynając od prezydenta, poprzez premiera, a na ministrach kończąc, nie otwierają ust bez powoływania się na nauczanie Jana Pawła II. Sęk w tym, że mówią jedno, a robią drugie. Andrzej Duda mówi o tym, że jest obrońcą tradycji chrześcijańskiej, a z drugiej strony twierdzi, co jest daniem w twarz chrześcijaństwu przestaniu, że „LGBT to nie ludzie”. Jeśli spojrzymy

► świętyń przed kobietami, choć nikt za bardzo świętyń nie atakuje.

Tyle że nacjonalizm kusi Kościół. Przede wszystkim dużo obiecując: obronę katolicyzmu, szacunek dla tradycji, miłość do ojczyzny. Na tej nucie gra właśnie Jarosław Kaczyński, zapewniając, że dopóki on rządzi, Kościołowi włos z głowy nie spadnie. To musi się podobać biskupom.

Obietnica to jedno. Drugie to pytanie, kto ową obietnicę składa. Kto obiecuje, że będzie bronił Kościoła, mówi, że użyje państwowych instytucji, by wrogów narodowego wzmoczenia przegonić z przestrzeni publicznej.

Biskupi nie czują ulicy, bo siedzą pozamykani w pałacach.

Ale i tu biskupi nie widzą problemu. Napawa ich dumą, gdy widzą młodych mężczyzn, zasilających szeregi Młodzieży Wszechpolskiej, krzyczących: „Tylko Bóg!”. Cieszą się, gdy politycy prawicy zapewniają, że Kościół z narodem, a naród z Kościołem jedno tworzą. Napędzają ich nadzieja, kiedy przyglądają się mężczyznom z różańcem na zaciśniętej pięści, zapewniającym, że będą bronić rodzimego katolicyzmu i rodziny przed zalewem zachodniego relatywizmu i rozpusty. Dlatego każdy wybryk narodowców, każdy atak na cudzoziemców, każda mowa nienawistna i poniżająca kwitowane są następującym zdaniem: „W Polsce, tym bardziej w Kościele, nacjonalizm i rasizm to problem marginalny”. Czy rzeczywiście jest to tylko margines,

czy już pewien stały element przeżywania wiary w Kościele nad Wisłą?

To nie przypadek, że po dojściu do władzy prawicy w 2015 r. idee nacjonalistyczne przeżywają w Kościele renesans. I coraz częściej księża się do nich przyznają. Głośno i stanowczo, by przywołać tu ks. Jacka Międlara, który ostatecznie nawet zrzucił sutannę, bo wołał ziać nienawiścią do obcych czy głosić otwarcie antysemityzm, niż pozostać wierny nauczaniu Jezusa z Nazaretu i Kościołowi. Albo kapłana starszego pokolenia, ks. Romana Kneblewskiego z Bydgoszczy, który nie tylko odprawiał mszę dla narodowców, ale wprost mówi, że

nacjonalizm jest *cool*. Biskupi nabierają się bowiem na to, że każdy ksiądz, każdy nacjonalista, który krzyczy: „Bóg, Honor, Ojczyzna!”, jest jednocześnie dobrym i pobożnym katolikiem. Nic bardziej mylnego.

Ale co najsmutniejsze, w Polsce, jeśli trzymać się zapewnień biskupów, że Kościół jest nauczycielem moralności, nie tylko nie zrodziło się pokolenie Jana Pawła II, ale przeciwnie – w siłę rośnie pokolenie antywojtkowe. A udział w tym procesie ma, niestety, także większość biskupów, bo widząc zło rasizmu, zachowuje „godne milczenie”.

Ewangelizacja z karabinem przy skroni

Dlatego coraz częściej zadajemy sobie pytanie, czy polski Kościół stać jeszcze na to, by głosić czyste przesłanie Ewangelii – przesłanie o Bogu miłosiernym, troskliwym i czułym. Bogu zawsze będącym po stronie tych, którym w jego imię odbiera się wolność, zmusza w jego imię do heroizmu, choć samemu nie chce się nadstawić drugiego policzka.

Pisałem na wstępie, że znam księży, którzy potrafią nadal mówić takim głosem. Jeden z nich to o. Marcin Mogielski, dominikanin z Wrocławia, który stwierdził: „Patrząc na Kościół katolicki w Polsce: budynki niczego sobie, dachy mamy wyremontowane, Fundusz Kościelny cały czas działa, więc dużego ZUS nie

płacimy. Majątek: czemu nie, każda parafia dostała hektary. Przywileje, mnóstwo tych przywilejów. Ostatnio członek episkopatu podpisał umowę z panem Kurskim co do udziału Kościoła w telewizji i programów katolickich: koronka, msza święta, audycje”. I teraz konkluzja: „Wszystko pięknie, fajnie. Ale pytanie jest o miłość... Czy człowiek, każdy, bez wyjątku, w polskim Kościele czuje się przez Kościół kochany? Przez hierarchię i przez każdego z nas? Czy może czuje się prześladowany, obarczany, obciążany”. Zakonnik na koniec kazania przytacza usłyszane ostatnio dojmujące słowa, że „nie da się prowadzić ewangelizacji przy pomocy policji, więziennictwa i prokuratorów. Chrystus tak nie działa”. Ano właśnie, polscy biskupi wciąż sądzą, że najlepiej głoszą naukę Chrystusa, kiedy Dobrą Nowinę zastępują „dobrą zmianą”. Na chwilę może to dawać poczucie zwycięstwa. W dłuższej perspektywie prowadzi do klęski.

Drugi głos również został sformułowany przez dominikanina – znanego kaznodzieję z YouTube’a, o. Adama Szustaka. Uchwycił on to, czego nie zobaczyli i nie potrafili powiedzieć biskupi w swoim oświadczeniu: „Kiedy widzę te wszystkie opinie, że dewastuje się miejsca święte, że trzeba stanąć w ich obronie, że to są wrogość Kościoła i poganie, nie! Ci ludzie mają dość Kościoła, który przestał być ewangeliczny. Nie twierdzą, że robią to w dobry sposób, że środki, którymi się posługują, są właściwe. Nie twierdzą nawet, że mają same dobre intencje. Ale ci ludzie nienawidzą Kościoła. Ja też nienawidzę TEGO Kościoła. Tego, który stał się absolutnie »ladaczną polityczną«. Który tak się wmieszał w politykę, że swoje umocowanie, przyszłość, władzę, pragnienie, żeby ludzi nawracać, ufundował w wartościach tego świata. Tak, to musi runąć”.

Tak, ten Kościół, sprowadzony do dobrze zarządzanej organizacji religijnej, musi runąć. Ale zostaje wiara. Dlatego uważam, że katolicyzm jest zbyt cenny, by pozostawić go w ręku polityków religijnej prawicy i biskupów, którzy naszej wiary, ludzi pobożnych, chcą używać do gry o władzę, wpływy i pieniądze. Mamy strajk kobiet, może czas na strajk katolików.

Jarosław Makowski

Profesorowi Adamowi Koseskiemu

wieloletniemu rektorowi
Akademii im. Aleksandra Gieysztora,
Przyjacielowi „Przeglądu”

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci syna
Krystiana Adama

składają Jerzy Domański
i Paweł Dybicz

Adamie, trzymaj się!



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

W przededniu

Jesteśmy w sytuacji granicznej, w przeddzień chwil, o których nasze wnuki będą czytać w podręcznikach. Kaczyści ukręcili na siebie bat zakazem aborcji; konfrontacyjne przemówienie naczelnika miało odwrócić kota ogonem (to jedna z jego niewielu wyćwiczonych umiejętności) i wszystkich przekonać, że to bicz boży na „złych ludzi”. Tymczasem memokracja świetnie sobie radzi z pogrozkami złowrogich dziadów: „Osiodłaj kota i stań do walki!”, „Jarek, jeśli ktoś cię więzi i każe czytać z kartki, młalsz niż raz”, portret brakującej, dolnej połowy wodza narodu w pieluchomajtkach itd., a im dalej, tym śmieszniej. Skądinąd, jak bardzo trzeba utracić polityczny słuch, żeby nie wyczuć fatalnych analogii z niestawnym orędnem Jaruzelskiego – to powinien być moment przesilenia w mózgach całej Zjednoczonej Prawicy: naczelnik stracił instynkt, więc trzeba go odsunąć od władzy. Na szczęście dla Polski kult jednostki, na którym cała prawa strona sceny się trzyma, sprawi, że kaczyści pójdą w ogień razem z obłąkanym wodzem. PiS wie, że rząd dusz już straciło. Jeśli cały kraj krzyczy ci, że masz wypierdalać, za późno, żebyś poczuł *reisefieber*. Czas dyplomacji się skończył, dla pisowców zaczął się czas trwogi. COVID-19 galopuje, a na ulicach trwa rewolta młodości niczym w paryskim maju '68. To nie jest dobra koincydencja – pat jest niemożliwy; jeśli rząd nie znajdzie swojej drogi na Zaleszczyki, będzie musiał spróbować rozwiązań siłowych.

Nagle znalazło się to brakujące kilkadziesiąt procent, które nigdy nie chodziło na wybory, bo polityka była *passé*, obciachowa albo po prostu nudna, niezrozumiała – rychło też dotarli do nich ci, którzy nie wierzyli w obywatelską sprawczość („mój głos nie ma znaczenia”). W rewolucyjnej wspólnotce ulicznej sprawy wyglądają inaczej – polityka to także nocne party pod Sejmem, gdzie do fajnych bitów można poskakać, skandując: „Jebać PiS” i zastanawiając się, czy zgraja zramolałych psycholi wyśle na tę zabawę czołgi, czy tylko armatki wodne. Tu już nie chodzi o zerwany kompromis aborcyjny, temu rządowi nie pomoże żaden kompromis. Gowin postulujący ustawę łagodzącą nieszczęsną werdykt TK jawi mi się jak nadleśniczy, co to ogłasza zagrożenie pożarowe, kiedy las już płonie.

Po ostatnich wyborach straciliśmy złudzenia, że kompromitując niemrawi politycy partii opozycyjnych zdołają odsunąć od władzy w Polsce narodowych socjalistów katolickich – mrzonki o kolejnej próbie rewanżu („trzy lata jak dla brata”, poczekamy i już na pewno wygramy) nie wystarczyły, ulica zapłonęła. Ten rząd może upaść tylko

osmalony jej ogniem. Najpierw norki, teraz kobiety i dzieciaki – gorzka to nauka dla polityków, którym trzeba wyważać drzwi, bo sami nie potrafią nawet się zdecydować, jak głośno zapukać ani kto ma prawo zapukać pierwszy.

Idę przez miasto u szczytu pandemii i mam poczucie, że to szczyt karnawału: pulsujące światełka radiowozów, tysięczne tłumy młodzieży skandującej antyrządowe hasła, korowód strajkujących taksówek na klaksonach, blokada rolników, przedsiębiorców – wszystkich, którzy mieli dotąd osobne interesy do ugrania, teraz połączyła jedna idea: chcą obalić kaczystowski rząd za to, że podniósł rękę na kobiety. Na wezwanie wodza pisowskie tituszki już zaczęły grasować – pierwszy był Wrocław, nie mam wątpliwości, że eskalacja dopiero nadjedzie; ale nawet niestawne środowiska kibolskie dzieli wątpliwość – jak to tak: na życzenie rządu bić kobiety? Tylko najtępsi z tępych dają sobie wmówić, że to walka z lewactwem w obronie

Kościoła. Hitem sieci stał się filmik boksera, który stawiał się pod klasztorem jasnogórskim, by bronić Kościoła przed hordami barbarzyńców, po czym osamotniony i zdezorientowany żali się do kamery: „Ludzie, co

wy pierdolicie, przecież tu nikogo nie ma!”. Symbolicznym obrazem upadku władzy zblatowanej z katabasami jest widok „straży narodowej”, ponurych mięśniaków wystających przed pustym budynkiem kościoła w asyście policji. Nikt się nimi nie interesuje; wczoraj jeszcze stali, dziś sobie przysiedli na kamiennych schodach. Biedni, zamiast medali za ofiarność i odwagę dostaną wilka – w przyszłości będą śpiewać po witkacowsku: „Ja chciałem być gieroj, no u mienia giemoroj”. Niebawem się zorientują, że ktoś ich wkręcił, a wtedy i oni obrócą swój gniew przeciw władzy.

W dniu blokady miasta spotykam na przystanku wściekłego bezdomnego, który narzeka, że nie może sobie w cieple pojeździć, bo ze stojących tramwajów wyrzucają – to jest kropka nad i, Kaczor rozjuszył literalnie wszystkich. Nazajutrz po wojowniczym orędnem znowu mu się włączył sejmowy tryb wściekłego kaczorka: tym razem zamiast „kanalii” usłyszeliśmy, że opozycja to „przestępcy”. W przypadku tak tragicomicznej postaci zanika nawet moje uporczywe współczucie dla upadłych demonów – normalnie na widok jego zatupiezonej marynarki, usłyszawszy, jak pozwala „wrzeszczyć”, wrzuciłbym się, że to taki żalosny dziadzio; załkałbym nad symptomami tej bezlitosnej starości. Ale za to, jak cynicznie zepsuł ten naród, wybaczenia być nie może.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

BEREZA KARTUSKA

– rozprawa sanacji z opozycją

Tortury i katorżnicza praca dla 3 tys. osób

Krzysztof Wasilewski

Bereza Kartuska to jeden z symboli upadku obozu sanacyjnego. Dowód desperacji władzy, która nie potrafiąc przekonać do siebie społeczeństwa, zaczęła bezpardonowo zwalczać przeciwników, stosując niegodziwe metody. Ponad 3 tys. więźniów, co najmniej kilkanaście ofiar – oto bilans jednego z najmroczniejszych miejsc II Rzeczypospolitej.

„Aresztowani runęli ku bramie, ale i tu ciosy sypią się ze wszystkich stron. Biegna, potykając się, padają i podnoszą się pod ciosami, znów padają, gubiąc swe tłumoki i węzłki. Biegna między zasiekami z drutu kolczastego – i wszędzie natykają się na policjantów, którzy wyskakują naprzeciw swych ofiar, ustawiają się jak futboliści na lecącą piłkę i strasznym zamachem pałki walą ludzi z nóg”. Tak swoje przybycie do obozu w Berezie Kartuskiej

Komunistycznej Partii Polski, Stanisława Gębali, nr 2987.

Władza sięga po środki wyjątkowe

Historia tego miejsca, przez niektórych nazywanego polskim obozem koncentracyjnym, zaczęła się od dekretu prezydenta RP z 17 czerwca 1934 r., powołującego tzw. obozy izolacyjne. Sam zapis początkowo nie budził większych zastrzeżeń i wydawał się wychodzić naprzeciw realnemu zagrożeniu bezpieczeństwa państwa, spowodowanemu wywrotową działalnością ukraińskich nacjonalistów. Zgodnie z dekretem „osoby, których działalność lub postępowanie daje podstawy do przypuszczenia, że grozi z ich strony naruszenie bezpieczeństwa, spokoju lub porządku publicznego, mogą ulec przetrzymaniu i przymusowemu umieszczeniu w miejscu odosobnienia”.

komunistycznych i związkowców, ale też białoruskich i ukraińskich nacjonalistów. Właśnie na tych ostatnich, jako najaktywniejszych, skupiała się rządowa propaganda, tłumacząc wprowadzenie kolejnych ograniczeń potrzebą walki z piątą kolumną.

Jednak zdaniem Ireneusza Polita, autora monografii obozu w Berezie Kartuskiej, chęć przeciwdziałania ukraińskiemu terroryzmowi stanowiła co najwyżej dogodną wymówkę. Prawdziwym celem rządzących było rozprawienie się z przeciwnikami politycznymi: „W latach 30. II Rzeczypospolitej zaczęła narastać tendencja do wyeliminowania z życia politycznego czynnika opozycyjnego względem sanacji i zastraszania. (...) W momencie, w którym zwykłe formy zwalczania nie zdawały egzaminu, a grup i partii politycznych protestujących było coraz więcej, trzeba było zastosować środki wyjątkowe”.

Obozy koncentracyjne? Tak

Obóz sanacyjny zdawał sobie sprawę, że w dłuższej perspektywie trudno mu będzie utrzymać poparcie społeczne dla tak radykalnych kroków. W związku z tym równoległe do prac nad dekretem prowadzono za pośrednictwem prasy wytężoną akcję propagandową, mającą przekonać Polaków do przyjętych rozwiązań. „Obozy koncentracyjne? Tak. Dlaczego? Dlatego, że widać owych osiem lat pracy nad wielkością Polski, osiem lat przetrwania nie wystarczyło dla wszystkich. (...) Jeżeli są ludzie nierozumiejący rządzenia w rękawiczkach – będą się mieli sposobność przekonać, że rządzić umiemy bez rękawiczek. Nie dlatego, byśmy mieli w tym kierunku inklinacje, nie – jesteśmy ludźmi wojny i dlatego umiemy cenić rycerskość we wszystkich dziedzinach życia – ale dlatego, że będziemy zawsze i wszędzie czynić wszystko, co potrzeba,

Więźniowie trafiali do Berezy na podstawie decyzji administracyjnej, a nie wyroku niezawisłego sądu.

zapamiętał Aleksander Hawryluk, ukraiński pisarz, członek Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy.

„W czasie rozbierania się na rozkaz nowe ciosy posypały się na mnie. Przy każdej części garderoby byłem bity pałą gumową, gdyż nie mogłem nadążyć za rozkazami »pana komendanta«. Żądał wykonania czynności licząc do trzech i wówczas spadały na mnie razy. (...) Wydał mi rozkaz powyrywania wszystkich kieszeni z ubrania, tj. z marynarki i spodni. Wykonanie tego rozkazu było ponad moje siły, gdyż byłem strasznie osłabiony ciągłymi torturami. Moje próby wyrwania kieszeni za pomocą zębów nie powiodły się również. Policjant był rozwścieczony i zaczął mnie znów okładać...” – to z kolei pierwszy dzień w obozie związkowca, członka

Mimo uspokajających zapewnień władz w praktyce ustawa pozwalała na aresztowanie i izolowanie osób na podstawie zwykłej decyzji administracyjnej, nie zaś wyroku niezawisłego sądu. Jednak na fali narodowego wzburzenia, wywołanego zabójstwem ministra spraw wewnętrznych Bronisława Pierackiego 15 czerwca 1934 r., niewielu zwracało uwagę na drastyczne łamanie swobód obywatelskich przez władze.

Być może tak anemiczna reakcja społeczeństwa wynikała z faktu, że przez cały okres II Rzeczypospolitej więźniowie polityczni stanowili zauważalny odsetek wszystkich osadzonych. Rok przed zamachem majowym ich liczba przekroczyła 1 tys. osób. W więzieniach zamknięto przede wszystkim działaczy



Byli więźniowie po opuszczeniu obozu w Berezie Kartuskiej, wrzesień 1939 r.

aby wielkie i naprawdę dla większości narodu wspólne cele – ład i na nim oparta siła Rzeczypospolitej zostały osiągnięte”, tłumaczyła „Gazeta Polska” 19 czerwca 1934 r.

To, co starano się ukryć w doniesieniach prasowych, przyznawano wprost podczas rozmów w gronie najbliższych współpracowników Józefa Piłsudskiego. W trakcie jednego z takich spotkań premier Leon Kozłowski, główny pomysłodawca utworzenia obozu, przekonywał, że „miejsca odosobnienia – nie trzeba tego chyba ukrywać – będą miały regulamin bardzo ciężki, surowy i nie będą niczym innym jak tylko narzędziem surowej i karzącej ręki państwa. (...) Jednostki, których nie poprawi jednorazowy trzymiesięczny okres odosobnienia, będą mogły – rzecz zrozumiała – być przytrzymywane dłuższy okres czasu lub będą umieszczane tam powtórnie”.

Spokój państwa był najważniejszy, więc do miejsca odosobnienia mieli trafić ludzie, którzy ów spokój chcieli zburzyć. I rzeczywiście w pierwszym okresie w obozie przebywali przede wszystkim działacze radykalnych organizacji narodowych – polskich

i ukraińskich. Niedługo później szeregi „pensjonariuszy” Berezy zasilili komuniści i związkowcy, choć początkowo było ich niewielu. W wyniku celowej polityki władz po pewnym czasie do obozu zaczęli przybywać pospoliccy kryminaliści. W ten sposób realizowano dwa cele: udowodniano, że państwo zdecydowanie walczy z przestępczością, a dodatkowo uniemożliwiano nawiązanie jakiegokolwiek

Przez ponad pięć lat funkcjonowania obozu zostało w nim osadzonych ok. 3 tys. osób.

współpracy między więźniami. Często bowiem to przestępcy wyręczali nadzorców w dręczeniu tych, którzy trafili do obozu ze względów politycznych.

„Reedukacja” osadzonych

Sposobem na „reedukację” więźniów była ciężka fizyczna praca. Dziennikarz „Robotnika” Wacław Czarniecki, który odwiedził Berezę Kartuską niedługo po uruchomieniu miejsca odosobnienia, relacjonował: „Tu, tak samo jak na szosie, praca odbywa się pod silną eskortą policji. Jest niemal

tylu policjantów, co więźniów, jedni trzymają karabiny z bagnetami przy nodze, inni – na pasie na ramieniu. Obok ukraińskiego chłopca pracuje znany mi z Warszawy członek ONR-u, ocierając się ramieniem o Żyda. Wszyscy mają zmęczone, wymizerowane twarze, tylko od czasu do czasu rzucają wymowne spojrzenia na pilnujących ich policjantów. Gdy wózek, na którym jechałem, zatrzymał się przy bramie, kilka łopat opuściło się i »robotnicy« zaczęli mi się przyglądać. Policjanci natychmiast zbie-

gli się do »opieszatych«, znów łopaty zagłębiły się w ziemi. Przez cały czas, jaki upłynął do powrotu mego woźnicy, praca odbywała się rytmicznie, bez żadnych przerw i odpoczynków. Jak długo trwa praca w ciągu dnia? Nie wiem. Mogę tylko powiedzieć, że partia, którą rano spotkałem przy robocie na szosie, pracowała jeszcze o godzinie 7-ej wieczorem”.

Nie tylko zmęczenie oddziaływało na więźniów deprymująco. Strzegący obozu policjanci wręcz prześcigali się w pomysłach, jak ich jeszcze upokorzyć. „Twórcy obozu w Berezie

► pojmowali pracę jako karę i jeden ze środków poniżenia człowieka. Rzeczywiście jeden rodzaj pracy wydawał się więźniom poniżający. Było to obsługa bloku policyjnego, w którym trzeba było sprzątać pokoje policjantów, czyścić ich obuwie, odzież, zamiatać i myć podłogę itp. Poza tym więźniowie nie czuli się poniżeni żadną pracą, jeśli tylko miała ona jakiś sens, była użyteczna”, wspominał Leon Wieczorek, nr 692 i 1348, dwukrotnie osadzony w obozie.

Karygodne traktowanie osadzonych budziło sprzeciw tych opozycyjnych polityków, którzy jeszcze pozostawali na wolności. W styczniu 1935 r. podczas sejmowego wystąpienia Mieczysław Niedziałkowski z PPS mówił: „Panowie ulegliście czarowi naśladownictwa. Stworzyliście paradoksalną sytuację, w której ludzie oskarżeni o morderstwo, o gwałt, o szpiegostwo znajdują się w znakomicie lepszym położeniu niż ludzie podejrzani przez jakiegoś starostę czy komisarza policji o to, że naruszają kiedykolwiek bezpieczeństwo publiczne. Tamci pierwsi mają akt oskarżenia, prokuratora, obrońcę, rozprawę sądową. Ci drudzy nie mają nic, zostają raptem pozbawieni wszelkich praw, zostają uwięzieni na czas praktycznie nieokreślony bez żadnej możliwości obrony. Przecież to jest podkopywanie fundamentów jakichkolwiek pojęć prawnych”. Protestowali także posłowie związani z Narodową Demokracją. Bez skutku.

„Minister sprawiedliwości Czesław Michałowski odpowiedział na formułowane publicznie wątpliwości dotyczące ewentualnej sprzeczności dekretu o obozach izolacyjnych z konstytucją – pisze Polit. – Według niego obóz w Berezie służył obronie treści samej konstytucji. Stwierdził, że rząd nigdy nie zawaha się podjąć decyzji nawet tak niepopularnej, jeżeli trzeba będzie bronić »dóbr powszechnych« przed działaniem organizacji tajnych”.

Często to przestępcy wyręczali nadzorców w dręczeniu tych, którzy trafili do obozu ze względów politycznych.

Jednocześnie władze zapewniały, że o żadnych nadużyciach wobec osadzonych nie mogło być mowy

Premier i rządy silnej ręki

Mimo zapewnień sanacyjnych polityków sytuacja więźniów nie poprawiała się. Wręcz przeciwnie. W jednym z listów, które zdołano przemyścić z Berezy, kolportowanym następnie w formie ulotki, można było przeczytać: „Więźniom daje się pracę nieproduktywną, najbardziej wyczerpującą siły ludzkie. Często zmusza się do kopania dołów przy pomocy patyczka, albo nawet palcami. Początkowo praca trwała 10 godz. dziennie, potem na skutek skrócenia się dnia i obawy ucieczki więźniów w polu – 8 godz. W czasie 1,5 godz. przerwy obiadowej trzeba nieustannie

biegać na zbiórki, a w pozostałych godzinach od 4-ej rano trzeba biegać galopem i wykonywać bardzo męczące ćwiczenia gimnastyczne. Zarządzeniem wyższego zwierzchnika obozu – wojewody poleskiego Wacława Kostka-Biernackiego więźniowie muszą zawsze biegać galopem bez względu na to, czy są obciążeni narzędziami pracy lub noszami, lub wozami naładowanymi po brzegi. Pracuje się w podartych butach lub

prawie boso nawet w czasie deszczu i mrozu. Za niedostateczną ochoczość biją pałkami i wsadza się do karceru z postem kilkudniowym”.

Jednak najgorsze miało dopiero nadejść. Sytuacja osadzonych pogorszyła się drastycznie wraz z objęciem teki premiera i ministra spraw wewnętrznych przez Felicjana Sławoja-Skłodkowskiego 15 maja 1936 r. Już nie tylko praca od rana do nocy służyła przekonywaniu osadzonych do zmiany sympatii politycznych. Szybszym, a przede wszystkim skuteczniejszym narzędziem „reedukacji” okazały się tortury. „Zaczął się okres rzeczywiście rządów silnej ręki”, wskazuje Polit.

Jak nowe rządy wyglądały w praktyce, tłumaczy Wojciech Śleszyński, historyk badający dzieje obozu: „Od pierwszych chwil pobytu w Berezie



Nagroda Samorządowa im. Norberta Barlickiego 2020

Nagroda Samorządowa im. Norberta Barlickiego została ustanowiona przez Stowarzyszenie Rzeczpospolita Obywatelska i przyznana po raz pierwszy w roku 2012. Otrzymują ją osoby fizyczne i prawne związane z samorządem terytorialnym za działania na rzecz wspólnot samorządowych w Polsce.

Kapituła Nagrody Samorządowej im. Norberta Barlickiego w składzie: Aleksander Kwaśniewski (przewodniczący), Andrzej Bocheński, Witold Gintowt-Dziewałtowski, Krzysztof Janik, Adam Jarubas, Jacek Majchrowski, Krzysztof Matyjaszczyk, Jerzy Mazurek, Małgorzata Ochęduszek-Ludwik, Andrzej Opala, Zbigniew Podraza, Włodzimierz Stepień, Wiesław Szczepański, Witold Wróblewski, Jerzy Żmijewski, Janusz Żmurkiewicz i Jan Kazimierz Czubak (sekretarz) w tegorocznej edycji postanowiła przyznać następujące nagrody:

1. w kategorii Firma Przyjazna Samorządowi – **Przedsiębiorstwo Inżynierskich Robót Kolejowych Tor-Krak Sp. z o.o., Kraków,**
2. w kategorii Organizacja Pozarządowa – **Towarzystwo Przyjaciół Będzina,**
3. w kategorii Jednostka Samorządu Terytorialnego – **miasto Malbork,**
4. w kategorii Samorząd Województwa – **Edward Fedko, radny Sejmiku Województwa Lubuskiego,**
5. w kategorii Samorząd Powiatowy – **Krzysztof Romankiewicz, starosta zielonogórski,**
6. w kategorii Samorząd Miejski – **Beata Moskal-Słaniewska, prezydent Świdnicy, członek Zarządu Związku Miast Polskich,**
7. w kategorii Całokształt Działań na rzecz Samorządu Terytorialnego – **Zygmunt Frankiewicz, senator RP, prezes Związku Miast Polskich.**

Z powodu ograniczeń wynikających z epidemii planowana na 6 listopada 2020 r. Gala Nagrody nie odbędzie się. Nowy termin zostanie wyznaczony po odwołaniu zakazów epidemiologicznych.

Jan K. Czubak, sekretarz Zarządu Stowarzyszenia Rzeczpospolita Obywatelska

Kartuskiej więzień był poddawany różnego rodzaju szykanom, mającym zmusić go do uległości psychicznej i fizycznej, np. po przybyciu jednej z pierwszych partii uwięzionych podinspektor [Jan] Greffner (będący wówczas komendantem obozu) miał w obecności więźniów zwrócić się do policjantów z poleceniem, aby ci »walili prosto w łeb w razie, jeżeli uznają to za potrzebne«. Krzyki, wyzwiska i bicie gumową pałką towarzyszyły zatrzymanym w drodze do kancelarii obozowej”.

Od maja 1936 r. szeregi więźniów obozu zasilali przede wszystkim przeciwnicy sanacji. Na liście potencjalnych więźniów znalazł się zatem m.in. Wojciech Korfanty, a także literaci Antoni Słonimski, Julian Tuwim, Bernard Singer i Józef Wittlin. „Ich twórczość określano mianem pacyfistycznej, a przez to szkodzącej Polsce”, tłumaczy Polit.

Przy aprobacie władz przybyłym do obozu szykowano wymyślne tortury. Ich celem nie było jednak wydobycie żadnych tajnych informacji – wynikały z chęci poniżenia osadzonych, spotęgowanej sadyzmem strażników. Działacz związkowy Włodzimierz Stankiewicz, nr 675, który trafił do Berezki dwukrotnie, wspominał, że jeszcze przed przybyciem do obozu został brutalnie pobity: „Całą noc byłem w okrutny sposób katowany. Zastosowano nawet nową metodę – prąd elektryczny. Był to czarny aparat, podobny do telefonu, a przewód zakończony rurką. Rozebrano mnie do naga i włączono ten aparat. Rurkę prowadzono po kręgosłupie tak, że cały zostałem pokręcony. Później musieli siłą mnie wyprostowywać... Miałem wtedy okropne bóle. Lano mi także urynę do nosa; stosowano też inne tortury”.

Bilans Berezki

Zdaniem Ireneusza Polita w dziejach miejsca odosobnienia w Berezce Kartuskiej można wyróżnić trzy fazy. Pierwsza przypadła na początkowy okres jego funkcjonowania, gdy przetrzymywano w nim przede wszystkim członków ukraińskiego podziemia i polskich organizacji narodowych. Drugi etap rozpoczął się wraz z objęciem rządów przez Sławoja-Składkowskiego, kiedy zaczęto traktować obóz jako lekarstwo na wszelkie zło.

Obok więźniów politycznych umieszczano w nim także przestępców gospodarczych i kryminalnych. Do realizacji trzeciego etapu przystąpiono tuż przed wybuchem II wojny światowej. W odpowiedzi na rosnące zagrożenie ze strony Niemiec i ZSRR obóz zaczęto szybko przekształcać w ośrodek internowania dla potencjalnych sprzymierzeńców agresorów.

Od maja 1936 r. szeregi więźniów zasilali przede wszystkim przeciwnicy sanacji.

Jak wskazuje historyk, „miejsce odosobnienia wywierało piętno na życie polityczne w Polsce w latach 1934-1939. (...) Panowały tam wyjątkowo ciężkie warunki, na co kładł się brutalny dryl z »dodatkiem« bicia i znęcania się, co w połączeniu z bardzo niskimi kalorycznie posiłkami, jakie tam serwowano, i fizyczną pracą lub »ćwiczeniami gimnastycznymi«, załamywało dużą część więźniów. Wychodzili stamtąd »zaszczeni«. Po powrocie do swoich miejsc zamieszkania nie chcieli o panujących tam warunkach rozmawiać”.

Przez ponad pięć lat funkcjonowania obozu zostało w nim osadzonych ok. 3 tys. osób. Wszystkich, bez wyjątku, poddano katorżniczej pracy, większość doświadczyła brutalnych tortur. Liczbę ofiar śmiertelnych szacuje się na co najmniej kilkanaście. Bez wątpienia Berezka Kartuska stała się symbolem rosnącego autorytaryzmu sanacji, która systematycznie

demontowała wszelkie pozostałości po demokracji. Sposób myślenia ówczesnych władz najlepiej odda-

ją słowa premiera Składkowskiego, który bronił obozu jeszcze wiele lat później: „Berezka była niepopularnym i przykrym, lecz pożytecznym narzędziem ochrony całości i spójności Państwa, unikaliśmy w ten sposób mnożenia procesów politycznych, które nie pomagały, a raczej szkodziły Polsce...”. Dziś pewnie wielu chciałoby pójść tą drogą.

Krzysztof Wasilewski

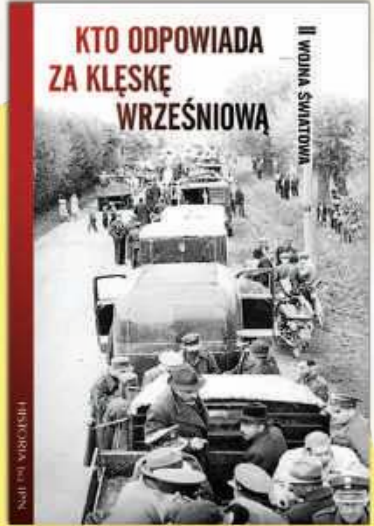
45 zł

Najpierw „góra” zaczęła uciekać, nie tylko w wojsku, ale i w administracji. Nic dziwnego, mieli przecież czym uciekać i za co.

Dokumenty komisji powołanej przez gen. Sikorskiego

WWW.SKLEP.TYGODNIKPRZEGLAD.PL

 Wpłaty 45 zł prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.



Wyspa wstydliwych tajemnic

W centrum nowoczesnego świata ludzie u władzy dawali przyzwolenie na wykorzystywanie drugiego człowieka

Rozmawia Mateusz Demski

Wyspa Jersey nazywana jest rajsą. Piękne widoki, rozległe plaże i malownicze klify, życie zdaje się płynąć tam leniwie. Co sprawiło, że dwoje polskich reportażystów znalazło się na malutkiej, nieznanej bliżej wyspie u wybrzeży Normandii?

Dionisios Sturis: – Nie takiej nieznanej. Tak się składa, że Polacy, szczególnie ci z okolic Podkarpacia, odkryli Jersey już wiele lat temu i stali się tam sporą emigracyjną mniejszością. Jeszcze przed naszym wejściem do Unii Europejskiej część z nich zaczęła wyjeżdżać tam do pracy, głównie zatrudniając się przy zbiorach ziemniaków, Jersey Royal. Z czasem Polacy zdominowali ten sektor jerseyjskiej gospodarki, aż w końcu zaczęli się zatrudniać również w przemyśle turystycznym, usługach hotelarskich, gastronomii, budowlance. Tak też, w poszukiwaniu lepszego życia, przeprowadził się tam bohater naszej poprzedniej książki, Damian Rzeszowski. To nazwisko nie tylko trafiło na nagłówki jerseyjskich gazet, ale było o nim głośno w całej Wielkiej Brytanii. W sierpniu 2011 r. zabił nożem sześć osób – żonę, dwoje dzieci, teścia, przyjaciółkę rodziny i jej córkę. Wraz z Ewą zaczęliśmy zbierać materiały na ten temat, próbując poszukać odpowiedzi na pytanie, co musi się zdarzyć w życiu człowieka na emigracji, by dopuścić się tak przerażającej zbrodni. Piszemy o tym w książce „Głosy”.

Przyjechaliście zatem na Jersey po historię dotyczącą masowego morderstwa, które ujawniło skalę przemocy domowej wśród emigrantów. Jak trafiliście na sprawę przestępstw popełnianych w sierocińcach, którą opisaliście w ostatniej książce?

DS: – Mieliśmy już wracać do Warszawy z zebranymi materiałami o rodzinie Rzeszowskich, kiedy dowiedzieliśmy się, że za kilka dni na



**EWA WINNICKA
I DIONISIOS STURIS**

wyspie ma się odbyć konferencja szefa rządu, na której będzie prezentowany raport z kilkuletnich prac specjalnej komisji. Komisja ta została powołana do zbadania przypadków fizycznego i psychicznego maltretowania dzieci, a także molestowania seksualnego, do których miało dochodzić w ośrodkach wychowawczych na Jersey co najmniej od 1945 r. Na masową skalę, za wiedzą rządzących.

Ewa Winnicka: – Wtedy już wiedzieliśmy, że nie będzie to nasz ostatni raz na Jersey. Kiedy reporter trafia na taką sprawę, drętwiej mu opuszki palców. Ta konferencja była dla nas totalnym szokiem. Nagle usłyszeliśmy, że w centrum nowoczesnego świata grupa ludzi u władzy w okropny sposób dawała przyzwolenie na wykorzystywanie drugiego człowieka, do tego młodszego, bezbronnego, pozbawionego możliwości obrony i sprzeciwu. Nie mogliśmy tego tak po prostu zostawić.

Raport ujawnił setki przypadków molestowania i maltretowania dzieci, od zakończenia II wojny światowej skutecznie przez władzę ukrywanych. Czy ktoś próbował zainteresować się tą sprawą wcześniej?

DS: – Oczywiście. W trakcie konferencji w parlamencie naszą uwagę zwróciło dwóch miejscowych blogerów aktywistów, Rico Sorda i Neil McMurray, którzy głośno nawoływali do ukarania winnych. Z tym drugim spotkaliśmy się już dzień później i to on stał się naszym przewodnikiem po tej historii. Neil jest emerytowanym rybakim, który stracił dłoń w trakcie wyprawy na Atlantyk. Po wypadku resztę życia miał spędzić na rencie w domu, z żoną i dziećmi, ale pewnego dnia zaangażował się w sprawę znajomego, którego dziecko doświadczyło przemocy w szkole. Wtedy po raz pierwszy zobaczył rysy na nieskazitelnym dotąd obrazie rodzinnej wyspy. Z czasem Neil natrafiał na kolejne historie wiktyzowanych dzieci. To

sprawiło, że zaczął prowadzić amatorskie śledztwa dziennikarskie i wraz z Rikiem założył niezależny blog poświęcony przypadkom wykorzystywania seksualnego dzieci na Jersey.

EW: – Tyle że ich sprzeciwy przez lata pozostawały bez odpowiedzi. Blogerzy i aktywiści prowadzili śledztwa, zadawali politykom niewygodne pytania, upubliczniali wyniki swojej pracy w sieci, ale lokalne władze stawiały opór i starały się ukręcić łeb sprawie. Zresztą i wśród mieszkańców wyspy zdawała się panować zмова milczenia.

Jak to możliwe, że trwające dziesiątki lat systemowe katowanie dzieci nie zwróciło uwagi władz w Londynie? W końcu Jersey to miejsce zależne od Wielkiej Brytanii.

DS: – Jersey ma status dependencji korony brytyjskiej, w teorii więc powinna podlegać monarchini brytyjskiej. Faktycznie królową reprezentuje tam gubernator, Londyn odpowiada za obronność i sprawy międzynarodowe wyspy, ale przez stulecia wykształcił się tam system

Kiedy reporter trafia na taką sprawę, drętwiej mu opuszki palców.

praktycznie samodzielny i niezależny – z własnym parlamentem i tradycjami politycznymi, które niewiele mają wspólnego z demokracją. Przykład? Jedną z najważniejszych osób na wyspie jest *bailliff*, który jednocześnie pełni funkcję marszałka parlamentu i najwyższego rangą sędziego. Nie ma mowy o rozdziale władzy ustawodawczej i sądownictwa, a władzę niepodzielnie sprawuje tam kilka najzamożniejszych rodzin. Co więcej, na wyspie od wieków funkcjonuje policja honorowa – instytucja działająca częściowo niezależnie od policji państwowej i jeszcze kilkadziesiąt lat temu niepodlegająca właściwie niczyjej kontroli. Na maleńkiej Jersey

trwają zatem różne dziwactwa instytucjonalne i archaiczne konstrukcje polityczne, które na pewno nie pomogły w ujawnianiu afer, powiązań i układów tam panujących.

EW: – A dodajmy jeszcze, że Jersey znajduje się od lat w pierwszej czwórce najbogatszych krajów i jest jednym z najbardziej znanych tzw. rajów podatkowych. Oznacza to mniej więcej tyle, że milionerzy, którzy lokowali tam pieniądze, a przy tym otrzymywali od rządu gwarancję dyskrecji, zgadzali się na te różne dziwności albo o nie przynajmniej nie pytali.

To zjawisko opisywane jest w książce za pomocą terminu *Jersey way*.

Oznacza on przywiązanie rodowych Jerseyczyków do tradycji i miejscowych wartości, ale ta swoista filozofia stała się narzędziem ochrony potężnych interesów i oporu przed zmianami.

EW: – To prawda, można na to spojrzeć z kilku stron. *Jersey way* jest sposobem na samostanowienie tamtejszego społeczeństwa i wielu mieszkańców jest z tego bardzo dumnych. Na wyspie nie trzeba zamykać drzwi, sąsiedzi się znają, są sobie pomocni. Ważne są tam działania wspólnotowe, poczucie solidarności, zaufanie, a więc model społeczeństwa obywatelskiego, o którym w Polsce możemy pomarzyć. Ale element wspólnotowy ma też ciemne strony – dotyczy tylko miejscowych i jednocześnie pozwala na zamiatanie wielu problemów pod dywan.

DS: – Poza tym mieszkańcy Jersey w znakomitej większości są przekonani, że to najlepsze miejsce do życia na Ziemi. Faktycznie wyspa jest przepiękna, jeśli chodzi o pejzaż, to same zachwyty człowieka czekają. Tyle że w konsekwencji tego bezkrytycznego przywiązania do tradycji i miejscowych wartości, a więc do *Jersey way*, wiele osób nie chce przyjąć do wiadomości np. doniesień o brutalnych działaniach pedofilów. Co więcej – uważają, że renoma i *image* wyspy są ważniejsze niż walka o ujawnienie prawdy, weryfikację zaniedbań systemowych i sprawiedliwość dla ofiar. Myślę, że jest to w jakimś sensie mechanizm bliski lokalnemu patriotyzmowi, ale przy tym niebezpieczny odruch psychologiczny, który często występuje u wyspiarzy. To, co dla nich niewygodne, ▶

Ewa Winnicka – reporterka, związana z „Polityką” i „Dużym Formatem”, publikowała także w „Tygodniku Powszechnym” i włoskim „Internazionale”. Wspólnie z Dionisiosem Sturisem napisała dwa reportaże poświęcone wyspie Jersey: „Głosy. Co się zdarzyło na wyspie Jersey” (2019) oraz „Władcy strachu. Przemoc w sierocińcach i przełamywanie zmony milczenia” (2020).

Dionisios Sturis – dziennikarz i pisarz, autor reportaży prasowych i radiowych oraz podcastów. Przez wiele lat związany z Radiem TOK FM. Współpracuje z „Gazetą Wyborczą”, „Dużym Formatem”, „Polityką” i „Przekrojem”.

► wypierają. Wybierają milczenie, bo nie chcą naruszać *status quo*. A jeśli ktoś zechce go naruszyć, jest duże prawdopodobieństwo, że usłyszy popularne na wyspie powiedzenie: „Pierwsza łódź odplywa o poranku”. **A to powoduje, że wiele spraw pozostaje nierozwiązanych. W książce czytamy o przestępcach, którzy całe życie czuli się bezkarni.**

DS: – No tak, tutaj przykład państwa Maguire’ów, którzy w przeszłości prowadzili rodzinny dom dziecka Blanche Pierre. Małżeństwo opiekunów zastępczych znęcało się nad dziećmi, wielu zrujnowało życie,

również nie spotkało się z karą i utratą stanowiska. Wręcz przeciwnie, zrobili kariery na najwyższych szczeblach administracji i trafili pod parasol miejscowego establishmentu. To pokazuje, że ofiary nie mogły przerwać tego zakłętego kręgu. Tuszowanie odbywało się na każdym możliwym poziomie.

Co więcej, to niejedynie sprawy dotyczące grupy wpływowego pedofilów na Jersey. W książce pojawia się sprawa Jimmy’ego Savile’a, angielskiego celebryty i bodaj najbardziej znanego prezentera muzyki pop związanego ze stacją BBC,

wniesiono kilkadziesiąt silnych oskarżeń, ale sprawa – ze względu na śmierć Heatha – prawdopodobnie nie zostanie nigdy wyjaśniona.

Przytaczacie statystyki dotyczące zakończenia policyjnej operacji „Prostokąt”. W trakcie kilkuletnich działań policji 192 ofiary zgłosiły ponad 500 przypadków nadużyć na Jersey, połowa z nich miała charakter wykorzystywania seksualnego. Zidentyfikowano 151 sprawców i tylko siedmiu trafiło do więzienia. Czy ofiary mogą liczyć na sprawiedliwość?

DS: – W minimalnym stopniu ta sprawiedliwość zaistniała i podjęto pewne działania naprawcze. W końcu powołano do życia komisję, powstał raport i powoli wykonywane są zawarte w nim rekomendacje, dwa lata temu zaś utworzono na Jersey urząd rzecznika praw dziecka. Poza tym części ofiar rząd wypłacił odszkodowania, a kilku sprawców trafiło do więzienia w wyniku operacji „Prostokąt”. Ale to zaledwie garstka oprawców, która dostała łagodne wyroki w zawieszeniu lub kilka miesięcy więzienia. Inna sprawa, że pojawił się pomysł postawienia pomnika ku pamięci dzieci molestowanych i maltretowanych w sierocińcach. I od trzech lat projekt ten tkwi w miejscu. Członkowie grupy roboczej nie mogą uzgodnić koncepcji. Jedni chcą dużą instalację na centralnym placu w stolicy, drudzy zwyczajną tablicę w niewidocznym miejscu. Nie ma wątpliwości, że potrzebne są dalsze reformy.

EW: – Pocieszające jest jednak to, że ludzie, których nikt przez lata nie wysłuchał i którym nikt nie wierzył, w końcu zostali zauważeni. Wysiłki w ich sprawie nieustannie podejmują miejscowi aktywiści. Kilku polityków i policjantów niezwiązanych żadnymi miejscowymi układami również w te działania się zaangażowało. Ważną postacią jest też Cheyenne O’Connor, młoda i odważna dziewczyna, która ujawnia ciemne strony życia na Jersey. Doprowadziła ona do zatrzymania i skazania kilkudziesięciu dręczycieli, cały czas stara się o podwyższenie minimalnej kary więzienia dla pedofilów, za co została nawet nominowana do tytułu Człowieka Roku przez lokalną gazetę. Walka na Jersey trwa i będzie trwała.

Mateusz Demski

Polacy, szczególnie z Podkarpacia, odkryli Jersey już wiele lat temu i stali się tam sporą mniejszością.

a mimo to, kiedy po raz pierwszy prawda o tych ludziach wyszła na jaw, nie tylko nie zostali pociągnięci do odpowiedzialności, ale jeszcze szef służb socjalnych napisał do nich list z podziękowaniami za lata oddanej posługi na rzecz wychowanków. Inna sprawa – Wilfred Kricheski, dyrektor lotniska i miejscowych portów, szef Komisji Obrony i wieloletni senator, bardzo często bywał w olbrzymim ośrodku wychowawczym Haut de la Garenne i tam pozwalał mu wybierać chłopców, których molestował. Wielu innych zamożnych dręczycieli, podobnie jak Kricheski,

który przez 60 lat wykorzystywał seksualnie setki dzieci.

EW: – To prawda, choć przestępstwa Savile’a nie obejmowały wyłącznie Jersey, rozciągały się na teren całej Wielkiej Brytanii. Mimo to kilka lat trwało, zanim Brytyjczycy przestali wypierać fakt, że ich idol, znany również z działalności charytatywnej, był dręczycielem nieletnich. Z Jersey łączy się natomiast jeszcze jedna historia, a dotyczy ona byłego premiera Edwarda Heatha, przeciw któremu toczyło się śledztwo o molestowanie dzieci z sierocińców na Jersey. W sumie do prokuratury



NA EKRANACH

SERIAL



KWIAT SZCZĘŚCIA

reż. Jessica Hausner, prod. Wielka Brytania, Austria, Niemcy, już w kinach

Tytułowy kwiat to kamień filozoficzny, ale zamiast wiecznego życia daje wieczne szczęście. Wyhodowane w laboratorium roślinki mają tę cudowną właściwość, że uruchamiają w mózgu człowieka wydzielanie endorfiny. To anglojęzyczny debiut austriackiej kontrowersyjnej reżyserki Jessiki Hausner (znanej z głośnego „*Louderes*”), która tym razem robi krok w tył. Chociaż początek zapowiada oryginalną zabawę gatunkiem SF, szybko okazuje się, że twórczyni chce opowiadać nie o złych roślinkach pragnących nam zrobić z mózgu sieczkę, tylko o relacjach międzyludzkich. Postępuje się przy tym oczywistą metaforą, że wolimy sięgać po sztuczne szczęście, niż szukać tego naturalnego. Mają nam o tym powiedzieć perypetie pracujących w laboratorium Alice i Chrisa (magnetyczny Ben Whishaw), ale ich historia nie jest ani dramatyczna, ani oryginalna. Oszczędna forma nie przekłada się zaś na pobudzenie naszego zainteresowania. Bilet do kina tym razem szczęścia nam nie przyniesie.

Artur Zaborski

OD NOWA

reż. Susanne Bier, prod. USA, HBO i HBO GO

Nicole Kidman gra wziętą terapeutkę, która świetnie sobie radzi z rozwiązywaniem problemów innych ludzi. Ale kiedy w przeddzień publikacji jej oczekiwanej książki sama musi zmierzyć się z prywatnymi kłopotami, boleśnie się przekona, że grzebanie we własnym życiu jest znacznie trudniejsze. To serial od HBO, więc wiadomo, że należy się spodziewać filmu kinowego podzielonego na sześć odcinków. Dostajemy wysmakowany wizualnie spektakl na kilka kamer, który angażuje dzięki wiarogodnemu scenariuszowi i świetnym kreacjom Nicole Kidman i Hugh Granta. Siła tkwi jednak w dopracowaniu szczegółu. Nawet pojawiające się na drugim planie postacie – jak prokuratora Catherine grana przez Sofię Gråbøl – są pogłębione, mają osobowość, nie ograniczają się do bycia figurami zasilającymi akcję. Reżyserka Susanne Bier ma na koncie udane filmy wojenne („*Bracia*”) i policyjne („*Druga szansa*”), więc można było zakładać, że udźwignie ciężar thrillera. Zaskakuje, że poradziła sobie z nim aż tak dobrze!

Artur Zaborski



KURTYNA W GÓRĘ

ZAJRZYJ TU

WĘGORZEWSKA GRA WĘGORZEWSKĄ

„Zbieżność mojego nazwiska z nazwiskiem bohaterki Witkacego uważam za jedną z najszcześniejszych koincydencji w mojej drodze zawodowej”, napisała w zaproszeniu na spektakl – inscenizowane czytanie sztuki „*Matka*” – Alicja Węgorzevska. Bohaterka dramatu różni się od dyrektorki Warszawskiej Opery Kameralnej tylko imieniem. Witkacowska wyobraźnia pokonała kilka epok, bo autor tej sztuki, zmarły w 1939 r., a urodzony 135 lat temu, zwykle bardzo fantazyjnie tworzył nazwiska bohaterów. Może nawet przewidział taką sytuację? Odtwórczyni tytułowej postaci tak się przejęła rolą, że choć inni wyko-



nawcy czytali swoje kwestie, ona mówiła wszystko z pamięci. Przedstawieniu zapewniono sensacyjną obsadę – syna Węgorzevskiej grał Rafał Zawierucha, siostrę zaś wykreowała wokalistka Kayah.

Bronisław Tumiłowicz

Stanisław Ignacy Witkiewicz, „*Matka*”, reżyseria Jakub Przybindowski, Warszawska Opera Kameralna, Basen Artystyczny, premiera 23 października 2020

EDGAR DEGAS

Rzeźbiarskie atelier

Na przedaukcyjnej wystawie w warszawskiej Desie na Pięknej można oglądać kilkadziesiąt rzeźb z brązu słynnego Edgara Degasa. Artysta, który rzeźbą zajął się ok. 1860 r., znany jest przede wszystkim z prac przedstawiających tancerki. Żadna figura z brązu nie została odlana za życia artysty. Publicznie pokazał on tylko jedną rzeźbę, w 1881 r., którą sprowadził na siebie falę krytyki. Po śmierci Degasa wykonawcy testamentu odnaleźli w rezydencji na paryskim Montmartrze ok. 150 prac artysty i postanowili zrobić odlewy. To pierwsza w Polsce wystawa rzeźb Edgara Degasa – tym bardziej warta zobaczenia.

WARSZAWA
DESA UNICUM
DO 10 LISTOPADA



Kolumnę przygotowała
Agata Gogolkiewicz

Dotkliwa klęska

Jacek Pańkiewicz:

Jak zostałem oszukany przez MSZ



Wiosną 2017 r. wygłosiłem serię prelekcji w Szanghaju. Jedną z nich zorganizowała firma Zhongtai Lighting, lider w sektorze świetlnych aranżacji miast, hoteli, wnętrz galerii sztuki czy świątecznych iluminacji centrów handlowych. Jej prezes Cheng Ke Pei sprawił, że okazała sala, w której występowałem, była wypełniona po brzegi przez słuchaczy ponad 20 narodowości. Obecnych było ośmiu konsulów generalnych. Nie zabrakło także polskiego dyplomaty, Piotra Nowotniaka.

Nieoczekiwanie moja osoba wzbudziła zainteresowanie szanghajskich mediów. (...) Jeszcze w tym samym tygodniu skusiła mnie swoim zaproszeniem Tiziana Figliolia, prezydentka International Professional Women's Society. Temat wykładu brzmiał „Jak być pierwszym o krok przed innymi”. Na zakończenie takich spotkań padają zwykle pytania o plany na przyszłość.

Chciałem promować nasz kraj jako bramę do Europy dla Chin.

Opowiedziałem więc o kietkującym wówczas w mojej głowie projekcie „Nowy Jedwabny Szlak 2017/2018” – konwój samochodów na trasie z Chin do Polski: siedem krajów, 12 tys. km. Pomyślałem sobie, że tak jak w czasach starożytnego szlaku handlowego wielkie cywilizacje wymieniały się zdobyczami techniki, wiedzą, spotykały się, tak i dzisiaj jego dziedzictwo kulturowe może być płaszczyzną do budowania szerokiej współpracy. (...) To byłoby potężne wyzwanie. Wyprawa, która przemierzy trasę z Pekinu do Warszawy, miała wnieść wkład do budowy polskiej marki. Zmierzałem w ten sposób propagować rozpoznawalność Polski, jej dorobek, gospodarkę, otwartość i chęć współpracy, jak również atrakcyjność turystyczną. Chciałem promować nasz kraj jako

bramę do Europy dla Chin, przyczynić się do intensyfikacji kontaktów gospodarczo-handlowych między Polską a Chinami. (...)

Jeśli dobrze pamiętam, dzień później w hotelu zadzwonił telefon. Jedną z pań obecnych na spotkaniu zapraszała na lunch, bo ktoś bardzo chciał mnie poznać. Tą osobą był członek zarządu ważnej, powiązanej z władzą firmy. Lunch okazał się bardzo owocny, bo Yan Xishan, tak umownie go nazwę, wykazał zainteresowanie projektem. Wsparcie finansowe sześciocyfrowego budżetu nie było dla niego problemem. Wkrótce doszło do roboczego spotkania z działami marketingu i komunikacji. (...) Projekt trzeba było teraz nagłośnić i zapewnić mu międzynarodowe wsparcie.

Zacząłem od Polski. Jako pierwszy udzielił honorowego patronatu minister Witold Waszczykowski. Wkrótce do Ministerstwa Spraw

Zagranicznych dołączyły Ministerstwo Rozwoju, Ministerstwo Infrastruktury oraz Ministerstwo Sportu. Wszyscy rządowi patroni zgodnie podkreślali, że mogą liczyć wyłącznie na moralne wsparcie. Kwestia finansów nie miała jednak dla mnie znaczenia, bo w kieszeni nosiłem list gwarancyjny chińskiego partnera.

Kolejny etap przewidywał podróż rekonesansową w celu nawiązania odpowiednich kontaktów, ustalenia szczegółów przejazdu przez terytoria Azji Środkowej i Federacji Rosyjskiej. Spotkania i rozmowy okazały się ze wszech miar pozytywne, bo wkrótce patronatów rządowych udzieliły ministerstwa spraw zagranicznych oraz kultury i turystyki Uzbekistanu, Kirgistanu, Kazachstanu i Białorusi.

Do kompletu brakowało tylko Rosji. Dzięki pośrednictwu polskiej

ambasady zostałem przyjęty przez Jurija Pilipsona, wicedyrektora III Departamentu Europejskiego MSZ Federacji Rosyjskiej. Ku mojemu zaskoczeniu urzędnik przywitał mnie jak starego znajomego.

– Pan mnie nie zna, ale ja śledzę pańskie dokonania. Zastąpił pan na uznanie za ekspedycję na biegun zimna na reniferach. Pokażnym echem odbiła się u nas również wyprawa „Szlakiem polskich badaczy Syberii”, przybliżająca sylwetki Polaków, którzy cywilizowali zauralskie ziemie. Co zatem pana do mnie sprowadza?

– Przygotowuję prestiżowy projekt międzynarodowy i zamierzam prosić o współpracę – odpowiedziałem, przechodząc od razu do rzeczy. – Mam wsparcie polskiego ministra spraw zagranicznych. – W tym miejscu chciałem wymienić szereg innych krajów, ale Jurij Pilipson przerwał mi szczerą do bólu odpowiedzią:

– Skoro ma pan za sobą polski MSZ, to my bez dwóch zdań do tego się nie dołączymy.

Po chwili dodał, już tonem niemal przyjacielskim:

– Ale może pan liczyć na nasze nieoficjalne wsparcie. (...)

„Nowy Jedwabny Szlak” zainteresował władze Republiki Tatarstanu. Nasza placówka dyplomatyczna w Moskwie otrzymała pozytywną odpowiedź. W Kazaniu znaleźli się chętni do współpracy: Państwowy Komitet Republiki Tatarstanu ds. Turystyki oraz Rada Miasta Kazania. (...) Wiedziałem, że w Ministerstwie Kultury Federacji Rosyjskiej już od roku czekał koncept „Wielki Jedwabny Szlak”, któremu wprowadzić nadano rangę priorytetową, ale praktycznie

nikt jeszcze o nim nie słyszał. Zakładał on objęcie projektem 30 regionów rosyjskich leżących na historycznych szlakach, ale w odległych zakątkach kraju, aby zapewnić tam rozwój turystyki. (...)

Kolejnym etapem był Biszkek, który odwiedziłem już wcześniej. Chodziło o uzgodnienie szczegółów dotyczących trasy przejazdu przez Kirgistan. Honorowy konsul RP Aleksander Zlatkin poświęcił mi wiele czasu, wykazując rzadko spotykaną życzliwość i uczynność. Zasadą w tym kraju jest opłacanie dziennikarzy za wydrukowanie jakiegokolwiek materiału. Nie wiem, jak to zrobił, ale zorganizował konferencję prasową,

kompromitację w związku z zaangażowaniem w projekt trzyletniego rejsu regatowym jachtem, który miał sławić nasz kraj na świecie. Szumnie prezentowane wydarzenie, nawiązujące do stulecia niepodległości Polski, utknęło w skandalach na mieliźnie. Przy okazji jeszcze większym wstydem okryła się, wzbudzająca niesłychane emocje od początku swojego istnienia, Polska Fundacja Narodowa, której misją jest promocja i ochrona wizerunku RP. Zmarł notawiono setki milionów złotych, podczas gdy była idealna okazja, aby w pełni wykorzystać niedofinansowany rejs wokółziemski legendarnego żaglowca „Dar Młodzieży”.

Wszyscy rządowi patroni zgodnie podkreślali, że mogą liczyć wyłącznie na moralne wsparcie.

na której pojawili się przedstawiciele różnych środków masowego przekazu nieupominający się o gratyfikacje.

Wiceminister kultury Ajnura Temirbekowa zauważyła, że wśród wspierających mój pomysł polskich instytucji rządowych nie ma Ministerstwa Kultury. To prawda, że trochę zapominałem o tym resorcie, dlatego po powrocie do Warszawy zadzwoniłem, aby dowiedzieć się, czy jest już odpowiedź na złożony wcześniej wniosek o patronat. Tak, była. Odmowna. Niby ministerstwo samo w sobie nie wnosiło nic szczególnego, ale jednak pewien niesmak pozostał. Szersza aprobatą instytucji rządowych oznacza większe wsparcie dyplomatyczne i medialne na całej trasie wyprawy. Ambicja wzięła górę. Postanowiłem więc zwrócić się do UNESCO.

W konsekwencji dyrektor generalna tej szacownej instytucji Irina Bokova podjęła decyzję o objęciu projektu swoim patronatem. Ta najwyższa możliwa forma wsparcia jest wyrazem aprobaty dla wyróżniającego się przedsięwzięcia, według opinii Bokovej „umacniającego zamierzone i współczesne relacje oraz wzajemne zaufanie między krajami i ludźmi na historycznym szlaku”. (...)

W późniejszym czasie okazało się, że Ministerstwo Kultury nie tylko nie potrafiło dostrzec w „Nowym Jedwabnym Szlaku 2017/2018” działań promujących Polskę, ale też przy innej okazji naraziło się na

Szkoda, że PFN, jako jeden z darczyńców, przeznaczyła na to tylko 6 mln złotych. Gdyby dorzuciła chociaż 20 więcej, efekt marketingowy byłby bezcenny. (...)

W dokumentacji archiwalnej znalazło się życzliwe wsparcie prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy oraz życzenia szczęśliwej i bezpiecznej podróży. „Planowana trasa wyprawy jest naprawdę imponująca i – w przekonaniu prezydenta – przysłuży się propagowaniu wiedzy na temat Polski”. Szkoda tylko, że ani prezydent, ani jego ludzie nie przysłużyli

Małostkowość i zwykła prywatna pogrzebały plany ekspedycji, która miała pomóc w kreowaniu pozytywnego obrazu Polski w świecie.

się tej sprawie, a jeden z nich, sekretarz stanu Adam Kwiatkowski, po prostu wystawił mnie do wiatru.

Bardzo cenię sobie pismo, w którym ambasador Uzbekistanu w Polsce informuje, że prezydent jego kraju, Szawkat Miromonowicz Mirzijojev, popiera projekt, który „będzie ważnym ogniwem zacieśniania więzi między narodami w dziedzinie kultury, wymiany naukowej i turystycznej”.

Wspomnę przy okazji o nowych szlakach XXI w., wyrosłych na pierwowzorze z epoki Marco Polo. W 2014 r. Chiny, znajdujące się na drodze do największego sukcesu

gospodarczego w dziejach ludzkości, stworzyły epokowy koncept „Belt and Road”, Pas i Droga, zakładający realizację ekonomicznego pasa lądowo-morskich sieci transportowo-komunikacyjnych łączących Państwo Środka ze Starym Kontynentem. Od samego początku kraje Azji Centralnej, Rosja, a także Polska deklarowały gotowość, by przystąpić do tej inicjatywy. W Warszawie analitycy przewidywali, że będzie ona miała wielkie znaczenie dla gospodarki naszego kraju. Z punktu widzenia chińskiej strategii Polska ze względu na położenie geograficzne jest kluczowym regionem na tym transazjatyckim szlaku. Mogłaby pełnić ważną funkcję „bramy” do Europy Zachodniej.

Koncepcja nowego ekonomicznego szlaku rodziła się w wielkich bólach. Kraj Smoka nieustająco łączył udzielanie pożyczek z warunkiem przyznania kontraktów budowlanych chińskim firmom. Wtedy okazało się, że kontrowersyjne przedsięwzięcie będzie wymagało pogodzenia wielu sprzecznych interesów. Rosja, izolowana przez Zachód po agresji na Ukrainę, dość mocno przyłgnęła do Chin. Wkrótce jednak okazało się, że to „małżeństwo z rozsądku” obu krajów nie przetrwa, bo Kreml nie widział sensu pokładać nadziei w szlaku, który pozbawia Rosję wpływów w posowieckich republikach Azji Centralnej.

Chińczycy po pewnym czasie zmienili oficjalną nazwę swego przedsięwzięcia na „Belt and Road Initiative”, Inicjatywa Pasa i Drogi, ale pomysł spotykał się z coraz większą krytyką na całej trasie. Stało się oczywiste, że mimo deklaracji o przyjaźni, współpracy i korzyści dla wszystkich ta inicjatywa nie jest aż tak wielkim ekonomicznym dobrodziejstwem dla uczestników projektu i służy głównie Chinom.

W pierwszych dniach stycznia 2017 r. media doniosły, że Polska odmówiła sprzedaży 33-hektarowej działki w Łodzi, której kupnem była zainteresowana polsko-chińska

► spółka. Kilka lat wcześniej pojawił się pomysł, by w Europie Wschodniej powstało okazyłe centrum przeładunkowe na drodze z Państwa Środka do Europy. Chińskie władze zamierzały zainwestować w jego realizację miliardy dolarów. To, jak bardzo polskim władzom miało zależeć na tym projekcie, podkreślał podczas wizyty w 2015 r. w Pekinie prezydent Andrzej Duda, namawiając przedsiębiorców chińskich do inwestowania w Polsce.

„Ta zaskakująca decyzja to niewyobrażalna strata dla rozwoju gospodarczego naszego regionu”, zareagowały władze województwa łódzkiego, które od kilku lat prowadziły rozmowy z Chińczykami i chciały uczynić z miasta ważne ogniwo nowego korytarza transportowego łączącego Chiny z Europą Zachodnią. Chińscy inwestorzy nie komentowali tego wydarzenia. Po prostu spakowali się, w ciągu kilku dni zamknęli łódzkie przedstawicielstwo i obrażeni wrócili do kraju. (...)

Kiedy w Warszawie postanowiono, że Polska nie przystąpi do chińskiego projektu, nie wiedziałem, że ta decyzja odbije się i na mojej inicjatywie.

Nieoczekiwanie mój szanghajska partner ponownie poprosił mnie o spotkanie. Nie miałem pojęcia, jaki mógł być powód. Moje akcje stały wysoko, miałem dobrą prasę we wszystkich krajach na

trasie przygotowywanej wyprawy, pół roku wcześniej spotkałem się z Xi Jinpingem podczas jego wizyty w Polsce. Zdjęcie z uściskiem dłoni nowego „cesarza” Państwa Środka ma tam wielką wartość. „Taka fotografia otwiera wszystkie drzwi w naszym kraju”, zapewniali mnie znajomi Chińczycy.

Yan Xishan przyjął mnie w swoim biurze w dzielnicy Pudong, po prawej stronie rzeki Huangpu. (...) Gospodarz po kilku banalnych i grzecznościowych zdaniach o wszystkim i niczym przeszedł do rzeczy.

Jan Dziedziczak z uwagą wstuchiwał się w moje słowa, bo był kompletnie nieprzygotowany do rozmowy.

– Mam pewien problem – Yan Xishan zaczął oficjalnym tonem. – Z przykrością muszę oznajmić o konsekwencjach wynikających z ochłodzenia ekonomicznych relacji między naszymi państwami. Rząd w Pekinie jest, delikatnie mówiąc, rozczarowany stanowiskiem Polski w sprawie „Belt and Road”. Niedawno doszło do zerwania negocjacji związanych z kluczową inwestycją w Łodzi. Ponieważ jesteśmy związani z kapitałem państwowym, to niestety odbiło się to i na naszym strategicznym partnerstwie. Jak pan wie, od samego początku wierzyłem w ten projekt i go wspierałem, ale to, co się

stało, sprawia, że nie mogę kontynuować naszej współpracy.

Nie była to miła wiadomość. Od ponad roku żyłem wyłącznie organizacją tego przedsięwzięcia. Na otarcie łez Yan Xishan zapewnił życzliwym tonem, że zarząd spółki przewidział pokrzepiający bonus finansowy.

W Warszawie trzeba było całe przedsięwzięcie zaplanować od nowa. Wierzyłem, że dzięki bonusowi wyjdziemy z dołka. Teraz ważne było, aby zaangażować bardziej MSZ. Tak samo uważał Andrzej Karpiński,

mój najbliższy partner organizacyjny, wybitny specjalista od marketingu. Pojedziemy w mniejszym zespole, ograniczymy koszty do maksimum, zrezygnujemy z honorariów.

Do sekretarza stanu w MSZ Jana Dziedziczaka udałem się pełen wiary w instytucję, która, jak by nie było, objęła wyprawę swoim patronatem. Liczyłem na kredyt zaufania, bo kilka lat wcześniej zostałem nagrodzony przez szefa MSZ odznaczeniem Bene Merito w „dowód uznania za istotne osiągnięcia promujące i wzmacniające na różnych polach pozycję naszego kraju na świecie”.

Jan Dziedziczak z uwagą wstuchiwał się w moje słowa, bo był kompletnie nieprzygotowany do tej rozmowy. Apelowalem o parasol ochronny ministerstwa i rzeczową protekcję. Aby uniknąć bezowocnej korespondencji z placówkami dyplomatycznymi, straty czasu i rozczarowania, prosiłem o odwrócenie ról. To nie ja, jak sugerowało MSZ, powinienem zwrócić się z prośbą o współpracę przy ważkim, wielopłaszczyznowym projekcie do ambasad na trasie wyprawy, ale ministerstwo. Zbyt dobrze znam system urzędniczy w instytucjach rządowych, aby liczyć, że ktoś spontanicznie poda mi tam rękę.

Zaproszona na spotkanie zaufana osoba sekretarza stanu, Małgorzata Wierzejska, dyrektor Departamentu Dyplomacji Publicznej i Kulturalnej, cierpliwie czekała na koniec mojego wywodu. Wtedy, nie ukrywając zdenerwowania, napastliwym tonem zwróciła mi uwagę, że nie wyraziłem





Nietuzinkowe spotkanie z nowym „cesarzem” Chin Xi Jinpingiem.

wdzięczności wobec reprezentowanej przez nią instytucji.

– Nasz patronat jest dla każdego wielkim przywilejem, a pan wymaga, żebyśmy jeszcze za pana pracowali. On nie uprawnia organizatorów przedsięwzięcia do tego, by żądać wyjątkowego traktowania w relacjach z ministerstwem.

Nie toleruję dyktantyzmu, a fałszu tym bardziej. Nie mogłem powstrzymać się od ciętej riposty.

– Proszę zaoszczędzić sobie tych pouczeń. Nie, miła pani. Ten patronat nie jest wyróżnieniem, bo nie jadę na wycieczkę turystyczną do Azji. W niebagatelnym stopniu odciążam panią od waszych obowiązków. A pani doskonale wie, że popularyzacja i promocja Polski w waszym wykonaniu nie wygląda najlepiej. Brakuje wam ludzi kompetentnych, z inicjatywą i entuzjazmem. Same deklaracje nie przyniosą Polsce korzyści. Wizerunek naszego kraju dawno nie miał tak niskich notowań.

Zdawałem sobie sprawę, że moja reakcja pogrzebie wszelkie szanse na zachowanie poprawnych relacji, ale nie byłem w stanie przejść nad tym do porządku dziennego. To spotkanie dyrektor zachowała w pamięci i nie zawahała się swoimi intrygami uszyć mi butów. Kiedy potrzebowałem przedłużyć patronat ministerstwa, wyraziła zdecydowany sprzeciw. W konsekwencji otrzymałem z sekretariatu

trzywierszowe pismo: „W imieniu ministra spraw zagranicznych pana Witolda Waszczykowskiego uprzejmie dziękuję za propozycję objęcia patronatem honorowym przedsięwzięcia »Nowy Jedwabny Szlak 2017/2018«. Z przykrością informuję, że pan Minister nie może pozytywnie odnieść się do Pańskiego wniosku”.

Małgorzata Wierzejska zwróciła mi uwagę, że nie wyraziłem wdzięczności wobec reprezentowanej przez nią instytucji.

Od tej chwili stałem się w placówkach dyplomatycznych *persona non grata*. O manipulacjach Małgorzaty Wierzejskiej wiedzą doskonale dyrektorzy podległych jej Instytutów Polskich, które w ciągu dwóch lat potrafiła zniszczyć. Wiadomo, że miała nadzieję na awans, ale jej protektor Jan Dziędziczak nieoczekiwanie został odwołany. Kilka dni później również i ona straciła stanowisko.

I jeszcze jedno. W tym samym czasie w kręgach władzy dzieło no się rządowym sekretem: „Trzeba przyjrzeć się Pałkiewiczowi i jego rosyjskim kontaktom”. Okazało się, że służbom nie podobała się moja znajomość z Siergiejem Szojgu, który w latach 1994–2012 kierował Ministerstwem ds. Obrony Cywilnej, Sytuacji Nadzwyczajnych

i Likwidacji Następstw Klęsk Żywiotowych. Szkoliłem jego instruktorów w ekstremalnych środowiskach na kontynentach afrykańskim i południowoamerykańskim. Spotykaliśmy się niejednokrotnie i bywaliśmy na wspólnych kolacjach. Kiedy w 2010 r. Władimir Putin wyznaczył go na przewodniczącego Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego, tygodnik „Ogoniok” przeprowadził ze mną obszerny wywiad, zwracając szczególną uwagę na to, co bym zrobił na miejscu Szojgu, aby stworzyć towarzystwo geograficzne XXI w. Kilka dni później minister zaprosił mnie na konsultacje. W efekcie kilkugodzinnej rozmowy w dzisiejszym RTG można dopatrzeć się niektórych moich wizji. Wtedy też otrzymałem legitymację członkowską z numerem siedem. Minister spraw zagranicznych Siergiej Ławrow podobno ma numer osiem.

Po nominacji Siergieja Szojgu na ministra obrony Federacji Rosyjskiej moje akcje w oczach niektórych musiały spaść jeszcze bardziej.

Małostkowość, krótkowzroczność, a pewnie i zwykła prywatna uprawiana przez pewnych polityków, pogrzebały plany zorganizowania ekspedycji, która miała przyczynić się do kreowania pozytywnego obrazu Polski we współczesnym świecie. Pozostały

niesmak i świadomość sporych kosztów własnych, zmarnowanego czasu nie tylko mojego, ale i wielu zaangażowanych w przygotowania współpracowników.

Przegrałem. W życiu nie zawsze się wygrywa. (...)

Nikt nie lubi przegrywać. Fiasco mojego projektu nie było jakąś nieistotną kłapą, małym potknięciem, tylko naprawdę bolesnym zawodem. Tym bardziej że nie popełniłem błędów w przygotowaniach, nie można było mi postawić zarzutu złej organizacji czy braku planu awaryjnego. Zawiniły czynniki zewnętrzne, leżące poza moją kontrolą. (...)

Fragmenty książki Jacka Pałkiewicza *pałkiewicz.com*, Świat Książki, Warszawa 2020



Niby Ekstraklasa, a na peryferiach

Mimo fantastycznej oprawy – telewizyjnej i na stadionach – nasi ligowcy zupełnie nie pasują do europejskich salonów



1 października w meczu rundy play-off Ligi Europy UEFA Legia Warszawa przegrała z Karabachem Agdam 0:3.

**Adam Godlewski,
Maciej Polkowski**

Pozytywne skojarzenia z polskim futbolem związane są nie tylko z reprezentacją Kazimierza Górskiego, a później Antoniego Piechniczka i – w mniejszym stopniu – Adama Nawalki. Był przecież wielki Górnik Zabrze, Europa zazdrościła nam Legii Warszawa i Widzewa Łódź. Tyle że to odległa historia. Polski futbol klubowy od wielu lat leży na łożach. I nie zmienia sytuacji pojedyncze wzloty, takie jak występ Legii Warszawa w Lidze Mistrzów w 2016 r. czy tegoroczny start Lecha Poznań w Lidze Europy.

Mistrzowie własnego podwórka

Jesienią 2014 r. zamieściliśmy w PRZEGŁĄDZIE analizę „Dlaczego polska piłka człapie”. Po sześciu latach postanowiliśmy powrócić do tematu. Tak zwany przeciętny kibic z reguły bowiem nie ma

pojęcia, jakie są wpływy i zależności – właściciela, innego podmiotu, spółki Ekstraklasa, wreszcie PZPN. I nikt nie potrafi odpowiedzieć na pytanie, dokąd tak naprawdę zmierzamy. Nasze zespoły (może ostatnio nie licząc Lecha) cierpią na charakterystyczną przypadłość – żadną racjonalną miarą nie da się określić ich sposobu gry. O stylu nawet nie wspominając, bo wspólnym wyróżnikiem jest jego brak. Dlatego stawką od wielu lat jest dążenie do mistrzostwa, ale wyłącznie własnego podwórka.

W obejmującym 55 pozycji rankingu UEFA, budowanym przez wszystkie kluby z danego kraju, Polska zajmuje dziś 30. miejsce. Obok takich „potęg” jak Rumunia, Węgry, Słowenia, Lichtenstein czy Litwa. Nie może być jednak inaczej, skoro w trzech minionych sezonach PKO BP Ekstraklasa nie była w ogóle reprezentowana w zasadniczej fazie europejskich rozgrywek. Nawet mistrz Polski nie przebrnął czterostopniowych kwalifikacji. Co ciekawe, okazywał się słabszy od rywali z Kazachstanu,

Mołdawii, Słowacji, Luksemburga i Białorusi. W tym roku musiał uznać wyższość Cypryckich i Azerów. Zachód odjechał naszym klubom już dawno temu, potem plecy pokazał bogaty Wschód, a teraz robią to nawet średniacy. Powinno to trwożyć sterników naszego futbolu. Ci jednak samopoczucie wciąż mają dobre. Albo – jak szef PZPN Zbigniew Boniek – umywiają ręce, twierdząc, że piłka klubowa nie pozostaje w zasięgu ich działania. Co jest oczywiście nieprawdą.

Piękna historia budowana na klubach

Dobrym PR, w którym specjalizują się zarówno PZPN, jak i Ekstraklasa SA, próbuje się przykryć wszelkie niedostatki. Te jednak boleśnie obnażają każdego lata coraz bardziej egzotyczni przeciwnicy. I ta karygodna beztroška władz futbolowych dziwi, gdyż trudno nie dostrzec, że dobre wyniki reprezentacji niemal zawsze korespondowały

z sukcesami klubów. Zanim przecież Orły Górskiego podbiły świat na igrzyskach olimpijskich w Monachium (1972) i mistrzostwach świata w Niemczech (1974), Górnik Zabrze awansował do finału Pucharu Zdobywców Pucharów, Legia Warszawa zaś do półfinału Pucharu Europy Mistrzów Krajowych. Na bazie tych klubowych sukcesów i zdobytych przez zawodników międzynarodowych doświadczeń trener Górski ułożył drużynę narodową – jak się okazało, jedną z najsilniejszych na świecie. Gdy Piechniczek wraz z biało-czerwonymi doszedł do półfinału mundialu w Hiszpanii (1982), Widzew Łódź zameldował się w półfinale PEMK. W połowie lat 90. srebrni medalści olimpijczy z Barcelony (1992) z kadry Janusza Wójcika w istotny sposób pomogli w budowie silnych zespołów Legii i Widzewa, które awansowały wówczas do elitarnej Ligi Mistrzów.

W najlepszym w bieżącej dekadzie dla polskiej piłki roku 2016, gdy reprezentacja Nawałki dotarła do ćwierćfinału Euro we Francji, Legia – wprawdzie bardzo szczęśliwie, ale zawsze – awansowała do fazy grupowej Champions League. A spoiwami tych dwóch zespołów byli obrońcy – Michał Pazdan i Artur Jędrzejczyk (oraz Tomasz Jodłowiec). Natomiast dziś reprezentacja i kluby to dwa bardzo odległe, a w zasadzie zupełnie różne byty. Kadra Jerzego Brzęczka, na którą kibice narzekają z powodu brzydkiej gry i notorycznego – do października – braku stylu, jest notowana na 18. pozycji w światowym rankingu (wśród 210 klasyfikowanych przez FIFA). Oparta jest jednak głównie na piłkarzach występujących w klubach zagranicznych. I rozpaczliwie potrzebuje świeżej krwi, którą mogą zapewnić – zwłaszcza po otrząśnięciu się w Lidze Europy, gdzie zrobili dobry początek – młodzi gracze Lecha. Tyle że przypadek poznańskiego Kolejorza jest całkowicie odosobniony. Drużyna z Bułgarskiej prezentuje zupełnie inny futbol niż pozostałe w Ekstraklasie. Atrakcyjny, techniczny, ofensywny. Jest zaprzeczeniem reguł stosowanych w krajowej lidze, w której największy mankament – co podkreśla były selekcjoner kadry U-21, a obecnie szkoleniowiec Legii, Czesław Michniewicz – stanowi brak regularnych

kontaktów z poważną zagraniczną piłką klubową. Co jest delikatnym określeniem faktycznego zacofania polskich drużyn.

Były znany trener i wykładowca Grzegorz Polakow już od lat twierdzi to samo: – Polska piłka nożna przeszła w powojennej historii liczne zmiany organizacyjne systemów gry, szkoleniowych. Zastanawiam się, z jakiej przyczyny kiedyś mogliśmy odnosić znaczące sukcesy „z niczego”, a dziś, mając tylu naukowców i coraz liczniejsze grono superświatłych trenerów, nie jesteśmy w stanie podjąć wysiłku opracowania programu „polskiej szkoły gry w piłkę nożną” opartej na naszych predyspozycjach psychofizycznych.

Czwarty europejski świat

Kryzys polskiego futbolu klubowego nie zaczął się wczoraj, nawet nie w momencie, kiedy stery w PZPN przejmował (ustępujący w sierpniu przyszłego roku) prezes Zbigniew Boniek. Ten stan trwa od lat. Nie zmieniła go organizacja w naszym kraju finałów Euro 2012. Totalnie odmieniła ona natomiast infrastrukturę

Nawet w najlepszych zespołach brakuje indywidualności, które powinny decydować o poziomie narodowej jedenastki.

stadionową, pod tym względem nasz kraj plasuje się obecnie w ścisłej europejskiej czołówce – a w niektórych raportach nawet na podium, za Turcją, *ex aequo* z Rosją. Potrafimy też świetnie opakować i pokazywać rozgrywki. Tyle że mimo fantastycznej oprawy – telewizyjnej i na stadionach – nasi ligowcy jak wcześniej nie pasowali, tak nadal zupełnie nie pasują do europejskich salonów. Od przekształcenia Pucharu UEFA w Ligę Europy (sezon 2009-2010) tylko trzy polskie zespoły zdołały przebić się do fazy grupowej tych rozgrywek – Legia (cztery razy), Lech Poznań (trzykrotnie) i Wisła Kraków (raz). A każdorazowo do eliminacji przystępują czterej najlepsi przedstawiciele krajowego futbolu. Czyli na 48 pucharowych szans wykorzystanych zostało ledwie dziewięć – bo raz w tym okresie Legia awansowała jeszcze do Champions League, czyli bardziej prestiżowego z europejskich pucharów. W osobnym

rankingu UEFA, uwzględniającym siłę poszczególnych klubów, Legia jest dziś notowana na 83. pozycji, Lech zajmuje 170. miejsce, a Piast Gliwice, mistrz Polski z 2019 r. – 269. Następne – już w czwartej setce.

Polski futbol klubowy sięga jedynie po okruchy ze światowego rynku transferowego, nie potrafi też dobrać się do finansowego tortu, którym częstuje UEFA. Co prawda, pieniądze w piłkę nie grają, ale nie da się ukryć, że przy braku sukcesów w pucharach polski futbol staje się coraz uboższym krewnym nawet uważanych za średnie lig europejskich. Kibice złoścą, że piłkarze w naszych drużynach są przepłacani, ale z raportu „Piłkarska liga finansowa – rok 2019” opublikowanego w ubiegłym tygodniu przez renomowanego audytora Deloitte (zresztą wspólnie z Ekstraklasą SA) jasno wynika również, że kluby są źle zarządzane. A przede wszystkim nieefektywnie. Kontrakty zawodników pochłaniają lwią część budżetów, tymczasem wpływy klubów są śmiesznie niskie w porównaniu z europejską konkurencją. W minionym sezonie kluby PKO BP Ekstraklasy wygenerowały

przychód w wysokości 133 mln euro. Ligi działające w znacznie mniejszych od polskiej gospodarkach mogą się pochwalić zupełnie innymi wynikami: Portugalia – 440 mln euro, Belgia – 344, Austria – 256, a Dania – 198. Jak się okazuje, można. Tylko trzeba umieć.

Swego czasu natrafiliśmy na ciekawą diagnozę Norberta Gałązki (Prokapitalizm.pl): „Patrząc na najwyższy poziom rozgrywek futbolowych w Polsce, dostrzegamy nowoczesne i ładne obiekty, które po okresie względnie sporego zainteresowania zaczęły świecić pustkami. Niewątpliwie największy wpływ ma jakość i poziom widowiska. Jeżeli kibicowi każe się płacić grube pieniądze za oglądanie kogoś kopiącego niewiele lepiej niż on sam, to efekt jest taki, że pieniądze te w przyszłości trafią na inne cele. Bez nakładów finansowych od najważniejszego sponsora, jakim jest kibic, całokształt organizacyjny, choćby nawet zasilany kwotami z tytułu ▶

► praw telewizyjnych czy umów sponsorskich, nie ma racji bytu, a przynajmniej nie na najwyższym poziomie, jakim jest piłkarska Ekstraklasa. Nie rozumieją tego chyba prezesi naszych sportowych organizacji i podpisują niebotyczne kontrakty z kimś, kto po prostu nie jest tego wart. Piłkarski rynek w Polsce jest zepsuty do szpiku kości. Garstka najwierniejszych sympatyków ogląda wysoko opłacanych niby-specjalistów w swojej dziedzinie. Żeby nie być gołosłownym, wystarczy spojrzeć na średnią frekwencję nowych obiektów i zauważyć, że zapełniają się one w połowie albo i jeszcze mniej”.

Kto chce pracować – na lewo

Jaki jest poziom naszej najwyższej ligi, zwanej pompacyjnie Ekstraklasą, każdy widzi. Następujące po sobie kolejki są bliźniaczo podobne: jedno, dwa spotkania na niezłym, czasem nawet na dobrym poziomie. Reszta smutna i nijaka, bez wyrazu i kolorytu, często z ledwie jednym celnym strzałem na bramkę (choć częściej z kilkoma) w wykonaniu każdego zespołu. Ot, siermiężny wyróżnik obecnych czasów, znaczeniowy statystykami, liczbami, mierzaniem przebiegniętych przez piłkarzy kilometrów. W liczeniu jesteśmy nawet nieźli; gorzej, i to znacznie, wypadamy, jeżeli porównamy dystanse przemierzone przez drużyny na polskich boiskach z niemiecką Bundesligą czy angielską

Premier League. Bo jakości porównywać nie ma nawet sensu. A choć już jest bardzo źle, poprawę ma zapewnić – zdaniem prezesa PZPN, który przeforsował tę nieprzemyślaną reformę, entą w bieżącej dekadzie, wbrew środowisku ligowemu – rozszerzenie od przyszłego sezonu liczby drużyn w Ekstraklasie z 16 do 18.

Polski futbol klubowy sięga po okruchy ze światowego rynku transferowego.

Mimo zauważalnego niedopasowania pierwszoligowych beniaminków do tzw. krajowej elity. W ostatnich trzech sezonach z sześciu zespołów, które wywalczyły awans, cztery już po roku wróciły na drugi poziom rozgrywek. Bo im dalej w las, tym drastyczniej możliwości finansowe, a co za tym idzie klasa drużyn, się obniżają.

Nawet w najlepszych naszych zespołach brakuje indywidualności, które powinny decydować o poziomie jedenastki. Kiedyś każda drużyna miała pięciu, sześciu zawodników ze znakiem jakości. I co najmniej dwóch, którzy potrafili zdobywać bramki bezpośrednio z rzutów wolnych. Teraz często nie ma choćby jednego z takimi umiejętnościami. Niekorzystnie na rozwoju krajowego futbolu odbiło się sprowadzanie zagranicznych graczy wątpliwej wartości. W pewnym momencie kluby były wręcz skazane – po wprowadzeniu przez PZPN szkodliwego limitu dla piłkarzy spoza

Unii Europejskiej – na podstarzałych Słowaków, Węgrów, Chorwatów czy tych z Półwyspu Iberyjskiego. Były selekcjoner reprezentacji Polski, Wojciech Łazarek, już od lat mówi, że nasz ligowy futbol jest krainą daleko posuniętego absurdu, w której mamy do czynienia ze ślepym optymizmem i gorzkim pesymizmem. – Miało być

lepiej, tymczasem jest gorzej – stwierdza. – Wyższy poziom, którego oczekujemy, nie wybuchnie od przypadkowej iskry. Mu-

simy to zapalić, przede wszystkim ograniczyć atmosferę poklepywania się po plecach na rzecz ciężkiej pracy. Potrzebą chwili jest właśnie mozolna praca. Kto chce pracować – na lewo, kto nie – niech idzie, gdzie chce.

Nam szkolić nie kazano

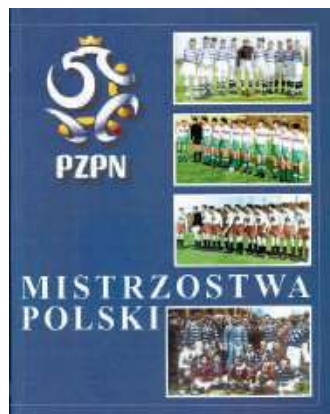
Jedną z podstawowych bolączek krajowego futbolu jest to, że nie kształcimy wystarczająco wielu dobrych trenerów. Miejsca na kursach w szkole przeniesionej z Warszawy do Białej Podlaskiej są drogie i reglamentowane. Dodatkowo PZPN zamknął ten zawód przepisem nakazującym zatrudnianie w trzech najwyższych ligach wyłącznie specjalistów z licencją UEFA Pro. Tych zaś na rynku pojawia się 20 raz na półtora roku. Co zabi-ja w zasadzie wszelką konkurencję, a w ślad za tym wywołuje stagnację w rozwoju całego sektora.

Do szkolenia młodzieży, takiego z prawdziwego zdarzenia, większość klubów wzięła się dosłownie wczoraj. Nic dziwnego, że nie dając realnej szansy rozwoju młodym polskim zawodnikom, dziś pod względem wychowywania takomych kasków dla europejskiego rynku transferowego jesteśmy prowincją. I tu dochodzimy do istoty problemu polskiego futbolu, który można sprowadzić do starej ludowej mądrości: Czemuś biedny – boś głupi. A czemuś głupi – boś biedny.

Przyczyny piłkarskiej słabości można rozkładać na czynniki pierwsze. Dogłębną analizę tego społecznego i gospodarczego fenomenu zamierzamy przeprowadzić na łamach PRZEGŁĄDU w najbliższych tygodniach. Do lektury zapraszamy nie tylko zdeklarowanych sportowych kibiców.

Adam Godlewski,
Maciej Polkowski

KSIAŻKA



*Mistrzostwa Polski.
Dzieje rozgrywek o najwyższy
laur w polskim futbolu 1920-2020,
Wydawnictwo GiA,
Katowice 2020*

PIŁKARSKI FENOMEN

I znowu rarytas. Andrzeja Górawskiego i jego ekipę z katowickiego wydawnictwa GiA wszyscy interesujący się piłką nożną powinni ozłocić. A Zbigniew Boniek i PZPN uhonorować ekstratablicą w siedzibie związku. Na stulecie Mistrzostw Polski mamy bowiem kolejną historię piłki i znakomicie opracowany tom – „Mistrzostwa Polski. Dzieje rozgrywek o najwyższy laur w polskim futbolu 1920-2020” właśnie.

Historia polskiej piłki nożnej to ważna część narodowej tożsamości, życiorysów Polaków i wzruszeń wszystkich pokoleń. Każdy, nawet najmniejszy klub, ma swoich sympatyków. A te najstarsze chlubią się sztafetą wiernych kibiców od początku XX w.

Największym wymarzonym trofeum dla piłkarzy, trenerów, działaczy, samorządowców i kibiców jest puchar za mistrzostwo Polski. Zobaczmy więc, jak pięknie było. Z nadzieją, że znowu będzie.

/jed/

Rau jest zmęczony

Z relacji ludzi, którzy spotykają się z ministrem Rauem, przychodzą do niego w różnych służbowych sprawach, wynika, że przechodzi on kryzys. Natury egzystencjalnej. Bo zaczyna zdawać sobie sprawę z własnego imposybilizmu. Intelktualnego. Wygląda to tak, że gdy pojawia się u niego dyrektor departamentu z jakąś ważną sprawą, z papierami i prośbą o decyzję, Rau macha ręką i woła: Co mnie to obchodzi, ja się na tym nie znam! Proszę dać mi spokój, ja tu przyszedłem nie po to, żeby rozwiązywać jakieś sprawy, ale żeby tu, w MSZ, zrobić porządek!

O jaki porządek chodzi, wszyscy wiedzą – ma wyrzucić urzędników niepewnych i budować nowy, pisowski korpus służby zagranicznej. Takie jest zamierzenie, ale na razie Rau z wyrzucaniem przyhamował. Nie, nie dlatego, że zmienił zdanie, ale dlatego, że w kierownictwie MSZ boją się, że wyrzucani pracownicy udadzą się do sądu i tam wygrają powrót do pracy. Trzeba więc wyrzucić ich skutecznie.

A jeśli chodzi o działania, do realizacji których MSZ zostało powołane, czyli politykę zagraniczną? W tej dziedzinie Raua ratuje epidemia koronawirusa – bo nie musi już nigdzie jeździć, niczego negocjować, podpisywać, ministerstwo zatem trwa w półuśpieniu, a minister i jego zastępcy mogą trwać w przeświadczeniu, że czymś kierują.

Mogą też, gdy pyta się ich o inicjatywy na najbliższe miesiące, opowiadać banały. Tak jak wiceminister Piotr Wawrzyk, który pytany o plany MSZ na rok 2021 opowiadał, że jest to rozwój kontaktów w ramach NATO, czyli „wzmacnianie obecności wojskowej Stanów Zjednoczonych w Polsce i w Europie oraz implementacja polsko-

-amerykańskiej umowy o wzmożonej współpracy obronnej”. Tak oto MSZ wchodzi w buty MON.

A dalej? Dalej, to też mówił Wawrzyk, Polska ma zamiar rozwijać „współpracę regionalną w zakresie polityki bezpieczeństwa z Rumunią i Turcją w formule trilogu oraz dwustronnie, jak również współpracę z państwami nordyckimi i bałtyckimi oraz krajami Grupy Wyszehradzkiej”. No i przygotowywać się będzie do objęcia przewodnictwa w Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie.

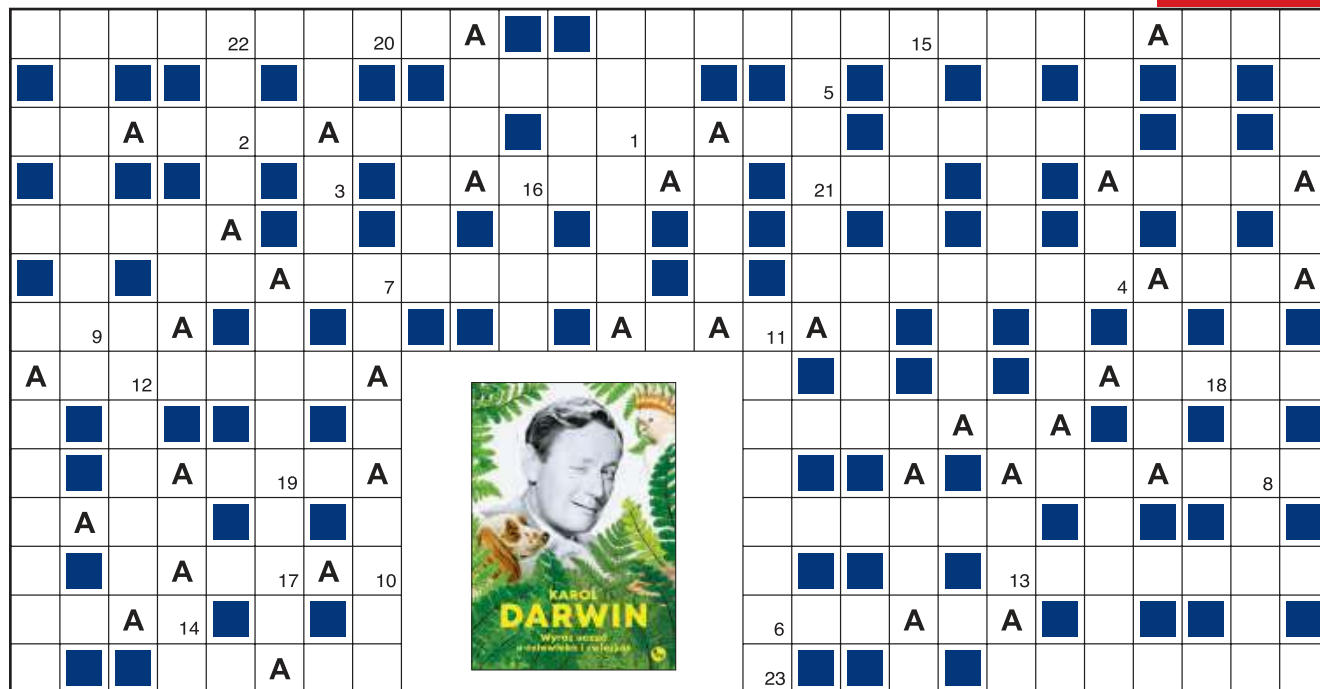
Delikatnie rzecz ujmując, to nie są nadmiernie ambitne zadania. Za to wyglądają jak nakreślone na możliwości ministerstwa. Tak jak chociażby przygotowania do obchodów 30-lecia powstania Trójkąta Wyszehradzkiego, dziś zwanego V-4. Czyli co konkretnie MSZ planuje? Pytany o to w Sejmie minister Wawrzyk odparł, że nie może powiedzieć, bo, po pierwsze, trwają jeszcze w MSZ prace nad inicjatywami, które 30-lecie mają uświetnić, a po drugie – nie wiadomo, co będzie się działo z epidemią COVID-19, a więc czy jakiegokolwiek spotkania, koncerty itd. będą w ogóle możliwe do przeprowadzenia.

Tak oto Zbigniew Rau ma kolejną okazję, by sprawy odwlec, odłożyć na później albo i na święty nigdy. I taka sytuacja zaczyna mu odpowiadać. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie ci dyrektorzy, którzy przychodzą, pytają, stale czegoś chcą. Zupełnie bez sensu – oni myślą, że w ten sposób uda im się pokazać, jacy są zapracowani, kompetentni i jak się starają. Jakby nie rozumieli, że nie o to chodzi, a co do ich karier, to nie te umiejętności, o których myślą, będą odgrywać jakąś rolę.

Attaché

Czy wiara katolicka jest w stanie zatopić prawa kobiet? „Dopełnienie” rzeźby Jerzego Kaliny przez grupę aktywistek po orzeczeniu TK.





1	2	3	4	5	6	7	8	9
---	---	---	---	---	---	---	---	---

10	11	12	13	14	15
----	----	----	----	----	----

16	17	18	19	20	21	22	23
----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery A ujawniono. Litery z pół ponumerowanych od 1 do 23 tworzą końcowe hasło.

- motyw roślinny na głowicy korynckiej
- dobrze, jeśli wartka w filmie
- tkanina, symbol miękkości i gładkości
- istotna w sali koncertowej
- rodzaj klamry budowlanej i dawna klamra u pasa

- władzy, urzędniczy lub partyjny
- pierwszozoligowcy z Gdyni
- biała w tytule piosenki Bajmu
- brak proporcji, niewspółmierność
- czarny lub pisma
- tkanina na ubrania robocze

- drag umocowany do przedniej części furmanki
- zesłano na nią Napoleona w 1814 r.
- przesadna emocjonalność, nacisk w intonacji
- i kraj w kraju, i bezpieczne miejsce
- futeł na coś drobnego i delikatnego
- Lewis, sześciokrotny mistrz świata Formuły 1
- „...w opałach” z Anną Guzik
- tuja lub jałowiec
- dźwięk wydany pod wpływem bólu
- kompan rubasznie, pejoratywnie
- jedzenie lub nabywanie towarów
- wymienianie z kimś listów. meili

- ...Dejaniry
- chlebowy – do picia
- do chodzenia po domu (regionalnie)
- nie zna się na rzeczy
- kolorowy pas na spodniach munduru
- przywódca zbuntowanych aniołów
- ...Maria Gonzaga, królowa Polski w XVII w.
- „Niech... będzie z tobą” w „Gwiezdnym wojnach”
- nagrał album „Enigmatic”
- utrata sił, niezdolność do czynu
- zmiana lub uzupełnienie obowiązujących ustaw
- w wannie zatykany korkiem
- odrobina chleba, ciasta
- miejsce akcji „Dżumy”
- największy przedstawiciel rodziny delfinowatych
- podobny do kilofa

- kolorowa taśma wokół czapki żołnierskiej
- banknotów lub tekstowy
- dieta go nie odchudza
- śmierć z olówkiem za uchem
- ojciec ojca ojca
- łoskot, łomot
- tęsknota melodii
- tylko potocznie o pani w todzie
- naprawi szpilki
- stawiać pod nią – zmuszać
- na nim siedzi leń w wierszu
- Syrena lub Komedia w Warszawie
- można go wziąć, wnieść, odsprzedać
- ze Słupskiem tworzy Dwumasto
- wilczyca
- zniszczył mienie, dobra kulturalne
- jego jest
- vocativus
- ...130, ciężarówka z Moskwy



KUPON JOLKI „Przeglądu”

haslo:

.....
 imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jakiejś „Przełknięcie” opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowoli podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-985”. Do rozlosowania książki „Wyraz uczuć u człowieka i zwierząt” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązania można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 8 listopada 2020 r.

Rozwiązanie „JOLKI-982” z nr. 42: Kto pyszny, budzi niesmak.
Nagrody otrzymują: Andrzej Bas z Krakowa, Anna Dymalska z Wrocławia,
Irena Koczoł-Markiewicz z Dobrzan.

PENETRACJE

DZIENNIK
GAZETA PRAWNA

DR PAWEŁ
GRZESIOWSKI,
LEKARZ IMMUNOLOG

Na początku byłem bardzo pozytywnie nastawiony do nowego ministra zdrowia Adama Niedzielskiego, a w tej chwili jestem załamany, bo jego podejście jest technokratyczno-policyjne. Nie widzę w tym człowieku żadnej emocji, myślenia o tym, że medycy to ludzie. Tylko zmuszanie i karanie. Zaraz się przekonamy, że na dłuższą metę to nie daje efektów. Ten, co cokolwiek wie na temat zarządzania kryzysowego, zdaje sobie sprawę, że najważniejsze w tej dziedzinie jest zaufanie.

odra

PROF. KATARZYNA
CHAŁASIŃSKA-MACUKOW,
BYŁA REKTOR UW

Jestem gorącym zwolennikiem ograniczenia liczby studentów, ponieważ uważam, że przy tak ogromnej ich liczbie my ich po prostu oszukujemy, nie dając prawdziwego wykształcenia. Jestem zwolennikiem uczelni badawczych. Powinno ich być jak najwięcej, przy takim kryterium „badawczości”, jakie mamy w tej chwili. Jest to sposób na podniesienie jakości szkół wyższych. Nie ulega wątpliwości, że nie możemy mieć samych uczelni badawczych, kształcących przedstawicieli najwyższej elity, musimy kształcić ludzi światłych, którzy będą pracować i działać na każdym poziomie życia społecznego.

zwierciadło

AGNIESZKA
HOLLAND,
REŻYSERKA

Dla mnie największą tajemnicą jest dobro, szlachetność i odwaga, bo to o wiele trudniejsze niż konformizm, układanie się z życiem na swoich warunkach. Ci, którzy wybierają dobro, są dla ludzi jakoś podejrzani. Podejrzany jest altruizm, podejrzana jest odwaga. Czy dobro podszyte jest jakimś cieniem? Myślę, że tak, ale mnie zawsze fascynowały postaci, w których gen odwagi i szlachetności zwycięża. Bo to wcale nie łatwe, po drodze jest bardzo dużo różnych pułapek.

URODA

ANNA
JURKSZTOWICZ,
PIOSENKARKA

O #MeToo to ja już 35 lat temu nagrałam piosenkę „Dziękuję, nie tańczę”. Jacek Cygan ją napisał, ja zaśpiewałam. To jest o podrywaniu w show-biznesie i robieniu kariery przez łóżko. Było powszechne, że do pracy zapraszało się kobiety, które można było wykorzystać seksualnie. Jeszcze jeśli to był romans, przynajmniej w grę wchodziło jakieś uczucie. Samo wykorzystywanie kobiet było jednak obrzydliwe. Reżyser czy inny prominentny mężczyzna mógłby sobie zaprosić panią, która zawodowo zajmuje się takimi sprawami, a nie zmuszać aktorki.

Aby język giętki...

WOJCIECH PSZONIAK
O JAROSŁAWIE KACZYŃSKIM

Bije z niego straszna nienawiść, którą musi skanalizować. Otoczył się miernotami.

ANDRZEJ SEWERYN
O WOJCIECHU PSZONIAKU

Miał odwagę zabierać głos w sprawach publicznych. Bardzo żałował tego, co się dzieje dzisiaj w Polsce.

PROF. MARCIN KRÓL O DEMOKRACJI

Odrodzi się tylko dzięki ruchowi oddolnemu, który sam ukształtuje swoje elity polityczne i wszelkie inne.

PROF. MAGDALENA ŚRODA
O ROMANIE GIERTYCHU

Jest coś bezwstydnego w jego gwiazdorskiej aktywności. „Poglądy można zmieniać, ale nie można być panną młodą na każdym weselu”.

LECH JANERKA O TELEWIZJI

Oglądasz niektóre rzeczy i nie możesz uwierzyć, że ktoś to mówi. Słowo się po prostu zdegenerowało.

RENATA PRZEMEK O MUZYKACH

Jest wielu sensownych facetów, którzy mądrze korzystają z tego, że mają oczy do patrzenia i uszy do słuchania.

MAGDALENA ZAWADZKA
O GUSTAWIE HOŁOUBKU

Uwielbiał oglądać sport w telewizji i grać w karty w doborowym towarzystwie.

KRZYSZTOF VARGA
O KRZYSZTOFIE MASŁONIU

Czymże, jak nie przemienieniem, jest jego długa droga od „Sztandaru Młodych” do „Do Rzeczy”, od medialnej pracy dla socjalistycznej ojczyzny do pracy dla ojczyzny narodowo-katolickiej?

FILIP BAJON O ŻONIE MARZENIE

Dzięki mnie pokochała malarstwo Paola Uccella. Wczesnorenesansowe malarstwo florenckie to teraz nasza pasja.

KATARZYNA ŻAK
O MAŁŻEŃSTWIE Z CEZARYM

Najważniejsze jest poczucie humoru i umiejętność obśmiania konfliktów.



Ananasowe morze na targu w Tangail w Bangladeszu.

FOT. BEWPHOTO

Straszliwy, straszliwy jest cały

Powstał prawdopodobnie pierwszy na świecie horror dla kotów, a złowrogą siłą czyhającą na rudego protagonistę jest w nim... ogórek. Mowa o czterominutowej animacji firmowanej przez Temptations, kanadyjską markę przysmaków dla mruczków. Twórcy tłumaczą, że w internecie można znaleźć wiele filmów, na których koty reagują strachem na ogórki umieszczane w pobliżu ich misek. Zwierzęta postrzegają to miejsce jako wyjątkowo bezpieczne, dlatego nagle pojawienie się tam obiektu przypominającego węża przeraża je do szpiku kości. Brzmi upiornie, straszniejszy jest chyba tylko Ogórek nawiedzający TVP Info.

Trafił swój w swego

W Przystajni w okolicach Częstochowy pijany kierowca audi nieposiadający prawa jazdy zderzył się z pijanym kierowcą audi nieposiadającym prawa jazdy. Wstępne ustalenia wskazują, że przyczyną kraksy było wymuszenie pierwszeństwa podczas wyjeżdżania z terenu posesji. Obaj kierowcy przeżyli, ale inicjator wypadku – 26-letni mieszkaniec gminy Przystajń – z urazami nogi i głowy trafił do szpitala w Częstochowie. Łeższe obrażenia odniósł 28-latek z gminy Panki, notabene nieco mniej nietrzeźwy. Nieodpowiedzialni sympatycy niemieckiej motoryzacji oraz promili muszą się liczyć z zarzutami karnymi.

...musisz bluzgać jak i one

Pięć papug popielatych z brytyjskiego ośrodka dla dzikich zwierząt zostało usuniętych z widoku publicznego ze względu na wyjątkowe zamiłowanie do nieprzystwoitego słownictwa. – Baliśmy się, jak zareagują odwiedzające nas dzieci – oświadczył Steve Nichols, pryncypał Lincolnshire Wildlife Park. Tłumaczy, że ptaki, które wspólnie odbywały kwarantannę, podsłuchiwały personel placówki i tak na-



uczyły się niecenzuralnych wyrazów. Ich popisy wywoływały wśród pracowników salwy śmiechu, co ptaki również zaczęły naśladować. – Jedna rzucała przekleństwo, reszta się śmiała, co je wzajemnie nakręcało – wyjaśnił Nichols. Aby zapobiec ich dalszej demoralizacji, Eric, Jade, Elsie, Tyson oraz Billy zostali rozdzieleni. – Mam nadzieję, że teraz nauczą się różnych słów. Ale jeśli to oni nauczą inne papugi wulgaryzmów i skończą z 250 przeklinającymi ptakami, to nie wiem, co zrobić – wyznał dyrektor.

Recydywyświadywanie

Karygodnie zachowała się również homoseksualna para pingwinów przylądkowych z ogrodu zoologicznego w holenderskim Amersfoort. Zaślepieni marzeniem o własnym potomstwie panowie Tux i Flipper ukradli jaja swoim koleżankom lesbijkom i na zmianę je wysiadują. Warto podkreślić, że te same osobniki dopuściły się podobnego czynu w zeszłym roku, przy czym wówczas poszkodowana została rodzina hetero. Wysiłki kidnaperów mogą jednak okazać się bezowocne, gdyż istnieje spore prawdopodobieństwo, że jaja odebrane córom Safony nie są zapłodnione. Tak czy inaczej, cywilizacja śmierci zakorzeniła się w Niderlandach na dobre.

Głos(owanie) z zaświatów

W oryginalny sposób poinformowano lokalną społeczność o śmierci i planowanym pogrzebie 93-letniej Georgii May Adkins z Inver Grove Heights w stanie Minnesota. „Zamiast otrzymać kwiaty, Georgia wolałaby, abyście nie głosowali na Trumpa”, można było przeczytać w nekrologu. Niepowszednia prośba zyskała rozgłos w mediach społecznościowych i podzieliła opinię publiczną. Głos zabrała również potomkini zmarłej, Amber





Pasażer na gapę czy celowa pomoc? Jelonek z Parku Narodowego Ranthambore w Radżastanie i dziwogon oraz niedźwiedzia mama z Parku Narodowego Lake Clark na Alasce.

Westman, która oznajmiła, że jej babcia była zaciekle każdego dnia ziemskiego życia – i taka pozostanie.

Im strzelać nie kazano

Rzadko spotykany wynik, 37:0, padł w spotkaniu 11. ligi niemieckiej. Efektowna wyjazdowa wygrana SV Holdenstedt II nad SG Ripdorf/Molzen II nie była jednak skutkiem taktycznej dominacji. Przeciwno przyjezdnej jedenastce gospodarze wystawili do gry zaledwie siedmiu zawodników, czyli minimalną liczbę dopuszczaną przepisami. Co więcej, podczas rozgrywki nie zbliżali się oni do rywali na bliżej niż 2 m. Powodem była pogłoska, że gracze Holdenstedt mieli kontakt z osobą zakażoną COVID-19. – Jesteśmy wdzięczni tym siedmiu piłkarzom za zgłoszenie się na ochotnika. W przeciwnym razie klub musiałby zapłacić 200 euro kary za niestawienie się na mecz. To dla nas duża kwota, zwłaszcza w czasie pandemii – wyjaśnił działacz pokonanej drużyny.



FOT. FB/ANONIMOWYINTERNUTA (2), PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ,
PATTIE WALSH/SOLENT NEWS/EAST NEWS, COVER IMAGES/EAST NEWS



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego: Robert Walenciak
e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego
– sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),
Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna
(Zielona Góra), Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn),
Helena Leman (Malbork), Maja Markłowska-Dzierżak,
Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek,
Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikula,
Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,
Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest,
Bronisław Tumiliłowicz, Krzysztof Wasilewski,
Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,
Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski,
Edward Mikołajczyk, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki,
Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka,
Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotodzytży: Magdalena Głuska,
Karina Krystosiak, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Katarzyna Chlečka
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtuską 120

WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Spotkanie



Pomiędzy latem a jesienią

Ta malarka nieśpiesznie podąża własną drogą. Jest czuła wobec człowieka, uważna na niuanse światła i cienia, wrażliwa na kolor. „Zawsze inspiruje mnie fragment realnego świata – mówi. – Światło, które koncentruje się wokół postaci i przedmiotu, plama barwna i linia – zamknięte w statyczną formę opowiadają historię trwania. Historię egzystencji czerpiącej radość z drobnych szczęśliwych chwil, z przyjemności czytania, z dobrej wiadomości, z zamyślenia, myślenia i słuchania muzyki”. Obrazy Anny Karpowicz-Westner emanują spokojem, zmysłowością i niepowtarzalną atmosferą.

Galeria Sztuki Wirydarz – Piotr Zieliński
Lublin, ul. Grodzka 19
do 30 listopada

Ulotność

Anna Karpowicz-Westner



El abanico de Teresa



A w tym lesie mroczny cień

JESTEŚMY SĄSIADAMI. RAZEM MOŻEMY POKONAĆ EPIDEMIĘ

Wszyscy mamy trudny czas. Martwimy się o zdrowie, o bliskich, o pracę – ale wierzymy, że wkrótce będzie lepiej. Dookoła mieszkają **życzliwi ludzie**. Uśmiechnijmy się do siebie!

Jesteśmy grupą sąsiadów, która **uruchamia wspólnotę na naszym piętrze**. Będziemy współdziałać, by wszystkim było lepiej. **Chcesz się przyłączyć? Potrzebujesz pomocy?**

WYTNIJ
I POWIEŚ W TWOIM
SĄSIEDZTWIE

CO MOŻEMY ROBIĆ:

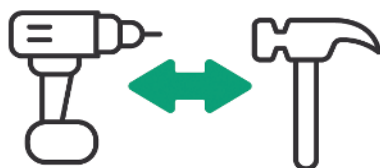
Wspólne zakupy,
by obniżyć
ryzyko zarażenia
wirusem



Rozmowy
sąsiedzkie,
by utrzymać
kontakty



Pożyczanie
narzędzi
do drobnych
napraw



Zajęcia zdalne
dla dzieci,
by odciążyć
rodziców



Zadzwoń albo napisz, byśmy mogli nawiązać kontakt.
Zrób zdjęcie naszych numerów.

Imię, numer mieszkania, numer telefonu

Imię, numer mieszkania, numer telefonu

Imię, numer mieszkania, numer telefonu

teatr powszechny

Teatr, który się wtrąca



Martwa natura

**Adamczyk, Artman, Atman,
Bożek, Czachor, Jakimiak,
Januszaniec, Keil, Nowacka,
Nowacka, Stoczyński, Wolińska**

**prapremiera: 7 listopada 2020
kolejne pokazy: 8, 10 i 11.11**

Martwa natura to zbiór elegii, które pozwalają nam nie tyle przepracować stratę, ile uświadomić sobie, co niesie ze sobą świadomość braku i nieobecności. Być może świat, który znamy, zaczyna odchodzić w niepamięć, ale stworzenie nowego porządku – społecznego, instytucjonalnego, artystycznego – będzie trudne do przeprowadzenia, jeśli nie będziemy wiedzieć, z kim i z czym musimy się pożegnać.

Joseph Beuys – aktywista i niepokorny artysta, nieugięty rzecznik troski o środowisko naturalne – stanowi punkt wyjścia dla wędrówki po tych terytoriach sztuki, które są podejrzewane o właściwości terapeutyczne.

patroni
mediów

wyborcza

wyborcza.pl
WARSZAWA

co jest granicą

Przebieg

Spektakl w ramach projektu Beuys
dzięki wsparciu Fundacji Współpracy
Polsko-Niemieckiej



FUNDACJA WSPÓŁPRACY
POLSKO-NIEMIECKIEJ
STIFTUNG
FÜR DEUTSCH-POLNISCHE
ZUSAMMENARBEIT